Piotr Lisiewicz
MARIAN RENTGEN – GITARA PACHNĄCA LAWENDĄ

Antoni Rybczyński
SZPIEDZY CASTRO, CZYLI „PRZYCZÓŁEK" ŁUBIANKI

#131 01/2017 NOWE PAŃSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 9% VAT)
www.panstwo.net
nakład 16 520
indeks 211060
#131 01/2017

Z dziejów zwiastowania s.84

Wspólnicy ZŁA s.16

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

Sławomir Cenckiewicz

Laureatem Nagrody im. św. Grzegorza I Wielkiego

ISSN 1895-4960
9 771895 496704 01

NASZ LAUREAT ▼ 4–15

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

Alfabet Cenckiewicza / 4

IDEE ▼ 16–31

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

Wspólnicy zła / 16

HISTORIA ▼ 32–59

fot. NAC

Gitara pachnąca lawendą / 32

KULTURA ▼ 60–65

fot. mat. prasowe

Filmowa łatwość zapominania o ofiarach / 60

ŚWIAT ▼ 66–96

fot. Kay Nietfeld/PAP/DPA

Nawet Brandt miał hamulce... / 66

Spis treści

NASZ LAUREAT

Alfabet Cenckiewicza / 4

IDEE

Małgorzata Matuszak
Wspólnicy zła / 16

Krzysztof Karnkowski
Medialny egoizm i realna pomoc / 20

Tomasz Terlikowski
Eutanazja dzieli... Kościół / 23

Ryszard Czarnecki
Komunistyczna recydywa w kolorze szarym / 26

Rozmowa z Arkadiuszem Siwko
Tworzymy COP na miarę XXI wieku / 28

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Gitara pachnąca lawendą / 32

Dariusz Jarosiński
Kręte ścieżki Bieszczad / 38

Magdalena Złotnicka
„Elek" z ulicy Kamiennej / 44

Agnieszka Kowalczyk
Jak Mrs. Helena Modjeska podbiła Amerykę / 50

Tymon Terlecki
Żeromski prawdziwy / 56

KULTURA

Sylwia Krasnodębska Polskie Radio
Filmowa łatwość zapominania o ofiarach / 60

Krzysztof Karnkowski
Zemsta, doktorzy i mroczne tajemnice / 62

Jakub Kozłowski
Stonesi wracają z „Blue and Lonsome" / 64

Sylwia Krasnodębska Polskie Radio
Gdy raj sąsiaduje z piekłem / 65

ŚWIAT

Olga Doleśniak-Harczuk
Nawet Brandt miał hamulce... / 66

Antoni Rybczyński
Szpiedzy Castro, czyli „przyczółek" Łubianki / 72

Hanna Shen
Chińska gra papieża Franciszka / 80

Stefan Czerniecki
Z dziejów zwiastowania / 84

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji / 94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska-Hejke
Sławomir Cenckiewicz laureatem nagrody „Nowego Państwa"
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... światło
KATECHIZM INTELIGENTA 27

Olga Doleśniak-Harczuk
Pedofilskie eldorado profesora Kentlera
Z GLOBALNEGO TYGLA 92

Ryszard Czarnecki
Wzgórza Golan, czyli patriotyzm po izraelsku
CZARNECKO TO WIDZĘ 97

Marcin Wolski
Prawda nie leży pośrodku
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Sukces społeczeństwa obywatelskiego
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
tel. +48 22 290 00 90 wew. 3
prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
47124010531111001019991772

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl f666f89312

Katarzyna Gójska-Hejke

Sławomir Cenckiewicz laureatem nagrody „Nowego Państwa”

Nasz Laureat bezlitośnie, realizując najlepiej pojęty interes Rzeczypospolitej, tropi „długie ramię Moskwy”, a jednocześnie przywraca pamięci Polaków prawdziwych bohaterów naszej wolności.

Nagroda im. Świętego Grzegorza Wielkiego 2016 przyznana. Decyzją kolegium redakcyjnego statuetka z kryształem trafi w ręce Profesora Sławomira Cenckiewicza. „Grzegorz” miesięcznika „Nowe Państwo” przyznawany jest tym, którzy w sposób szczególny w mijającym roku stanęli w obronie prawdy w życiu publicznym. Znamienity patron naszego wyróżnienia przeszedł do historii m.in. jako człowiek, który nie miał wątpliwości, iż nawet najtrudniejsza prawda jest lepsza od mogących sprawiać wrażenie łagodzących – choćby nastroje społeczne – półprawd. Po wielu wiekach od pontyfikatu tego wyjątkowego następcy św. Piotra odczytujemy jego nauki jako szczególnie pomocne w postkomunistycznej rzeczywistości, w której prawda jest dobrem deficytowym, a zachęcanie do ukrywania jej przed społeczeństwem zostało podniesione do rangi moralnego nakazu.

Profesor Sławomir Cenckiewicz od lat z niezwykłą konsekwencją działa na rzecz odkłamania naszej najnowszej historii. Pracą naukową, publicystyką pokazuje opinii publicznej, czym naprawdę był komunistyczny twór o nazwie PRL i jak wiele jego elementów – wrogich Polsce – nadal funkcjonuje. Nasz Laureat bezlitośnie, realizując najlepiej pojęty interes Rzeczypospolitej, tropi „długie ramię Moskwy”, a jednocześnie przywraca pamięci Polaków prawdziwych bohaterów naszej wolności. Monumentalna praca o Annie Walentynowicz „Anna Solidarność” czy sprowadzenie do ojczyzny prochów płk. Ignacego Matuszewskiego (czołowego pióra międzywojennej „Gazety Polskiej” i przez to nam szczególnie bliskiego) oraz jego towarzysza i współpracownika mjr. Henryka Floyar-Rajchmana to przecież tylko fragment Jego propaństwowej aktywności. W mijającym roku nasz Laureat w sposób niezwykle znaczący przyczynił się do zainicjowania i zdynamizowania prac nad likwidacją tzw. zbioru zastrzeżonego Instytutu Pamięci Narodowej. Jako szef Wojskowego Biura Historycznego likwiduje kolejny sektor tajności – otwiera przed opinią publiczną archiwa wojskowe. Sławomir Cenckiewicz współuczestniczył w bardzo trudnym, ale niebywale newralgicznym z punktu widzenia bezpieczeństwa naszego kraju, procesie budowy nowych wojskowych służb specjalnych. Jest również współautorem dwóch tomów biografii poległego pod Smoleńskiem śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. W najnowszym numerze naszego miesięcznika publikujemy minialfabet Sławomira Cenckiewicza. ■

Pracą naukową, publicystyką Profesor Cenckiewicz pokazuje opinii publicznej, czym naprawdę był komunistyczny twór o nazwie PRL i jak wiele jego elementów – wrogich Polsce – nadal funkcjonuje.

eprasa.pl f666f89312

Wspólnicy zła

Małgorzata Matuszak

eprasa.pl f666f89312

Matka niespełna trzymiesięcznej Nadii wezwała pogotowie dopiero kilka godzin po śmierci córki, zakatowanej przez jej konkubenta. O tym, że dziewczynka nie żyje, wiedzieli oboje, do czasu przyjazdu karetki ogrzewali ją grzejnikiem elektrycznym, by ukryć czas zgonu. Przesłuchiwana utrzymywała, że była dobrą matką i starała się przeciwdziałać temu, że konkubent bił jej dziecko. Na pytanie, dlaczego nie poszła wcześniej z córką do lekarza, odpowiedziała, że bała się, iż wyjdzie na jaw fakt, że jest bita...

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

Co pewien czas wstrząsa Polską informacja o tym, że jakieś dziecko trafiło do szpitala lub zmarło z powodu skatowania przez osobę mu najbliższą – matkę, ojca, partnera matki. Za każdym razem wszyscy zadają pytania: „dlaczego?", „jak to się mogło stać?", „czy nie można było temu zapobiec?", „dlaczego nikt nie zauważył przemocy wcześniej i jej nie przeciwdziałał?". Pozostają one jednak właściwie bez odpowiedzi. Każda bowiem z tych, które udzielane są w takich okolicznościach, nie wydaje się wystarczającą, żadna nie jest dobrą. Bo dobrych odpowiedzi i prób tłumaczeń takich sytuacji nie ma. Bo jak wyjaśnić fakt, że dziecku zabrano szczęśliwe dzieciństwo, że zabrano mu życie, i że zrobił to ktoś, kto powinien ze wszystkich sił otaczać je opieką i chronić, powinien je kochać?

Dzieci bez żadnych praw

Szacuje się, że rocznie około 500 dzieci, w tym niemowlęta, trafia na szpitalne oddziały, bo doświadczyło przemocy ze strony rodziców bądź opiekunów. Przywołanie tylko kilku z takich zdarzeń, które miały miejsce w tym roku, pokazuje, na jaki ogrom cierpienia skazane były dzieci, które doświadczyły ze strony swoich „opiekunów" tego, co nawet trudno sobie wyobrazić.

6 grudniu 2016 r. na pogotowie w Łodzi zgłosiła się matka z 4-letnią córką, twierdząc, że spadła ona z huśtawki niedaleko domu. Według lekarzy dziewczynka nie żyła już od kilku godzin, a na jej ciele znajdowały się obrażenia wskazujące na to, że była bita już od jakiegoś czasu. „Dziewczynka była ofiarą drastycznej przemocy co najmniej od kilkunastu dni przed śmiercią. Nie ulega wątpliwości, że bardzo cierpiała. Musiała odczuwać silny ból, wynikający m.in. ze złamania jednego z żeber i łokcia" – mówił Krzysztof Kopania z Prokuratury Okręgowej w Łodzi, dodając, że u dziewczynki ujawniono też bardzo rozległe obrażenia wewnętrzne z rozerwaniem krezki jelita włącznie. Do zabicia Oliwii przyznał się 33-letni partner matki. Śledczym powiedział, że bił dziewczynkę, bo przeszkadzał mu jej płacz. Według relacji prokuratora „w dniu śmierci dziewczynki mężczyzna uderzył ją, ona jednak nie wykonywała jego poleceń, więc chwycił ją i dwukrotnie z dużą siłą rzucił o łóżko. Dziewczynka uderzyła głową w drewniane półki. Pomimo że dziecko opadło z sił, ciągle było bite".

Dwa dni później, również w Łodzi, do Poradni Pediatrycznej przy ul. Piotrkowskiej przyszła kobieta z 3-miesięczną córką, na szczepienia. Czujna pielęgniarka zauważyła na ciele dziewczynki oznaki przemocy i od razu zawiadomiła policję. Siniaki i otarcia na ciele Lenki z pewnością nie powstały na skutek wypadku, badania wykazały także pękniętą kość czołową u dziecka. 25-letnia matka Lenki oraz jej 34-letni partner usły-

pl f666f89312

szeli zarzuty znęcania się nad córką ze szczególnym okrucieństwem i oboje trafili do aresztu. Najprawdopodobniej dziewczynka była katowana przez oboje rodziców, chociaż do bicia przyznał się tylko mężczyzna.

18 grudnia znów doszło do tragedii, tym razem w Piekarach Śląskich. Zmarła 2,5-letnia dziewczynka. Policja i lekarze dopiero badają okoliczności i przyczyny jej śmierci, wiadomo jednak, że miała na ciele liczne siniaki i urazy głowy. Pogotowie wezwała 24-letnia matka dziewczynki. Była trzeźwa, w przeciwieństwie do swego 32-letniego konkubenta, u którego stwierdzono prawie 2 promile alkoholu.

Konkubent na cenzurowanym

Oczywiście nie można generalizować, jednak pewne wnioski po analizie przywołanych zdarzeń nasuwają się same: ich bezpośrednimi sprawcami są najczęściej konkubenci matek dzieci, często niebędący biologicznymi ojcami potomstwa.

W Stanach Zjednoczonych US Department of Health & Human Services Administration for Children and Families od 23 lat tworzy raport o maltretowanych dzieciach na podstawie 500 tys. takich przypadków. W Polsce, i w ogóle w UE, podobnych raportów, odnoszących się do tego, kto znęca się nad dziećmi, nie ma. Amerykański podaje liczbę sprawców, dzieląc ich na 21 kategorii: rodzice (5 kategorii), niebędący rodzicami (16 kategorii). Raport ACF (Maltretowane Dzieci w 2012 r.) wykazuje, że matki dwa razy częściej (250 553 matki wobec 127 654 ojców) niż ojcowie maltretują swoje dzieci, osiem zaś razy więcej matek (15 880) niż ojców (1 953) pozwala znęcać się nad ich dziećmi swoim konkubentom.

Badania wskazują na to, że dzieci żyjące w rodzinach, w których jedną z osób biorących udział w ich wychowaniu jest przybrany rodzic, doświadczają przemocy częściej niż te wychowywane przez rodziców biologicznych. Według Davida Bussa, psychologa ewolucyjnego, prawdopodobieństwo śmierci w przypadku dziecka mieszkającego z jednym z przybranych rodziców jest od 40 do 100 razy większe niż w przypadku malucha wychowywanego przez biologicznych opiekunów. Stopień pokrewieństwa genetycznego ma zdaniem Bussa bardzo duży wpływ na pozytywne lub negatywne zachowania rodzicielskie – im ono mniejsze, tym większe jest prawdopodobieństwo dzieciobójstwa, przy czym ryzyko to tylko nieznacznie związane jest z sytuacją socjoekonomiczną rodzin. Inni badacze, choćby psychologowie Martin Daly i Margo Wilson, idą jeszcze dalej, doszukując się przyczyn złego traktowania przez mężczyzn biologicznie nieswoich potomków w podobieństwie do takich zachowań u zwierząt (szympansów) czy też w pewnych społecznościach plemiennych (choćby Tikopia z Oceanii czy Yanomamö z Wenezueli), u których podstaw tkwi niechęć inwestowania swych zasobów w nieswoje potomstwo.

Te tłumaczenia wydają się zbyt radykalne i nazbyt usprawiedliwiające oprawców dzieci. Najczęściej mamy bowiem do czynienia z powodami bardziej „prozaicznymi: przede wszystkim alkohol, także potrzeba odreagowania własnych frustracji i wyładowania narastającej agresji, zła sytuacja materialna, bezrobocie, czasami problemy psychiczne. Czy jednak są one w stanie wytłumaczyć fakt, iż dorosły mężczyzna znęca się nad bezbronnym dzieckiem?

SZACUJE SIĘ, ŻE ROCZNIE OKOŁO 500 DZIECI, W TYM NIEMOWLĘTA, TRAFIA NA SZPITALNE ODDZIAŁY, BO DOŚWIADCZYŁO PRZEMOCY ZE STRONY RODZICÓW BĄDŹ OPIEKUNÓW.

Gdzie była matka?

Co powoduje kobietami, które same poddają się przemocy ze strony swoich partnerów i pozwalają na nią względem swoich dzieci? Dlaczego kobieta nie staje w obronie swojego dziecka? Dlaczego zatraca tak silny przecież instynkt macierzyński? Dlaczego godzi się na to, by jej dziecko było bite, katowane, maltretowane, poniżane, zastraszane? Czy strach przed byciem samotną matką, przed wizją nieporadzenia sobie w tej sytuacji, staje się tak silny, że godzi się na wszystko, byle zatrzymać mężczyznę przy sobie?

Matka Oliwii mówiła śledczym, że chciała odejść od konkubenta i wrócić do Gliwic, ale nie miała pieniędzy

eprasa.pl f666f89312

na bilet. Według relacji sąsiadów 24-latka z Piekar Śląskich dobrze opiekowała się 2,5-latką, a także jej 5-letnią siostrą, sytuacja jednak uległa zmianie po tym, gdy wprowadził się do nich partner kobiety. Matka niespełna trzymiesięcznej Nadii wezwała pogotowie dopiero kilka godzin po śmierci córki, zakatowanej przez jej konkubenta. O tym, że dziewczynka nie żyje, wiedzieli oboje, do czasu przyjazdu karetki ogrzewali ją grzejnikiem elektrycznym, by ukryć czas zgonu. Przesłuchiwana utrzymywała, że była dobrą matką i starała się przeciwdziałać temu, że konkubent bił jej dziecko. Na pytanie, dlaczego nie poszła wcześniej z córką do lekarza, odpowiedziała, że bała się, iż wyjdzie na jaw fakt, że jest bita.

Psychologowie mówią w przypadkach takich kobiet o ich współuzależnieniu, czyli procesie przystosowywania się do patologicznej sytuacji, jaką jest współżycie z osobą uzależnioną od przemocy, alkoholu bądź innego nałogu, narastającym w kobiecie nierzadko już od dzieciństwa. Kiedyś były krzywdzone, teraz same krzywdzą siebie i innych. Takie kobiety są w stanie budować w sobie cały system złudzeń i zaprzeczeń, by radzić sobie z codziennością, nie potrafią wchodzić w zdrowe relacje z mężczyznami, brać odpowiedzialności za siebie, za jakość swego związku, być dobrymi matkami. Uruchamiają w sobie „mechanizm zaprzeczania". Nawet wtedy, gdy zdają sobie sprawę, że tkwiąc w patologicznym związku, wyrządzają wielką krzywdę sobie i swoim dzieciom, nie potrafią i często nie chcą niczego w swoim życiu zmieniać. Pojawia się w nich „syndrom wyuczonej bezradności". Tak bardzo nie kochają siebie, że nie potrafią kochać innych.

Reaguj!

Rodzice i opiekunowie dzieci wiedzą, że gdyby ktoś dowiedział się, że katują dziecko, ponieśliby konsekwencje swych działań. Nie powstrzymuje ich to przed dokonywaniem przerażających czynów, robią jednak wszystko i najdłużej jak się da, by nie wyszły na jaw prawdziwe przyczyny. Tłumaczą, że dziecko doznało obrażeń na przykład podczas nauki chodzenia, że spadło z kanapy, uderzyło się huśtawką, kubkiem, grzechotką...

Według danych Fundacji Dzieci Niczyje 6 proc. rodziców przyznało, że zdarzyło się im pobić dziecko tak poważnie, że konsekwencją był uraz fizyczny. U niemowląt każde uderzenie jest zagrożeniem życia. Najmniejszy uraz może mieć katastrofalne skutki. I to nie tylko fizyczne. U bitego dziecka uraz psychiczny pozostaje na całe życie. Kilkumiesięczne czy kilkuletnie dziecko jest bezbronne. Stanowi łatwy cel sadystycznych praktyk. Im młodsze, tym trudniej mu zakomunikować światu zewnętrznemu, że ktoś je krzywdzi. U starszych dzieci w grę wchodzi też brak świadomości, że nie jest to normalny stan rzeczy. Jeśli w takiej sytuacji nie dojdzie do reakcji najbliższego otoczenia, takie dziecko nie ma właściwie żadnych szans na otrzymanie pomocy z zewnątrz. Nierzadko również na przeżycie.

„Nie ma statystyk, ile małych dzieci, kilkumiesięcznych lub kilkuletnich, padło ofiarą swoich rodziców. Są zbyt małe, by się komuś poskarżyć. Nie biegają po podwórkach, gdzie ktoś mógłby dostrzec ich siniaki. Płaczą tylko, ale dla sąsiadów za ścianą to normalne – małe dzieci przecież płaczą... Niektórzy wiedzą dlaczego, ale wolą nie słyszeć, wychodząc z fałszywego mniemania, że nie należy mieszać się do cudzego życia. Na jaw wychodzą dopiero drastyczne przypadki, kiedy dziecko traci życie bądź zmasakrowane trafia do szpitala. Tylko że to już za późno. Dlatego apeluję: nie bądźmy obojętni na krzywdę dzieci. Jeśli ktoś boi się ujawnić nazwisko, niech zatelefonuje anonimowo na numer alarmowy 112 lub 997" – powiedziała nadkomisarz Iwona Żurawska z KWP w Opolu kilka lat temu, odnosząc się do jednego z tragicznych zdarzeń, które wtedy miało miejsce. Przez lata, które od tego czasu minęły, słyszeliśmy podobne słowa wiele razy. Niestety. Trzeba jednak robić wszystko, by słyszeć je coraz rzadziej, by ich nie słyszeć w ogóle. Czy to możliwe?

„Nie bądźmy obojętni na krzywdę dzieci. Jeśli ktoś boi się ujawnić nazwisko, niech zatelefonuje anonimowo na numer alarmowy 112 lub 997" – powiedziała nadkomisarz Iwona Żurawska z KWP w Opolu kilka lat temu.

eprasa.pl f666f89312

Krzysztof Karnkowski

Medialny egoizm i realna pomoc

eprasa.pl f666f89312

W 2016 r. wielokrotnie pisałem na łamach „Gazety Polskiej Codziennie" o pogardzie, jaką przedstawiciele elit i ich naśladowcy okazywali beneficjentom rządowego programu pomocy „Rodzina Plus". Przez polskie media – telewizje, gazety, media społecznościowe – przetaczały się fale pogardy dla wykluczonych i słabszych. Pierwsza, gdy okazało się, że „500+" będzie czymś ważnym, a nie niezrealizowaną obietnicą wyborczą.

Natychmiast rozległy się głosy o nieuchronnym przepijaniu świadczeń, wypowiedzi o „patologii" i rodzeniu dzieci dla pieniędzy w rodzinach biednych, niezaradnych i żyjących programowo na koszt państwa. Niestety, do dziś, gdy tylko pojawi się informacja o przypadkach przemocy w rodzinie i autentycznych nieszczęściach, odpowiednio ukierunkowani internauci wdrukowane mają już skojarzenia z rządową pomocą. Na ostatniej demonstracji emerytowanych esbeków usłyszeliśmy panią mówiącą o dzieciach rodzonych dla 500 złotych i roztrzaskiwanych o ścianę. Faktycznie, przeciwnicy programu „Rodzina Plus" doszli do ściany. Na szczęście ważniejsze są jednak statystyki pokazujące, jak duży i dobry wpływ ma on na sytuację polskich rodzin, zwłaszcza zaś dzieci, wśród których zdecydowanie spadła liczba żyjących w skrajnym ubóstwie – aż o 94 proc. (dorosłych o połowę).

Zaatakować słabszego na „fejsiku"

Drugi atak tego samego zjawiska nastąpił latem, gdy czytaliśmy o strasznych obyczajach, jakie obdarowani pieniędzmi rodzice z dziećmi rzekomo przywieźli ze sobą do naszych miejscowości wypoczynkowych. Okazuje się, że ówczesny pokaz arogancji był tylko skromną przykrywką do tego, co działo się jesienią z powodu ogłoszenia kolejnej formy wsparcia dla Polaków będących w trudniejszej sytuacji, ustawy „Za życiem".

Gdy odrzucając projekt zaostrzenia przepisów antyaborcyjnych, zgłoszonych przez fundację Ordo Iuris, Beata Szydło zapowiedziała kompleksowy program pomocy dla matek z tzw. ciążą trudną, zdawało się, że w tej sprawie pojawia się szansa na porozumienie ponad podziałami. Kim trzeba być, by odmawiać pomocy matce spodziewającej się chorego dziecka czy rodzinie z niepełnosprawnym potomkiem? Politykiem opozycji w Polsce lub sympatyzującym z nią internautą.

Za zaostrzenie języka winić można radykalne środowiska feministyczne. Pojawiająca się na organizowanych przez nie niedawnych protestach anatomiczna symbolika, wpisana w walkę z rządem, patriotyzmem, tradycją i chrześcijaństwem, ośmieliła kolejny raz osoby, które czując poparcie wpływowych środowisk i grup towarzyskich, straciły wszelkie hamulce. Potok obrzydliwych żartów i komentarzy, wystawiających jak najgorsze świadectwo przede wszystkim ich autorom, zalał polskiego Facebooka. Nie chciałbym cytować tu okrutnych i bezdusznych żartów, choć muszę odnotować ich pojawienie się. Żartów uderzających w osoby, które nie mają sił się bronić – chore dzieci i ich matki. Przy okazji „500+" malowano w mediach obraz Polek rodzących dzieci tylko po to, by uzyskać dodatkowe świadczenie. Dziś kreśli się obraz wymuszanego porodu, za który kobieta przekupiona ma zostać jednorazowym zasiłkiem. W imię walki o godność kobiet przez rzekomych „obrońców" są one z tej godności obdzierane. To przecież właśnie oni traktują je jako bezwolne istoty, które łatwo jest otumanić i przekupić niewielką, według nich, sumą pieniędzy.

A co to za mizerna pomoc?

Równolegle bowiem – przez mających większe skrupuły krytyków – podnoszony jest argument o niskiej wartości świadczenia. Można o nim dyskutować, warunkiem jest jednak, by była to rozmowa uczciwa. „Daliśmy słowo, że pomożemy tym wszystkim rodzinom, tym wszystkim kobietom, które są w tak zwanej trudnej ciąży. Państwo musi pomagać, państwo musi wspierać i stać po stronie tych wszystkich, którzy tej pomocy potrzebują. To jest kompleksowy program wsparcia. Począwszy od opieki medycznej poprzez psychologiczną, przez ośrodki, centra koordynacyjno-opiekuńczo-wychowawcze. Ta ustawa, to pierwszy krok" – mówiła na początku listopada premier Beata Szydło. Krytycy pomijają jednak ten ostatni fakt, sprowadzając wszystko do jednora-

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

eprasa.pl f666f89312

zowego świadczenia. „Rządowy projekt ustawy »Za życiem« jest najbardziej prymitywnym sposobem realizacji obietnicy wsparcia osób niepełnosprawnych" – mówił w sejmie szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz, zarzucając projektowi brak wsparcia lekarzy i psychologów. Zaznaczmy jednak, że pomimo zastrzeżeń posłowie PSL głosowali za projektem, przeciwko któremu opowiedziało się 140 parlamentarzystów Platformy Obywatelskiej i Nowoczesnej. Jedynie jeden poseł Platformy (Stanisław Lamczyk) był za przyjęciem ustawy, zaś dwoje przedstawicieli partii Ryszarda Petru wstrzymało się od głosu. Co ciekawe, krytyka obu tych sił ogranicza się głównie do argumentu, że pomoc jest zbyt mała, choć przecież logicznie nawet niewielkie wsparcie (przypominam: będące jedynie częścią większej pomocy) jest lepsze niż jego brak. Platforma dodatkowo na każdym kroku podkreśla własne zasługi w poprawie losu osób niepełnosprawnych. Aby dopełnić całości, trzeba dodać, że rządowy projekt, choć z zastrzeżeniami, poparli politycy klubu Pawła Kukiza. Przeciwni byli dwaj posłowie, którym najbliżej chyba z Kukiz '15 do Janusza Korwina-Mikke, Jakub Kulesza i Jacek Wilk. Aż 12 osób z tego klubu wstrzymało się od głosu.

Bunt dziewczynek z zapałkami

O ile można zrozumieć sceptycyzm niedawnych korwinistów, szokować może stanowisko lewicy. Oddajmy głos Katarzynie Paprocie, członkini Rady Krajowej Razem, której wpis z Facebooka promowany był na oficjalnym profilu partii. „Przekupują nas ceną pudełka z zapałkami! – krzyczy pani Paprota. – Dziś przeszła ustawa, zachęcająca kobiety do wydawania na świat zdeformowanych płodów za symboliczną sumę 61 groszy dziennie (*przy założeniu dożycia przez upośledzone dziecko 18 r.ż.), nie zapewniająca żadnego stałego wsparcia w faktycznej opiece nad chorym dzieckiem i różnicująca chore dzieci na lepsze – te, które nabyły wady w fazie prenatalnej i w trakcie porodu – i gorsze, czyli nabywające wady później i tym samym nie zasługujące na wsparcie państwa. Prawo do aborcji jest prawem do konkretnego świadczenia medycznego. Te 4 000 zł jest łapówką za rezygnację z przysługującego nam prawa. Sprzedaż organów na czarnym rynku jest wyceniana wyżej niż nasze zdrowie i życie. Od dziś jesteśmy dziewczynkami z zapałkami. Mam nadzieję, że usiądziemy z nimi na beczce prochu".

Powyższy wpis pozwoliłem sobie zacytować w całości jako bardzo charakterystyczny. Oczywiście jego istotnym uzupełnieniem są również pełne niechęci do inicjatywy komentarze, w których pojawiła się nawet nadzieja, że przyszli biorcy odmawiać będą przyjmowania zagwarantowanych przez nią środków. Tak więc według lewicy na złość rządowi zrezygnować trzeba z pieniędzy. Pieniędzy, które według Joanny Augustynowskiej z Nowoczesnej są i tak jedynie „na waciki". W tym, że równocześnie zauważa się dramatycznie niski poziom świadczeń dla niepełnosprawnych i ich opiekunów i lekceważy jednorazowy zasiłek w wysokości 4 tys. zł, opozycja nie widzi żadnej niekonsekwencji.

Wybór, który nie mieści się w głowie

Opozycja totalna niejako w swoją definicję wpisany ma całkowity brak zasad, dlatego ten frontalny atak niespecjalnie dziwi. Stanowisko Kukiza i ludowców można było uznać za racjonalne, co więcej, motywujące do dotrzymania obietnicy przedstawienia kolejnych propozycji w ciągu niecałych dwóch miesięcy. Skąd jednak aż taka niechęć tej części internautów, którzy wymieniają się żartami o „trumience plus", a opcjonalną pomoc odbierają jako ekonomiczny, religijnie motywowany przymus? Wygląda to na kolejną odsłonę konfliktu wartości, w którym z jednej strony mamy miłość (matki i rodziny do dziecka, niezależnie od tego, w jakim stanie zdrowia dziecko przyjść ma na świat) i poświęcenie dla dziecka, słabszego, drugiego człowieka, który nie z własnej winy jest w dużym lub całkowitym stopniu zdany na nas. Druga strona to skrajny egoizm, troska jedynie o wysoką jakość życia, przede wszystkim własnego, którą najpełniej wyraziło niedawne wyznanie Natalii Przybysz. Po pierwszym szoku, jakie wywołały słowa piosenkarki, znalazła ona również swoich obrońców. Trudno się w tych warunkach dziwić, że poświęcenie i miłość jako własny, dobrowolny wybór matki chorego dziecka może zwyczajnie nie mieścić się niektórym w głowach.

Niedawne badania pokazały, że Polacy bardzo rozsądnie wydatkują pieniądze ze świadczenia „Rodzina Plus". Myślę, że za kilka miesięcy w podobnych słowach podsumujemy efekty rządowego programu „Za życiem". Najważniejsze, by starczyło determinacji i konsekwencji w jego wprowadzaniu. Niedługo powinny pojawić się informacje, jak „500+" wpłynęło na święta Bożego Narodzenia w uboższych polskich domach. Finansowe wsparcie na pewno nie zostało bez wpływu na wygląd świątecznych stołów. Być może w wielu domach wreszcie zapełniła się pustka pod choinkami. ■

eprasa.pl f666f89312

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

Tomasz P. Terlikowski

Eutanazja dzieli... Kościół

Po sporach dotyczących aborcji nadszedł czas na debatę o tym, jak podchodzić do osób, które chcą poddać się eutanazji. To poważny problem dla Kościoła w krajach, gdzie jest ona w pełni legalna.

Belgia, Holandia, Szwajcaria, część stanów USA, Kanada – na ich terenach już zalegalizowano albo eutanazję, albo wspomagane samobójstwo. I w każdym z tych miejsc wzrasta liczba ludzi, którzy decydują się na takie rozwiązanie. Część z nich to chrześcijanie czy wręcz katolicy. A to oznacza, że Kościół musi zacząć wypracowywać zasady duszpasterskiego podejścia do tego problemu, do takich osób i do ich bliskich. I tak się powoli zaczyna dziać. Jedynym problemem jest to, że w różnych miejscach wypracowane zasady są skrajnie odmienne, a niekiedy nawet nie przystają one do doktryny.

Każde życie jest święte

Jeśli chodzi o doktrynę, to jest ona absolutnie jasna. Eutanazja tak jak wspomagane samobójstwo nie są do pogodzenia z nauczaniem Kościoła „[...] nikt ani nic nie może w żaden sposób zezwolić na zadanie śmierci niewinnej istocie ludzkiej, bez względu na to, czy chodzi o płód lub embrion, o dziecko, osobę dorosłą czy starca, o osobę nieuleczalnie chorą czy znajdującą się w agonii. Ponadto nikomu nie wolno prosić o taką śmiercionośną czynność ani dla siebie, ani dla kogoś innego, powierzonego jego odpowiedzialności; co więcej, nikt nie może zgodzić się na to, bezpo-

eprasa.pl f666f89312

średnio lub pośrednio. Nie może również takiej czynności prawomocnie nakazać lub zezwolić na nią żadna władza. Chodzi w tym przypadku o naruszenie prawa Bożego, o znieważenie godności osoby ludzkiej, przestępstwo przeciw życiu, zbrodnię przeciw ludzkości" – można przeczytać w deklaracji *Iura et bona* Kongregacji Nauki Wiary.

Jan Paweł II zaś w licznych dokumentach uzupełniał, że „eutanazja jest poważnym naruszeniem Prawa Bożego jako moralnie niedopuszczalne dobrowolne zabójstwo osoby ludzkiej. Doktryna ta jest oparta na prawie naturalnym i na słowie Bożym spisanym, jest przekazana przez Tradycję Kościoła oraz nauczana przez Magisterium zwyczajne i powszechne". Niedopuszczalne jest także jakiekolwiek współuczestnictwo w tego rodzaju działaniach. „Z moralnego punktu widzenia nigdy nie wolno formalnie współdziałać w czynieniu zła. Takie współdziałanie ma miejsce wówczas, gdy dokonany czyn – już to z samej swej natury, już to ze względu na określony kontekst kształtujących go okoliczności – ma charakter bezpośredniego uczestnictwa w działaniu przeciwko niewinnemu życiu ludzkiemu albo też wyraża poparcie dla niemoralnej intencji głównego sprawcy. Takiego współdziałania nie można nigdy usprawiedliwić ani powołując się na zasadę poszanowania wolności drugiego człowieka, ani też wykorzystując fakt, że prawo cywilne je przewiduje i nakazuje: za czyny dokonywane osobiście przez każdego istnieje bowiem odpowiedzialność moralna, od której nikt nie może się uchylić i z której będzie sądzony przez samego Boga" – uzupełniał św. Jan Paweł II.

Zasady są zatem jasne. Ale wcale nie oznacza to, że wiadomo, jak zachować się wobec osób, które doświadczają pokusy eutanazji czy zdecydowały się jej poddać. Jest wprawdzie rzeczą oczywistą, że taka decyzja oznacza sprzeciw wobec nauczania Kościoła, grzech ciężki, a prawdopodobnie także postawienie się poza wspólnotą wierzących. Tyle że to wszystko zasady, które mogą w ogóle nie być brane pod uwagę, gdy człowiek umiera z bólu, cierpi w samotności czy kompletnie nie widzi nadziei. W takiej sytuacji konieczne jest towarzyszenie mu, ale... kapłan musi też wyczuć moment, w którym owo towarzyszenie staje się niedopuszczalnym sygnałem, że akceptuje on eutanazję. Jak wyczuć ten moment? Jak zachować się już po śmierci eutanazjowanego? Na takie pytania próbują odpowiedzieć biskupi w różnych regionach świata.

Bez sakramentów, bez pogrzebu

Najbardziej klasyczną, tradycyjną odpowiedzią na te pytania jest uznanie, że w sytuacji, gdy człowiek jest już zdecydowany na eutanazję czy wręcz się do niej przygotowuje, kapłan powinien się wycofać, a po śmierci jasno i zdecydowanie odmówić chrześcijańskiego pochówku. Powód jest bardzo prosty. Otóż jest to wyraźny sygnał, że ostatnią swoją decyzją osoba, która zdecydowała się na eutanazję, wykluczyła się z Kościoła. Nie jest to rzecz jasna uznanie, że jest ona na pewno potępiona, bowiem nie może być wykluczone, że jej zdolność rozeznawania była mocno ograniczona, a wola zniewolona, a do tego zawsze możliwe jest nawrócenie w ostatnim momencie. Jednak obiektywnie rzecz biorąc, ostatnie jej decyzje wykluczyły ją z Kościoła i brak katolickiego pochówku jest właśnie tego sygnałem.

Wola cierpiącego pacjenta, by popełnić samobójstwo przy pomocy innych osób, stawia duchownego, którego prosi się o sprawowanie nad taką osobą religijnego pogrzebu, w sytuacji, w której nie może on spełnić tej prośby – podkreśla szwajcarski bp. Vitus Huonder, ordynariusz Chur.

I akurat takie rozporządzenia dotyczące pochówku katolickiego dla osób poddanych eutanazji wydał szwajcarski biskup Vitus Huonder, ordynariusz Chur. Zgodnie z nimi katolickie obrzędy pogrzebowe nie będą sprawowane nad osobami, które zdecydowały się na eutanazję. – Wola cierpiącego pacjenta, by popełnić samobójstwo przy pomocy innych osób, stawia duchownego, którego prosi się o sprawowanie nad taką osobą religijnego pogrzebu, w sytuacji, w której nie może on spełnić tej prośby – podkreśla biskup. Hierarcha przypomniał także, że według Kościoła pomoc medyczna nie może przyspieszać umierania lub przyczyniać się do niego. – Z chrześcijańskiego punktu widzenia życie i śmierć są w rękach Boga, sami nie możemy podejmować decyzji – mówił biskup.

Bardzo podobne stanowisko zajęli także biskupi kanadyjskiego regionu Alberty. W bardzo dobrze

eprasa.pl f666f89312

udokumentowanym, ponad 30-stronicowym dokumencie przypomnieli oni katolickie nauczanie w sprawie eutanazji, wyrazili całkowity sprzeciw wobec jej wykonywania i przypomnieli, że kapłanom katolickim nie wolno wykonywać czynności, które mogą zostać odczytane jako wsparcie czy akceptacja dla eutanazji bądź wspomaganego samobójstwa. A to oznacza, że nie wolno udzielać takim osobom sakramentów przed eutanazją, a i z pogrzebem trzeba być bardzo ostrożnym.

Szokujące stanowisko części biskupów Kanady

To, co oczywiste dla biskupów regionu Alberty czy ordynariusza diecezji Chur, nie jest pewniakiem dla biskupów regionu atlantyckiego Kanandy, a także Quebecu. Ich zdaniem ksiądz może udzielić Komunii i ostatnich sakramentów osobie, która przygotowuje się do eutanazji. Decyzję tę usprawiedliwiają biskupi regionu atlantyckiego, powołując się na papieża Franciszka i jego adhortację *Amoris laetitia*. Ich zdaniem kapłan może sam zdecydować, czy udzielić sakramentów świętych osobie, która zamierza dać się zabić przez innych.

W dokumencie noszącym tytuł „Duszpasterska refleksja na temat medycznego asystowania przy umieraniu" biskupi podkreślają, co jasno mówi biskup Claude Champagne, że od doktryny ważniejsze jest dla nich współczujące towarzyszenie duszpasterskie. – Naszą troską jest duszpasterskie towarzyszenie. Naszym wzorem jest papież Franciszek – mówi biskup. I dodaje, że w przypadku ludzi cierpiących i szukających eutanazji biskupi regionu atlantyckiego sugerują, by im towarzyszyć, próbować ich zrozumieć i podążać z nimi ich drogą.

Ojciec Święty – podkreślają biskupi w kontrowersyjnym dokumencie – „przypomina, że ci, którzy towarzyszą innym, muszą zdawać sobie sprawę, że sytuacja każdego człowieka przed Bogiem i jego życie łaską są tajemnicą, której nie możemy poznać z zewnątrz". „W związku z tym nie możemy wypowiadać się na temat odpowiedzialności i winy innych ludzi" – oznajmili. „Chcemy zaznaczyć, że duszpasterstwo nie może być zredukowane do norm dotyczących przyjmowania sakramentów lub celebracji pogrzebowych" – podkreślają biskupi i dodają, że trzeba towarzyszyć duszpastersko i modlitewnie rodzinom i osobom, które rozważają eutanazję. To właśnie dzięki temu towarzyszeniu można sprawdzić, czy osoba chcąca się zabić, powinna otrzymać sakramenty czy nie. Biskupi zaznaczają także, że nie ma powodów, by nie znaleźć odpowiedniej formy pogrzebu dla ludzi, którzy poddali się eutanazji. Kilkustronicowy dokument pełen jest dość ogólnych sformułowań, emocjonalnego współczucia, które ma skrywać to, że biskupi w istocie zgodzili się na towarzyszenie kapłanów przy eutanazji.

Decentralizacja w praktyce

Spór, jaki opisuję, doskonale pokazuje, w jakim kierunku zmierzać będzie postulowana przez papieża Franciszka decentralizacja. Już teraz w kwestii Komunii Świętej dla rozwodników w ponownych związkach biskupi w różnych diecezjach zajmują formalnie sprzeczne stanowiska. Teraz do podobnej sytuacji dochodzi w kwestii duszpasterskiego podejścia do osób, które chcą poddać się eutanazji. I wiele wskazuje na to, że takich różnie rozstrzyganych kwestii będzie więcej. Niemcy od dawna postulują przywrócenie do istnienia zlikwidowanych przez św. Jana Pawła II katolickich poradni wydających zaświadczenia konieczne do aborcji... W Holandii część biskupów chętnie uznałaby za uzasadnione błogosławienie par jednopłciowych (oczywiście także z przyczyn duszpasterskich) i tylko czekać, aż Afrykańczycy uznają, że z przyczyn duszpasterskich trzeba uznać wielożeństwo.

W efekcie Kościół katolicki przekształci się w coś w rodzaju anglikanizmu, z papieżem jako w znaczącym stopniu honorowym zwierzchnikiem. Jedność doktryny zostanie zachowana w teorii, bowiem w praktyce zastąpi ją... duszpasterska różnorodność. Z tej drogi wciąż oczywiście można zawrócić, ale wymaga to odważnych decyzji Stolicy Apostolskiej i samego papieża. A Franciszek jest zwolennikiem synodalizacji i decentralizacji, więc on takich decyzji nie podejmie. ■

TO, CO OCZYWISTE DLA ORDYNARIUSZA DIECEZJI CHUR CZY BISKUPÓW REGIONU ALBERTY, NIE JEST PEWNIAKIEM DLA BISKUPÓW REGIONU ATLANTYCKIEGO KANANDY, A TAKŻE QUEBECU. ICH ZDANIEM KSIĄDZ MOŻE UDZIELIĆ KOMUNII I OSTATNICH SAKRAMENTÓW OSOBIE, KTÓRA PRZYGOTOWUJE SIĘ DO EUTANAZJI.

eprasa.pl f666f89312

Ryszard Czarnecki

Komunistyczna recydywa w kolorze szarym

Gdy ramię w ramię w proteście przeciwko rządowi Prawa i Sprawiedliwości i kaczystom maszerują ci, którzy wsadzali, wraz z tymi, którzy byli wsadzani – to aż się wierzyć nie chce. Ale nie jest to, niestety, kwestia wiary, tylko faktu.

Gdy jesienią 2015 r. wiceminister pracy i polityki społecznej i były szef PFRON (Państwowy Fundusz Osób Niepełnosprawnych) za czasów AWS Jarosław Duda wygrał nieznacznie wybory do Senatu RP w jednym z trzech okręgów w dawnym województwie wrocławskim kosztem szefa klubu radnych PiS w dolnośląskim sejmiku wojewódzkim Pawła Hreniaka (obecny wojewoda dolnośląski), mało kto się spodziewał, jakie będą polityczne konsekwencje tych decyzji w obszarze dekomunizacji. Oto bowiem 19 grudnia A.D. 2016 przewodniczący senackiej Komisji Rodziny, Polityki Senioralnej i Społecznej, tenże Jarosław Duda, ogłosił swoją decyzję zaniechania procedowania nad ustawą „dezubekizacyjną".

Gdy widzę nową, szeroką, zaskakującą (a może wcale niezaskakującą?) koalicję „sił postępu", które zjednoczyły się w gromkim proteście w obronie ubeków; gdy widzę, jak ramię w ramię występują tam funkcjonariusze SB czy innych służb PRL wraz z – uwaga – działaczami, a nawet liderami „Solidarności" z lat 1980–1981 i stanu wojennego – to nieodparcie przychodzą mi na myśl słowa wieszcza Norwida: „Ogromne wojska, bitne generały,/Policje – tajne, widne i dwu-płciowe – /Przeciwko komuż tak się pojednały? – Przeciwko kilku myślom... co nienowe!". W rzeczy samej, mobilizacja jest niesłychana. Nie wiem, czy w trakcie mobilizacji ONI śpiewają TO, ale na pewno sobie nucą: „Bój to będzie nasz ostatni, krwawy skończy się trud [...]" itd., itp. Tak, ta „Międzynarodówka" pasuje jak ulał do tych ludzi i do sytuacji, w jakiej chcą się odnaleźć. To, że ubecja, esbecja etc. broni się, jak tylko może, to nie dziwota. Gdy ramię w ramię w proteście przeciwko rządowi Prawa i Sprawiedliwości i kaczystom maszerują ci, którzy wsadzali, wraz z tymi, którzy byli wsadzani – to aż się wierzyć nie chce. Ale nie jest to, niestety, kwestia wiary, tylko faktu. Jak nienawiść do demokratycznie wybranych władz Rzeczypospolitej może połączyć ludzi z tak odmiennymi życiorysami? Jedni z nich – ci od wsadzania – są, cokolwiek by powiedzieć, w gruncie rzeczy konsekwentni. Ci drudzy jednak, ci, co siedzieli albo przynajmniej protestowali przeciwko stanowi wojennemu – czy aby w najgorszy możliwy sposób nie puentują swego życiorysu, całkiem mu nie zaprzeczając?

Porównywanie tego, co dzieje się w Polsce, z tym, co stało się 13 grudnia 1981 r., ma uderzyć w Jarosława Kaczyńskiego i PiS, odbierając mu poparcie „solidarnościowej" części jego elektoratu. Ale ta świadoma operacja medialna forsowana przez różne „zaprzyjaźnione telewizje" i media bywszego mainstreamu, który znowu chce być mainstreamem, ma jednak bardziej dalekosiężne zamiary. Chodzi o „wybielenie" stanu wojennego, chodzi o zbanalizowanie ofiar, zbanalizowanie tamtego dramatu i wsadzenie do jednego worka oprawców A.D. 1981 pozbawionych demokratycznego mandatu z tymi, którzy po trzech i pół dekadach ten mandat mają. Tyle że to, uderzając w dzisiejszy obóz niepodległościowy, w gruncie rzeczy urąga ofiarom stanu wojennego i tamtej narodowej tragedii.

Na demonstracjach KOD-u i (dużej części) opozycji 13 grudnia 2016 r. było wiele biało-czerwonych flag. Taki zabieg socjotechniczny, próba pokazania: jesteśmy takimi samymi patriotami, jak wy. Niektórzy zgryźliwie komentowali, że ubecy i obrońcy ubeków powinni nieść raczej, jak drzewiej bywało, czerwone sztandary. Nie uważam tak. Gdyby bowiem szukać odpowiedniego symbolicznego koloru dla tej wielkiej operacji manipulacji historią i manipulacji współczesnością, która dokonuje się na naszych oczach, to nie kolor czerwony, wbrew pozorom, tyko kolor szary byłby bardziej adekwatny. Tak, właśnie kolor szary. Bo przecież tym towarzyszom i „Obywatelom RP" chodzi o to, aby zamazać podział na bitych i bijących, na białe i na czarne.

Jak widać, wojna o Polskę toczy się nie tylko w sferze konkretnych ustaw czy symboli, lecz także kolorów. Komunistyczna recydywa ma zatem kolor szary. Czerwony jest tylko w tle. ■

eprasa.pl f666f89312

Małgorzata Matuszak

Czym jest... światło

„Światło to fala" – pouczają nas doświadczenia Younga i Hertza, poparte całym formalizmem termodynamiki. „To strumień cząstek" – przekonuje nas hipoteza Maksa Plancka. Na pytanie, czym jest światło, nauka nie potrafi odpowiedzieć w sposób prosty i jednoznaczny. Natura światła wciąż wydaje się jakby sama w sobie wewnętrznie sprzeczna, pozostając dla nas nie do końca rozwiązaną zagadką. Możemy je sobie wyobrazić jako wycinek nieustannie pulsującego pola elektromagnetycznego, tę część widma promieniowania odbieraną przez oko człowieka, która sprawia, że możemy spostrzegać przedmioty w całym bogactwie ich barw.

Na ciekawą rzecz wskazują słowniki etymologiczne języka polskiego: w polszczyźnie, podobnie jak i w innych językach słowiańskich, „świat" znaczył pierwotnie tylko „światło". Dopiero później wyraz „świat" zaczął ewoluować i oznaczać również „universum", „ziemię jako miejsce bytowania człowieka i warunki tego bytowania", „świat ziemski" wobec „nieba" i „tamtego świata". Nieprzypadkowo słowa „światło" i „świat" należą do tej samej rodziny wyrazów i dawniej miały te same znaczenia. Dla Słowian „świat" i „światło", jasność i życie, były bowiem pojęciami ściśle ze sobą związanymi: ten, kto widzi światło – żyje, ziemia zatem, na której żyją ludzie i zwierzęta, była miejscem życiodajnego światła, czyli światem.

Tajemnica światła intryguje nie tylko naukowców różnych dyscyplin. Światło fascynowało ludzi od zarania dziejów, wzbudzało grozę i podziw, przyciągało i oślepiało, zachwycało i przerażało. Z jednej strony obcujemy ze światłem na co dzień, oswoiliśmy się z tym, że pojawić się może za jednym pstryknięciem włącznika; z drugiej, pozostaje ono czymś ulotnym i niewyrażalnym, nieznanym i nieuchwytnym. Dziś jednak coraz trudniej jest nam dostrzec jego głębsze przesłanie, które do nas kieruje. Symbolika światła, dzięki swej bogatej semantyce, jest zaś bardzo pojemna znaczeniowo. To symbol pokoju, pojednania i radości, wieczności, niematerialności i ducha, ciepła, miłości i nadziei.

Światło jest metaforą ludzkiej świadomości. W klasycznej definicji prawdy jest ona zgodnością myśli i rzeczy. Mamy w niej do czynienia zatem z dwoma rzeczywistościami, zgoła odmiennymi: z tym, co nazywamy rzeczywistością, i z naszą myślą. Rzeczywistość jest uprzednia wobec jej oglądania i myślenia o niej. Metaforą właściwego poznawania rzeczywistości, prawdy o niej, jest światło, które widzenie rzeczy umożliwia.

MÓWIMY O ŚWIETLE WIARY, ZDOLNYM DO OŚWIETLENIA CAŁEJ DROGI ŻYCIA CZŁOWIEKA, SPRAWIAJĄCYM, IŻ WIDOCZNYM STAJE SIĘ TO, CZEGO BEZ TEGO ŚWIATŁA NIE BYLIBYŚMY W STANIE DOSTRZEC, POZWALAJĄCYM WIDZIEĆ, DZIAŁAĆ I NIE ZGUBIĆ CELU, ODRÓŻNIĆ DROGĘ, KTÓRĄ ZDĄŻAMY DO WYZNACZONEGO PUNKTU, OD TEJ, NA KTÓREJ BŁĄDZIMY BEZ KIERUNKU.

Tak jak światło zmysłowe objawia nam przedmioty właściwe naszym zmysłom, tak też światło rozumu służy do objawiania prawdy zawartej w myślach. Światło jest więc pośrednikiem między naszą myślą a rzeczywistością. Dzięki niemu potrafimy również rozróżnić dobro i zło.

Światło jest także metaforą poznawania tego, co świadomości się wymyka. Symbolem objawienia, łaski, która chce nas przede wszystkim oświecić. Mówimy o świetle wiary, zdolnym do oświetlenia całej drogi życia człowieka, sprawiającym, iż widocznym staje się to, czego bez tego światła nie bylibyśmy w stanie dostrzec, pozwalającym widzieć, działać i nie zgubić celu, odróżnić drogę, którą zdążamy do wyznaczonego punktu, od tej, na której błądzimy bez kierunku. Jeśli zaś zboczymy z trasy, będziemy błądzić w ciemnościach, światło wiary, choćby tlące się z dala, pozwoli nam skierować się w jego kierunku i wrócić na właściwą drogę. ■

eprasa.pl f666f89312

TWORZYMY COP NA MIARĘ XXI WIEKU

Pytanie o sensowność istnienia polskiego przemysłu obronnego jest pytaniem o to, czy chcemy Polski suwerennej i niepodległej. Odpowiedź jest jasna – właśnie takiej Ojczyzny chcemy. Dlatego uruchamiamy na nowo potencjał polskiego przemysłu. W oparciu o przemysł obronny odbudowujemy idee Centralnego Okręgu Przemysłowego – z **Arkadiuszem Siwko**, prezesem Zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., rozmawia **Jerzy Mostowski**

▶ Panie prezesie, od ponad roku zarządza Pan narodowym koncernem obronnym – Polską Grupą Zbrojeniową. Przez ten okres dużo się wydarzyło i wiele zmieniło. Jak z perspektywy dwunastu miesięcy, które mamy za sobą, ocenia Pan te wydarzenia i zmiany?

Bez wątpienia najważniejsze wydarzenie, które jednocześnie było największą zmianą dla polskiego przemysłu obronnego, nastąpiło w grudniu 2015 roku. To objęcie przez ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza nadzoru nad państwowym przemysłem obronnym, skonsolidowanym w PGZ. Jest to fakt o znaczeniu fundamentalnym, ponieważ po wielu latach funkcjonowania pod nadzorem Ministerstwa Skarbu Państwa zakłady zbrojeniowe wreszcie działają w ramach resortu, który jest im właściwy merytorycznie. Dlatego wszystkie zmiany, jakie w przemyśle obronnym zaszły w ciągu ostatniego roku, są przede wszystkim zasługą ministra Antoniego Macierewicza. Wkomponowanie Polskiej Grupy Zbrojeniowej i przemysłu obronnego w system bezpieczeństwa państwa, wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami, to właśnie strategia pana ministra. Doskonałą ilustracją tej polityki dotyczącej przemysłu zbrojeniowego i wojska jest fakt, iż dopiero kilka miesięcy temu, po raz pierwszy od czasów upadku II Rzeczypospolitej, żołnierze kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego zostali uzbrojeni w polski krabinek 5,56 mm MSBS-R z Fabryki Broni „Łucznik" w Radomiu. To wyraźna, dobra zmiana, ponieważ karabiny, które posiadali do tej pory, pamiętały jeszcze czasy Stalina. Ten symboliczny fakt mówi bardzo wiele i jest bardzo ważnym drogowskazem w planach stworzenia silnej Polski. Bo właśnie tego chcą Ministerstwo Obrony Narodowej, rząd premier Beaty Szydło. By nasz kraj znów stał się ważnym partnerem na arenie międzynarodowej. Zarząd Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., na czele którego mam zaszczyt stać, z całych sił wspiera te działania. To jest nasza misja.

▶ W wywiadach wielokrotnie mówił Pan, że podstawowym zadaniem Polskiej Grupy Zbrojeniowej jest wspieranie Ministerstwa Obrony Narodowej. Priorytetem ministra Macierewicza jest stworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej, które mają być piątym rodzajem Sił Zbrojnych RP. Tymczasem wielu ten pomysł krytykuje...

Co do sugestii, iż Obrona Terytorialna jest w naszym kraju niepotrzebna, mogę powiedzieć tylko jedno – jest potrzebna, i to bezdyskusyjnie. Wojska Obrony Terytorialnej to bardzo dobry pomysł. Koncepcja ministra Antoniego Macierewicza jest bardzo wysoko oceniana przez specjalistów z zakresu bezpieczeństwa i obronności. Jestem usatysfakcjonowany, że u podstaw tej koncepcji leży przekonanie, iż polskie Siły Zbrojne powinny być wyposażone w uzbrojenie i sprzęt, które produkują rodzime zakłady. Korzystając z okazji, pragnę zapewnić, że Polska Grupa Zbrojeniowa jest gotowa rozpocząć dostawy uzbrojenia i sprzętu dla brygad Wojsk Obrony Teryto-

eprasa.pl f666f89312

rialnej już od 1 stycznia 2017 roku. PGZ nowo powstającej formacji piątego rodzaju Sił Zbrojnych RP zapewni dostawy wszelkiego niezbędnego sprzętu. Jesteśmy zaszczyceni, że minister obrony narodowej Antoni Macierewicz wskazał właśnie Polską Grupę Zbrojeniową jako podmiot mający wykonać to zadanie. Zrealizujemy je z należytą starannością. Dzięki szerokim kompetencjom nowoczesnych zakładów przemysłu obronnego należących do PGZ, Wojska Obrony Terytorialnej będą wyposażone w doskonałe uzbrojenie i sprzęt, które zapewnią im wysokie zdolności operacyjne i bezpieczeństwo na współczesnym polu walki.

▶ Porozmawiajmy o Planie Modernizacji Technicznej Sił Zbrojnych RP. Ten został przez resort obrony wyraźnie zmodyfikowany, a termin realizacji ważnych projektów przesunięty w przyszłość. A gdzie konkrety?

Plan modernizacji polskiego wojska jest i będzie realizowany przez Polską Grupę Zbrojeniową w formie zdefiniowanej przez resort obrony. Nigdy nie uciekam przed rozmową o konkretach, bo tak się składa, że mam na ich temat bardzo wiele do powiedzenia. Rok 2016 był dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej czasem udanym. Podpisaliśmy umowy, dotyczące realizacji przez

eprasa.pl f666f89312

polski przemysł obronny bardzo ważnych projektów modernizacyjnych. W listopadzie została parafowana umowa na dostawę dla Sił Zbrojnych RP przeciwlotniczego systemu rakietowo-artyleryjskiego bardzo bliskiego zasięgu „Pilica". To zamówienie na blisko 750 mln zł, które zrealizuje polski przemysł zbrojeniowy. 14 grudnia w obecności premier RP Beaty Szydło, ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza została podpisana umowa pomiędzy należącą do Grupy PGZ spółką Huta Stalowa Wola S.A. i Inspektoratem Uzbrojenia MON, dotycząca dostawy czterech Dywizjonowych Modułów Ogniowych o kryptonimie „REGINA", czyli 96 najnowocześniejszych na świecie armatohaubic „Krab" dla Sił Zbrojnych RP. To największe zamówienie w historii polskiego przemysłu zbrojeniowego. Wartość podpisanej umowy wynosi blisko 5 mld złotych. Wcześniej, bo w kwietniu, została podpisana umowa, warta prawie miliard złotych, na dostawę samobieżnych moździerzy „Rak".

To tylko kilka z wielu przedsięwzięć, które udało się albo już zrealizować, albo wprowadzić w fazę finalizacji. Umów było znacznie więcej. Sama Fabryka Broni „Łucznik" w Radomiu podpisała ich kilka – co bardzo cieszy, ponieważ to zakład oferujący doskonałe produkty, budzące zainteresowanie kontrahentów z różnych stron świata. To oczywiście nie wszystko. Polska Grupa Zbrojeniowa dopiero się rozpędza.

▶ Na przestrzeni ostatniego roku Polska Grupa Zbrojeniowa wyraźnie otworzyła się na świat...

Prowadzimy działania na rynku międzynarodowym, które mają nas doprowadzić do realizacji dwóch celów. Po pierwsze, chodzi o eksport sprzętu, który produkujemy już teraz i który będziemy produkować w najbliższej przyszłości. Na tym polu udało się wiele zdziałać. Zysk z eksportu tylko za pierwszy kwartał 2016 roku wyniósł ponad 100 mln euro. Dla porównania dodam, że naszym poprzednikom w całym 2015 roku udało się wypracować zysk z eksportu na poziomie 70 mln euro. Różnicę widać zatem gołym okiem. Jestem przekonany, że kiedy spotkamy się za rok, będę mógł wymienić kwotę o wiele wyższą, może nawet kilkukrotnie.

Drugi cel to transfer technologii do polskiego przemysłu.

▶ I w tym temacie również słychać słowa krytyki – że brakuje konkretów, że zarząd PGZ w tym zakresie opiera swoje działanie na listach intencyjnych, że te listy to tylko gesty pełne kurtuazji...

Mogę z pełną świadomością podkreślić, że listy intencyjne są niezmiernie ważne. To istotne kroki w procesie budowania dobrej, długoterminowej, owocnej współpracy ze światowymi koncernami. 1 grudnia podpisaliśmy list intencyjny z amerykańskim koncernem zbrojeniowym Raytheon, producentem systemu obrony powietrznej „Patriot". Podstawowym ustaleniem jest ponad 50-procentowy udział Polskiej Grupy Zbrojeniowej w realizacji zamówienia, jakie otrzyma Raytheon w ramach Systemu Obrony Powietrznej Średniego Zasięgu WISŁA. Nasz udział to przede wszystkim nowe technologie, takie jak na przykład azotek galu i moduły nadawczo-odbiorcze radarów w tej technologii. Przedmiotem transferu jest też technologia rakietowa, zarówno w zakresie związanym z eksploatacją rakiet, które dostarczy Raytheon, ale co najważniejsze z nowymi, niskokosztowymi rakietami, które mają być produkowane w Polsce, w spółkach z PGZ.

Wspomniany list intencyjny podpisany w naszej głównej siedzibie w Warszawie, pomiędzy firmami Autosan sp. z o.o., Raytheon Company i Polską Grupą Zbrojeniową S.A. dotyczący Systemu WISŁA zakłada, że jedna z najstarszych fabryk w Polsce – Autosan sp. z o.o. obecnie należąca do PGZ – w ramach realizacji Programu WISŁA w systemie Patriot znajdzie się w łańcuchu dostawców programu Patriot w 13 krajach świata. Ponadto planowane jest utworzenie Centrum Produkcji Kontenerów w Autosan sp. z o.o. Centrum wypełni zapotrzebowanie Grupy PGZ w obszarze specjalistycznych kontenerów do zaawansowanych systemów obronnych do zastosowań pod kątem także innych potrzeb, tak samego Raytheona, jak i Sił Zbrojnych RP.

Ten list intencyjny to ważny krok do zbudowania na rynku międzynarodowym przez polski przemysł obronny kompetencji przemysłowych i technologicznych, dzięki którym nasze zakłady będą wytwarzać sprzęt na światowym poziomie. Zarząd, na czele którego stoję, właśnie taki cel stawia przed Polską Grupą Zbrojeniową. Stąd też tak wiele listów intencyjnych zostało podpisanych przez te 12 miesięcy. Każdy z nich otwiera przed polskim przemysłem zbrojeniowym nowe perspektywy. Rok 2016 to nie tylko listy intencyjne. To przede wszystkim ważne umowy z partnerami międzynarodowymi. Dla przykładu podczas XXIV Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach należąca do PGZ skarżyska spółka MESKO podpisała umowę z francuską firmą TDA – podległą koncernowi Thales, dotyczącą produkcji w Polsce nowoczesnych rakiet indukcyjnych przeznaczonych nie tylko na rynek polski, ale także na eksport. To bardzo konkretna umowa, która istotnie podnosi potencjał polskiego przemysłu obronnego i powoduje, że jesteśmy coraz bardziej zauważalni na rynku międzynarodowym.

eprasa.pl f666f89312

▶ Przemysł zbrojeniowy zajmuje ważne miejsce w Planie na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju wicepremiera RP Mateusza Morawieckiego. Jaki ma Pan pomysł na to, żeby polską zbrojeniówkę dobrze i efektywnie wpisać w „Plan Morawieckiego"?

Sektor obronny został określony jako jedno z „kół zamachowych" gospodarki Polski i dokładamy wszelkich starań, by sprostać temu zadaniu. To doskonała koncepcja powrotu do czasów Naszej Rzeczypospolitej – potężnej i niezłomnej. Te działania silnie wspiera minister Antoni Macierewicz, dążąc do odbudowy Centralnego Okręgu Przemysłowego. To bardzo istotny, perspektywiczny projekt reindustrializacji kraju, którą można przeprowadzić w oparciu o przemysł obronny. Tutaj szczególną rolę odgrywa Polska Grupa Zbrojeniowa, która ma swoje zakłady na terenie całego kraju, a wiele z nich jest skupionych właśnie na obszarze historycznego COP-u. Ich aktywizacja, rozbudowa, unowocześnienie da gigantyczne pozytywne owoce gospodarcze i społeczne. Właśnie na tym nam zależy. W ramach tych działań chcemy, żeby najlepsi polscy naukowcy pracowali na rzecz obronności, żeby włączyli swoje wykształcenie, umiejętności i wiedzę w ten proces. Wiele w tym zakresie udało się zrobić w 2016 roku. Między innymi w Zakładach Mechanicznych Tarnów S.A. znacząco usprawniliśmy funkcjonowanie nowoczesnego Centrum Badawczo-Rozwojowego. Z kolei w Bydgoszczy uruchomiliśmy centrum kompetencyjne w zakresie bezzałogowców, które są przyszłością branży lotniczej i zbrojeniowej. Natomiast w Radomiu trwają prace mające na celu stworzenie Centrum Innowacyjności i Nowych Technologii. Ta placówka na miarę XXI wieku przyciągnie najzdolniejszych inżynierów, naukowców. Dzięki temu Radom, miasto o historycznym znaczeniu dla zbrojeniówki, wreszcie staje się rzeczywistą stolicą polskiego przemysłu obronnego. To właśnie tam, w Radomiu, przez długie lata po Czerwcu'76 „mieście wyklętym" , teraz chcemy zbudować naszą główną, nową siedzibę.

▶ Czyli Polska Grupa Zbrojeniowa stawia na innowacje i nowe technologie?

Innowacyjność to źródło przewagi strategicznej, obronnej i gospodarczej. Dlatego w swej strategii postawiliśmy na innowacje, wykorzystanie najnowszych technologii i konkurencyjność. Obligują nas do tego aktualne wyzwania w sferze szeroko rozumianej polityki bezpieczeństwa, która bezpośrednio związana jest z wyzwaniami stojącymi przed przemysłem zbrojeniowym w kontekście technologii przyszłości, jako odpowiedzi na zagrożenia militarne, oraz roli, jaką pełni przemysł obronny w Planie na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju Wicepremiera RP Mateusza Morawieckiego. Cały czas rozwijamy się w tym zakresie i doskonalimy. Już dziś znaczna część naszego sprzętu osiąga parametry klasy światowej.

Do tego niezmiernie ważna jest dla nas współpraca z wyższymi uczelniami. W tym zakresie przez rok wydarzyło się wiele dobrego. Między innymi wspólnie z Politechniką Warszawską uruchomiliśmy specjalne studia doktoranckie w zakresie technik rakietowych i satelitarnych, na których będą kształcić się przyszłe kadry przemysłu obronnego.

▶ Na koniec rozmowy powróćmy do idei reaktywacji Centralnego Okręgu Przemysłowego. Czy inwestowanie we własny przemysł jest jeszcze dzisiaj, w epoce zglobalizowanej gospodarki, sensowne? Może jednak te same efekty da się uzyskać niższym kosztem, na drodze współpracy biznesowej?

Ostatnio, podczas podpisywania umowy na największe zamówienie dla polskiego przemysłu obronnego w dziejach, minister Antoni Macierewicz podkreślał, że nie może istnieć państwo bez armii, armia zaś nie może istnieć bez własnego przemysłu. Pytanie o sensowność istnienia polskiego przemysłu obronnego jest więc pytaniem o to, czy chcemy Polski suwerennej i niepodległej. Odpowiedź jest jasna – właśnie takiej ojczyzny chcemy. Dlatego uruchamiamy na nowo potencjał polskiego przemysłu. W oparciu o przemysł obronny odbudowujemy idee COP-u. Symbolem tych działań jest podpisanie wspomnianej już podczas naszej rozmowy umowy dotyczącej programu „REGINA". To wydarzenie bez precedensu. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie decyzja rządu pani premier Beaty Szydło o powierzeniu ministrowi obrony narodowej Antoniemu Macierewiczowi nadzoru nad przemysłem obronnym. To dzięki tej synergii pomiędzy przemysłem i armią można dzisiaj wykonywać tak imponujące prace. Dostawa tego najnowocześniejszego sprzętu dla polskiej armii zbiega się właśnie z 80. rocznicą powstania Centralnego Okręgu Przemysłowego. To symbol, ale jakże rzeczywisty. Dzisiaj przemysł obronny na nowo staje się kołem zamachowym polskiej gospodarki. Umowa dotycząca programu „REGINA" i jej realizacja najlepiej ilustruje zmiany, jakie dokonały się na przestrzeni ostatniego roku. To także dowód na to, że Polska Grupa Zbrojeniowa to jeden z głównych filarów gospodarki i bezpieczeństwa kraju. ■

Artykuł powstał we współpracy z PGZ S.A.

eprasa.pl f666f89312

„Pali papierosa przystojny brunet o przedwczesnej siwiźnie na skroniach, aksamitnym spojrzeniu dużych czarnych oczu i rozbrajającym uśmiechu, którym potrafi zjednać każdego. To Marianek, czyli Marian Rentgen, gitarzysta i piosenkarz, mimo że głos ma nosowy" – wspominał go Tadeusz Wittlin. Rentgen był ulubieńcem publiczności stolicy, nazywanym Trubadurem Warszawy. Ostatni raz widziany był w obozie w Starobielsku. Do dziś nie odnaleźliśmy jego szczątków. Prawdopodobnie spoczywają w masowym grobie w Piatichatkach, obok innych ofiar zbrodni katyńskiej.

Gitara

Co się z nim stało – dokładnie nie wiadomo. Zaginął na Wschodzie w zawierusze wojennej" – pisało o Marianie Rentgenie pismo „Stolica" z 25 stycznia 1976 r. Taka wersja oficjalnie obowiązywała w komunistycznej prasie. Marian Rentgen był drugim po Eugeniuszu Bodo najbardziej znanym polskim aktorem, piosenkarzem i kabareciarzem, który zginął z rąk komunistów. Pamięć o Bodo w powszechnej świadomości przywrócił niedawno telewizyjny serial, historia Rentgena pozostaje nadal zapomniana.

Receptura wódki waniliowo-goździkowej

W przedwojennym filmowym szlagierze „Ada! To nie wypada!" Marian Rentgen śpiewał piosenkę o obyczajach malarzy, zatytułowaną „Goło, wesoło":

Nie sądź malując jak Kossak, jak Frycz
Żeś poznał już sztukę prawdziwą
Bo „sztuka" – to znaczy wziąć forsę za kicz
Przyjść do nas i przepić grosiwo.
Hokej się ceni, kariokę się ceni
A sztuka, biedaczka, ma schodzić na psy
Płótno przed nami i płótno w kieszeni
Goło, wesoło – to my!

Piosenka oddawała beztroski klimat niepodległej Polski, w której opisywany w niej malarz radził sobie, jak mógł:

Był malarz i gąska, uwiecznić ją chciał
A rzeźbił jak mistrz Leonardo
Trzy dni ją uwieczniał, a w czwartym wpadł w szał
I wrąbał modelkę z musztardą
Klimat się zmieni i ustrój się zmieni
A bieda z malarzem wciąż będą na ty
Płótno przed nami i płótno w kieszeni
Goło, wesoło – to my!

„Kochany Marianie. Na twoich piosenkach uczyłem się pisać, może się jeszcze nauczę, bo to dopiero Twój pierwszy jubileusz, ale już dziś dziękuję i ściskam serdecznie" – taki wpis w jubileuszowej księdze Mariana Rentgena z 1937 r. umieścił jego imiennik Marian Hemar.

„Mieszkał przy ulicy Poznańskiej nr 3. Przychodzili tam ludzie często nie najlepszej konduity z Woli, Targówka czy Bródna, by przy waniliowo-goździkowej wódce tajemniczej receptury Rentgena, dyktować mu zasłyszaną gdzieś nowo powstałą piosenkę, którą artysta zapisywał, gdyż obok innych melodii ludowych, kolekcjonował folklor miejski" – pisze

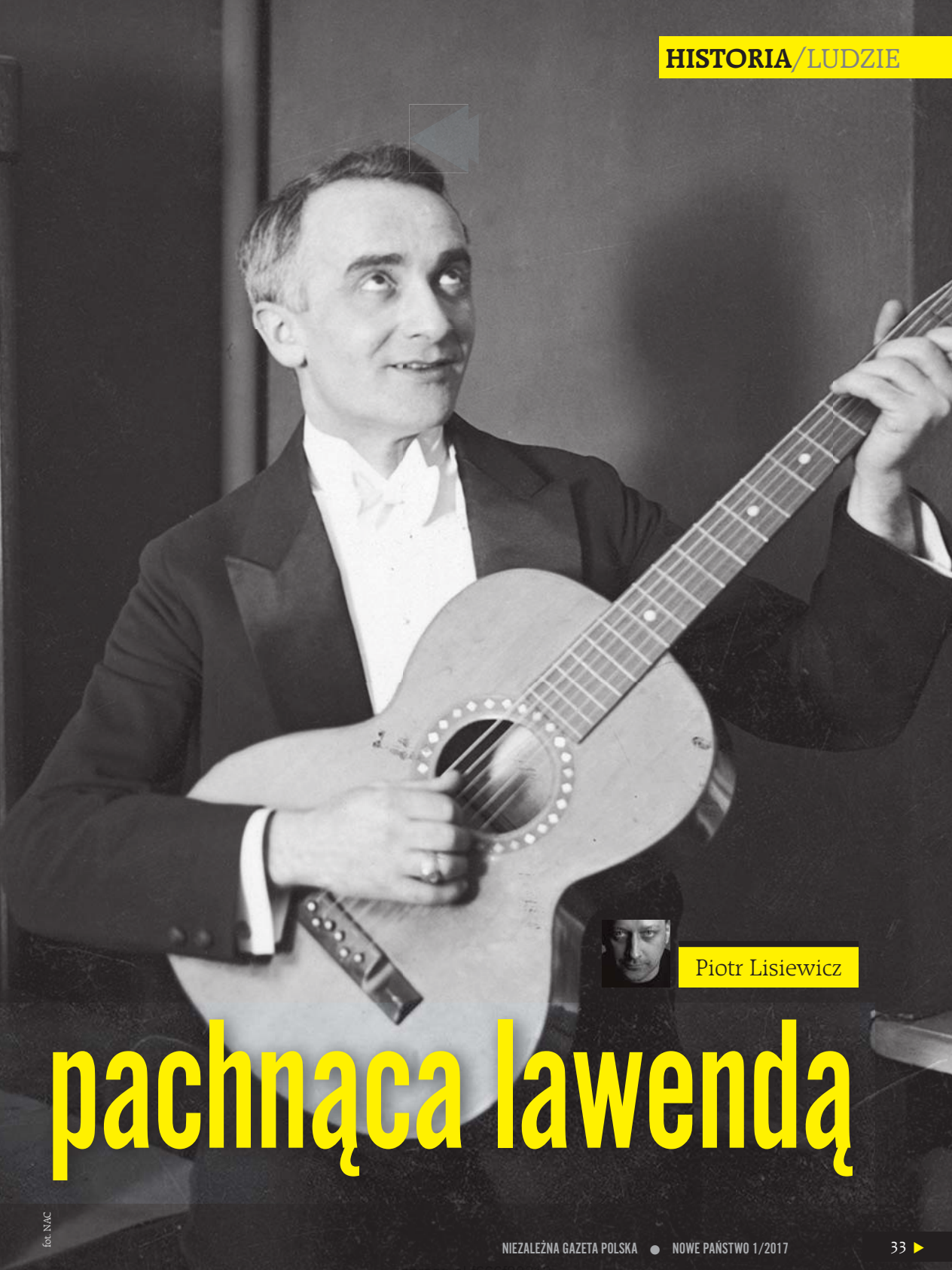

Piotr Lisiewicz

pachnąca lawendą

fot. NAC

eprasa.pl f666f89312

o artyście Anna Milewska-Młynik w marcowym numerze pisma „Niepodległość i pamięć".

O czterech pannach z Avignonu

Cytowany już Tadeusz Wittlin w książce „Pieśniarka Warszawy" o Hance Ordonównie tak pisał o tej pasji Rentgena: „Popularny Marianek, piosenkarz przy gitarze, ma swoisty repertuar, gdyż rzadko tylko korzysta z tekstów zawodowych pisarzy. Rentgen jest zamiłowanym zbieraczem ludowych pieśni wszelkich narodowości i w Stańczyku popisuje się oryginalnymi utworami. Śpiewa więc starofrancuską balladę »O czterech pannach z Avignonu«, »Chanson Espagnol«, serenadę Don Pasqala do Donny Laury i polską przyśpiewkę z Podkarpacia jak to »Hej, na zielonej łące! Pasła dziewucha owce«". Dziewuchy i dzieweczki często pojawiały się w jego piosenkach, choć nie były traktowane bezkrytycznie:

Młode dzieweczki
I panieneczki
Choć pół chwileczki
Darujcie mnie!
To powiem o was, o was, o was, o was, o was,
Na korzyść waszą, troszeczkę źle!
Że na tym świecie
W każdej kobiecie,
Tego nie wiecie,
Jest przywar sto!
Może jest więcej, więcej, więcej, więcej, więcej!,
Lecz nie jest nie mniej, już ja wiem to!

À propos wspomnianych „receptur", to dzięki nim Rentgen potrafił wyprodukować nie tylko wódkę, był bowiem wykształconym we Lwowie farmaceutą i właścicielem apteki przy ulicy Mazowieckiej w Warszawie. „Na tej ulicy nawet wielka, woniejąca lawendą apteka Mazowiecka ma artystyczny wydźwięk, gdyż jej naczelnym farmaceutą jest aktor i pieśniarz-gitarzysta Marian Rentgen, ulubieniec stolicy" – pisał o niej Wittlin w „Ostatniej cyganerii".

Ty byłeś żandarm, a ja byłem zbój

„Śpiewałem od dzieciństwa i niemal zawsze – przy gitarze. Gitara w naszym domu nie była instrumentem. Była przedmiotem. Przedmiotem codziennego, powszedniego użytku" – wspominał Marian Rentgen. Urodził się w Bochni 23 czerwca 1888 r., jako syn Jerzego Güntnera i Józefy z Shoerów. Pseudonim „Rentgen" miał być przeróbką jego nazwiska – przepołowionego i czytanego na wspak. Opowieści o dzieciństwie pojawią się w śpiewanej przez niego „Piosence nieaktualnej":

Pamiętasz pokój dziecinny mój
Ty byłeś żandarm, a ja byłem zbój
Stół był namiotem, a zwykle pod tym
Herszt rozbójników spał

Pamiętasz wojsko z tektur i blach
Pamiętasz w ciemnym pokoju strach
I bańki z mydła i te powidła
Coś ze spiżarni brał

Piosenka nieaktualna
Naiwna i nierealna
Piosenka, którą zapomniał świat

Piosenka, o czymś, co było
Minęło i nie wróciło
Na którą już wyrok czasu padł.

Czy tak było w jego życiu? Wiadomo, że od 1909 r., po ukończeniu gimnazjum, studiował na Wydziale Farmacji Uniwersytetu Franciszkańskiego we Lwowie. „Ukończyłem studia dramatyczne Romana Żelazowskiego, któremu wiele zawdzięczam, jeśli chodzi o mój rozwój artystyczny. Równie wiele wdzięczności będę miał zawsze do znakomitych artystów: Ignacego Dygasa, Anny Gostyńskiej i Franciszka Gostyńskiego. Ten ostatni, obecnie już staruszek 84-letni, podarował mi w swoim czasie własną gitarę, na której grywam do dziś dnia. Jest to unikat w swoim rodzaju, jak skrzypce Stradivariusa lub Bechsteinowskie pianina, bo wykonał ją własnoręcznie przed 120 laty sam Stäuffer" – wspominał. Jak pisze Anna Milewska-Młynik, śpiewu uczył się u Zofii Kozłowskiej, która kształciła głos u signory Fausty Cresbi w Mediolanie.

Zadebiutował jako kuplecista w 1912 r. w Ulu, czyli pierwszym lwowskim kabarecie literackim, który działał przy modnym wówczas lokalu Alberta Szkowrona. Współzałożycielem kabaretu był reżyser, aktor i piosenkarz Ludwik Lawiński.

W czasie I wojny światowej mieszkał w Krakowie. Był członkiem Drużyny Strzeleckiej. Został wcielony do armii austro-węgierskiej. W 1918 r. wstąpił do Wojska Polskiego i trafił do 13 Pułku Strzelców Podhalańskich. Został awansowany do stopnia porucznika w Korpusie Oficerów Służby Zdrowia ze starszeństwem z 1 czerwca 1919 r. i przydzielony do kadry zapasowej 1 Szpitala Okręgowego. Podczas wojny polsko-bolszewickiej służył w 201 Pułku Piechoty i 205 Pułku Piechoty im Jana Kilińskiego, w którym był dowódcą 3 kompanii I batalionu.

eprasa.pl f666f89312

„Wszystko zło przysypie dobry śnieg"

Po wojnie za sprawą Ludwika Lawińskiego trafił do warszawskich teatrzyków rewiowych. W 1919 r. związał się z kabaretem Miraż, który prowadzili Jerzy Boczkowski i Andrzej Włast. Potem Rentgen występował w najważniejszych kabaretach i teatrzykach rewiowych tych lat: Qui pro Quo, Perskim Oku (1925–1926), Momusie, Wielkiej Rewii i Stańczyku.

Jednym z najpiękniejszych sentymentalnych utworów z tego czasu była piosenka „Biały Boston", do słów Andrzeja Własta:

Jak jesienny liść zwiędła miłość twa
Więc idź, zrzuć ciężar z bark
Dziś nie błyśnie już w oczach moich łza
Nie usłyszysz mych tłumionych skarg

Nie patrząc na stóp twoich ślad
Pójdę obojętnie w świat

Pada śnieg, puszysty, biały, miękki
Pada śnieg, srebrzysty niby len
W bieli szat królewskie lśnią Łazienki
Chwały swej i swej przeszłości sen

Pada śnieg, mkną płatki jak motyle
Ziemia jest jak biały nieba brzeg
Podaj dłoń w tę cichą, jasną chwilę
Wszystko zło przysypie dobry śnieg

Idź i przebacz mi, i szczęśliwą bądź
Twój żal minie, ja wiem
Idź, nie będę cię ganić ani kląć
Aż po grób wspomnieniem będziesz mem.

Zofia Stryjeńska w „Wiadomościach Literackich" (1924, nr 52) pisała o Rentgenie i jego piosenkach: „Tak rzadki u nas typ piosenkarza jest reprezentowany przez p. Marjana Rentgena, którego można nazwać prawdziwie szarym słowikiem, szarym nie tylko z powodu szarych włosów, szarego ubrania, szarej krawatki i szarych oczów, a słowikiem nie dla słowiczego głosu śpiewaczki neapolitańskiej, lecz dla owej śpiewaczki i dystynkcji, jaką odznacza się słowik w zestawieniu z pawiem. Pomijając osobisty urok p. Rentgena, który od pierwszego momentu ukazania się na scenie zagarnia sympatję publiczności, pomijając ów uśmiech tajemniczy jak uśmiech Gerbaulta (który przepłynął bez powodu ocean na łódce), możemy bezsprzecznie uznać p. Rentgena (i jego gitarę) za jedynego trubadura polskiego".

„Dulcyneo, księżyc zgasł"

Na czym polegała wyjątkowość Rentgena? „Osobliwy wdzięk i prostota piosenek, sposób przedstawienia ich słuchaczom, tworzą z najbardziej nieznacznych strof perły humoru i nadają im dużą wartość artystyczną. [...] Takich artystów jest dziś mało, to też pojawienie się p. Rentgena na scenie witane jest zawsze burzą oklasków" – pisała Stryjeńska w tekście zatytułowanym „Szary słowik".

Prawdziwym przebojem tych czasów była piosenka wykonywana przez Rentgena w rewii „Warszawa znów się bawi" w Perskim Oku, czyli „Dulcynea":

Czy znacie miłość Don Kichota?
Rycerza, barda i huncwota.
Ujęła go dziewczyny cnota,
więc pod jej oknem śpiewał tak:

Dulcyneo, księżyc zgasł.
Dulcyneo, spójrz choć raz.
Gdy twe usta i oczy się śmieją,
czuję, że kocham cię, Dulcyneo!
Dulcyneo, ufaj mi.
Dulcyneo, uchyl drzwi.
Tyś mym szczęściem,
tyś moją nadzieją,
całuj, Dulcyneo!

Zjeżdżanie Polski wzdłuż i wszerz z kabaretowymi występami było zajęciem intensywnym. Na cytowanej przez Annę Milewska-Młynik kartce pocztowej wysłanej do żony Romany 19 listopada 1928 r. pisał: „Już zbliża się upragniony koniec mojej podróży. Choć nie wiem dobrze, co będzie później, ale na razie bardzo się cieszę. Dziś gramy w Katowicach w nocy, potem Łowicz i Kutno i powrót".

„Koziołeczek był bardzo rozpustny"

W latach 30. Rentgen występował w kabaretach i teatrzykach Wesoły Wieczór, Wesołe Oko i Morskie Oko. Jak pisze Anna Milewska-Młynik, szczególnie pracowity był dla niego rok 1930, kiedy zagrał w pięciu przedstawieniach, w tym „Confetti", „A może do nas" i „Rumba, rumba".

W 1935 r. wraz z całą czołówką polskich aktorów wystąpił w spektaklu „Gwiazdy areny", wystawionym w warszawskim cyrku Braci Staniewskich, co wymagało dobrej formy fizycznej, ale na tę Rentgen się nie skarżył. „Mimo siwiejących już włosów czuję się na siłach nawet do ról młodzieńczych. Uprawiam sporty. Fechtuję, jeżdżę konno (jestem oficerem rezerwy, brałem udział w wojnie), pływam" – mówił w jednym z wywiadów.

eprasa.pl f666f89312

W latach 1935–1939 Rentgen występował w kabarecie Cyrulik Warszawski, w którym konferansjerem był słynny Fryderyk Jarosy. W rewii Jarossego Cabaretissimo pojawiła się przeróbka jednej z najstarszych pieśni ludowych „Babuleńka i koziołeczek"., zapisanej w XVII wieku przez dominikanina Rudnickiego. Przeróbka owego utworu, autorstwa Marina Hemara, śpiewana przez Rentgena i przerywana refrenem brzmiała tak:

Była babuleńka rodu bogatego
miała koziołeczka bardzo rogatego [...]
A ten koziołeczek był bardzo rozpustny,
wyjadł babuleńce ogródek kapusty.
Wzięła babuleńka kijaska grubego
z ogródka wygnała koziołka psotnego.
Poszedł koziołeczek na rozstajne drogi
wilcy go tam zjedli, zostawili rogi.
Umarł koziołeczek, już więcej nie wstanie
zaśpiewajcie wszyscy wieczne spoczywanie!

„Najznakomitszy przedwojenny wykonawca kujawiaków (i nie tylko!) oraz słynnej Hemarowskiej ballady »Była babuleńka rodu bogatego«" – tak określa Rentgena Anna Mieszkowska w książce, „Ja, kabareciarz", czyli biografii Mariana Hemara.

Głośne były jego wspólne występy z niesamowitą Zofią Terne. Dość nieprzyzwoita jak na owe czasy była śpiewana przez Rentgena „Piosenka dla dorosłych", z racji na refren znana publiczności także pod tytułem „Marianku":

Gdy jeszcze byłem mały
Płatałem figlów moc
Broiłem przez dzień cały
Nie spałem całą noc

Kuzynkę moją Julkę
Gdy już do łóżka szła
Łapałem za koszulkę
Że niby tam jest pchła

Gdy to mama zobaczyła
Nie szczędziła gorzkich lag
Mocno mnie trzepaczką biła
Na dodatek mówiąc tak:

Marianku, ach Marianku
Nie ruszaj tego
To tylko dla dorosłych
W tem jest coś złego.

Latem jeździł po uzdrowiskach, gdzie występował wspólnie z Hanką Ordonówną, a w wakacyjnej atmosferze największe oklaski zbierały piosenki „Babuleńka i koziołeczek", „Aniele mój" oraz „Aczkolwiek panno Maniu, czemu nie". Ta ostatnia, napisana gwarowym słownictwem przez Andrzeja Własta, a wykonywana przez Rentgena, wywoływała burzę wesołości. Rentgen nagrał też wiele zapomnianych dziś pieśni ludowych, podmiejskich ballad podwórzowych.

▶ Przepraszał publikę, że wychodzi na scenę

Dokonał jednak także nagrań dla wytwórni „Płyty Polskiej", Syreny Rekord oraz Parlophonu. Niektóre z nich ocalały i są dziś dostępne w internecie. Grał też w najbardziej znanych obrazach przedwojennego kina. Mówił o tym w rozmowie z Ireną Tomską na łamach „Srebrnego Ekranu" (1938 nr 16): „Występowałem w polskich filmach niejednokrotnie, nie mogę jednak tych występów nazwać rolami. Wplatano mnie po prostu wraz z moją gitarą do akcji jako dodatek czy dekorację". Kolejno były to filmy „Kochanka Szamoty" (1927), „Sto metrów miłości" (1932), „Jego ekscelencja subiekt" (1933), „Ada to nie wypada" (1936), „Parada Warszawy" (1937), „O czym się nie mówi" (1938).

„NA SCENIE ROBIŁ WRAŻENIE, JAKBY PRZEPRASZAŁ PUBLIKĘ, ŻE WYCHODZI NA SCENĘ I ZAJMUJE JEJ CZAS [...]. OPANOWAŁ SWOJĄ INDYWIDUALNOŚCIĄ, INTELIGENCJĄ I ZAMIŁOWANIEM TĘ SZTUKĘ, KTÓRA ZDAWAŁA SIĘ TAK PROSTA I ŁATWA".

Jednocześnie utrzymywał wspomnianą aptekę, a przywołany przez Wittlina fakt, iż pachniało w niej lawendą, potwierdzają relacje innych świadków. Jak pisze Milewska-Młynik, Rentgen aptekę wydzierżawił od doktora Antoniego Sklepińskiego, a prowadził ją prowizor Czesław Fink-Finowiecki. „Była to jedna z lepszych aptek w Warszawie. W latach 30. lokal ten został zmodernizowany. Fink-Finowiecki wprowadził maszynowe wpisywanie sygnatur aptecznych, zaprojektował i zakupił wielu urządzeń przemysłowych. Przy wystroju współpracował z plastykami i grafikami, m.in. z Erykiem Lipińskim. Starannie utrzymane wnętrz pachniało lawendą" – czytamy w tekście na łamach pisma „Niepodległość i pamięć".

eprasa.pl f666f89312

W grudniu 1937 r. w Filharmonii Warszawskiej odbył się koncert z okazji jego 25-lecia pracy scenicznej. Zachował się wywiad, którego Rentgen udzielił wówczas Polskiej Agencji Telegraficznej, który można dziś obejrzeć na YouTube.

Były dekorator Józef Galewski, będący niegdyś dekoratorem w Qui pro Quo, wspominał jego ówczesne występy: „Na scenie robił wrażenie, jakby przepraszał publikę, że wychodzi na scenę i zajmuje jej czas [...]. Opanował swoją indywidualnością, inteligencją i zamiłowaniem tę sztukę, która zdawała się tak prosta i łatwa. Cóż to, mówili niektórzy, pobrzdąkiwać na gitarze, zaśpiewać piosenkę to każdy potrafi, ale jak ją zaśpiewać, to była sztuka prawdziwa [...]. Gdy w jednym finale, już bez gitary, razem z aktorami tańczył, zdawało się to niemożliwe, ale tak było dla dobra sztuki, co zostało przez publiczność przyjęte gorącymi oklaskami".

W 1939 r. Rentgen został zaangażowany przez warszawski teatrzyk Figaro. Premierę pierwszego spektaklu z jego udziałem zaplanowano na 2 września...

Niech smutny przechodzień pomyśli, poduma

Wojna zastała Mariana Rentgena w jego mieszkaniu przy ulicy Poznańskiej 3 w Warszawie. Jako 51-letni porucznik rezerwy zgłosił się do wojska. Dostał przydział do szpitala Czerwonego Krzyża. Jerzy Jurandot w książce „Dymek z papierosa" tak zapamiętał pożegnanie z teatrem: „Patrzyłem na miejsce na scenie, gdzie powinien stać siwowłosy porucznik Marian Rentgen. Odjechał przed paroma dniami, już zmobilizowany. Płakali przy fortepianach Boruński i Wimpel. Wszyscy. Wielu z nich widziałem tego tygodnia po raz ostatni".

Po ewakuacji szpitala został aresztowany przez Rosjan. Wiadomo, że trafił do obozu w Starobielsku. Jego nazwisko znajduje się na liście wywozowej polskich jeńców. W kwietniu 1940 r. został zamordowany w Charkowie. Jego szczątków nigdy nie zidentyfikowano. Prawdopodobnie spoczywają one w zbiorowej mogile na cmentarzu polskich oficerów w Piatichatkach.

W jednej z piosenek zapowiadał:

Ja żyć już nie mogę, położę się – umrę.
Ubiorą mnie ładnie, położą mnie w trumnę [...]
Wywiozą mnie w trumnie za miasta rogatki,
Położą mnie w grobie, zasadzą mi kwiatki.
Niech smutny przechodzień pomyśli, poduma:
Tu leży ten, co umarł.

Ta akurat przepowiednia z piosenki Rentgena nie sprawdziła się, bo grobu nie ma do dziś...

W PRL rzecz jasna nie było można o tym wspominać, choć jak pisze Tomasz Mościcki w książce „Kochana stara buda",w pewnym momencie w tej kwestii pojawił się wyłom: „»Po wojnie już nie wiadomo, jakie są jego losy« – napisał w swoim pamiętniku Galewski. Nie wiedział, czy nie mógł powiedzieć? Gdy spisywał swoje wspomnienia, a był początek lat 60., nazwa »Katyń« była otoczona całkowitym milczeniem. A tam właśnie zginął bard Warszawy. Po raz pierwszy informacja ta pojawiła się w I tomie »Słownika biograficznego teatru polskiego«. Trzeba było nie lada odwagi i determinacji, by w 1973 roku, w czasie, gdy cenzurze i reglamentowaniu podlegały nawet informacje naukowe – wzmiankę o śmierci w Katyniu przemycić w oficjalnie ukazującym się wydawnictwie".

Rzeczpospolita przypomniała Rentgena dopiero w 2007 r. – pośmiertnie został awansowany do stopnia kapitana.

„Chwyć za topór i ścinaj, Marianku"

Za to na wygnaniu Feliks Konarski, czyli Ref-Ren, autor piosenki „Czerwone maki na Monte Cassino", poświęcił śmierci Eugeniusza Bodo i Mariana Rentgena jeden z wierszy napisanych na wygnaniu:

Przyszli nie umówieni we Lwowie,
w ostatniej chwili sobierajsa z wieszczami
i potem już bez słowa do budy wtłoczyli,
i powieźli na zawsze – to wszystko.
wykreślili czerwonym ołówkiem
jeszcze jedno z żyjących nazwisko. [...]

To Marian Rentgen z gitarą dla warszawskiej ulicy
śpiewa smętną balladę o ostatniej dziewicy
i o Panu Franciszku, który z duszą spłakaną
i ze sercem rozdartym struł się kiszką kaszaną
i o pannie Agnieszce, która tak go kochała,
że do Wisły z miłości osiem razy skakała,
na galerii kucharki pochlipują żałośnie
Śpiewa Rentgen z gitarą bergeretę o wiośnie.

A na Wyspie Franciszka Józefa wiosny nie/
ma całymi latami.
A na Wyspie Franciszka Józefa tylko śnieg,/
zimny śnieg pod stopami
Ale stopy zimniejsze od śniegu, ale stopy już/
śniegu nie czują,
Tylko oczy do nieba się wznoszą, tylko oczy/
po niebie się snują,
Ale nieba nie widać, bo wkoło czarnych/
świerków kołysze się chmara.
Chwyć za topór i ścinaj, Marianku – będzie/
z tego niejedna gitara. ■

eprasa.pl f666f89312

Janina i Antoni Żubrydowie. Zdjęcie ślubne. 28 października 1940 r., Sanok

Dariusz Jarosiński

Kręte ścieżki Bieszczad

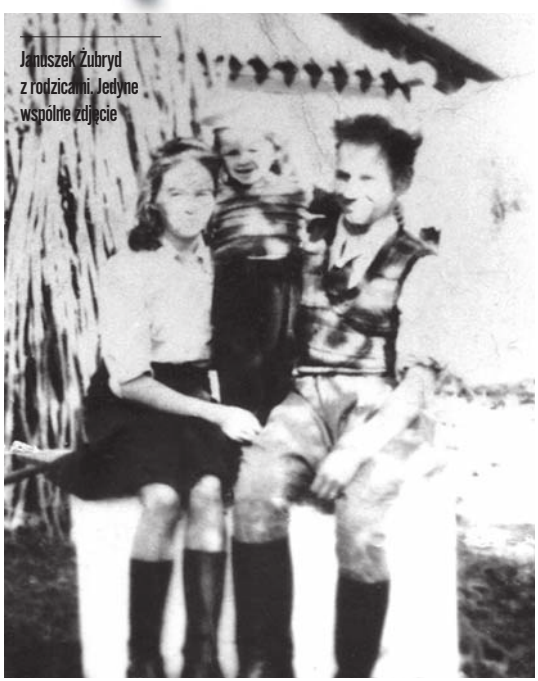

Januszek Żubryd z rodzicami. Jedyne wspólne zdjęcie

Historia Antoniego Żubryda jest niezwykle burzliwa, był człowiekiem obdarzonym charyzmą, potrafiącym porwać za sobą ludzi, przed którym nawet komuniści czuli respekt. Nie dziwi więc, że przedstawiany był przez nich jako krwawy watażka, prymitywny bandyta, a jego oddział określano jako „bandę rabunkowo-terrorystyczną NSZ".

eprasa.pl f666f89312

Przez wiele lat zafałszowany obraz Żubryda i jego żołnierzy kształtowała powieść Jana Gerharda „Łuny w Bieszczadach", która miała 12 wydań, pierwsze w 1959 r. Pozycja osiągnęła w sumie nakład ponad 0,5 mln egzemplarzy i była lekturą szkół średnich i zasadniczych zawodowych. Na kanwie tej powieści czołowi reżyserzy peerelowscy, Ewa i Czesław Petelscy, zrealizowali w 1961 r. film „Ogniomistrz Kaleń" z Wiesławem Gołasem w roli głównej.

Ucieczka spod lufy karabinu

Urodził się w Sanoku w 1918 r. Kiedy skończył 15 lat, rodzice wysłali go do trzyletniej Szkoły Podoficerskiej Piechoty dla Małoletnich w Śremie niedaleko Poznania. Nauka w szkole była bezpłatna, więc dobrze się składało, bo rodzina Żubrydów nie należała do zamożnych – ojciec był woźnym w sanockim gimnazjum, a matka nie pracowała. Po ukończeniu szkoły Antek otrzymał przydział do 40 Pułku Piechoty „Dzieci Lwowskich" we Lwowie, gdzie pełnił funkcję dowódcy plutonu. Z macierzystym oddziałem walczył we wrześniu 1939 r. w obronie Warszawy. Jego walory dostrzegli dowódcy, bo został awansowany do stopnia sierżanta, a ponadto otrzymał Krzyż Walecznych. Wraz z kolegami z pułku trafił po kapitulacji Warszawy do niemieckiej niewoli. Po zwolnieniu powrócił w rodzinne strony.

Sanok był miastem nadgranicznym, okupowanym przez III Rzeszę, po drugiej stronie rzeki, za Sanem, znajdowały się tereny okupowane przez Związek Sowiecki. O tym podziale Polski zdecydował układ niemiecko-sowiecki, zwany paktem Ribbentrop–Mołotow.

Historyk Andrzej Romaniak dotarł w archiwach niemieckich do dokumentów, z których wynika, że Antoni Żubryd za namową kolegi w 1940 r. podjął współpracę z wywiadem sowieckim. Przyjął pseudonim „Orłowski". Informował Sowietów o zachowaniu, ruchach wojsk niemieckich. Współpraca ograniczyła się do wykonania kilku zadań i zakończyła się wczesną wiosną 1941 r.

W 1940 r. Antoni Żubryd poznał Janinę Praczyńską. Miała ona wówczas 19 lat, była piękną dziewczyną, pochodziła z zamożnej rodziny sanockiej, jej ojciec był inżynierem leśnikiem, miała cztery równie urodziwe siostry. 28 października Antoni i Janina wzięli ślub. Niemal dokładnie rok później, bo 22 października, przyszedł na świat syn Janusz.

22 czerwca 1941 r. wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Na początku listopada Antoni Żubryd w związku z agenturalną działalnością na rzecz Sowietów został aresztowany przez gestapo. Śledztwo trwało dwa lata. 6 września 1943 r. Sąd Specjalny Sondergericht w Krakowie skazał go na karę śmierci. Udało mu się uciec dosłownie spod lufy niemieckiego karabinu, z miejsca egzekucji w podkrakowskiej wsi Pogorzelica. Poszukiwany listem gończym musiał ukrywać się, prawdopodobnie nawiązał w tym czasie współpracę z Armią Krajową. Z rodziną spotkał się pierwszy raz w wyjątkowym dniu, bo w Wigilię Bożego Narodzenia 1943 r.

Jak podhalański mjr Kuraś „Ogień"

W sierpniu 1944 r. na ziemię sanocką wkroczyła Armia Czerwona. Jesienią napisał podanie o przyjęcie do pracy w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Sanoku. 24 lutego 1945 r. został oficerem śledczym Sekcji VII w stopniu podporucznika. Do jego zadań należało m.in. przesłuchiwanie agentów gestapo, volksdeutschów, członków UPA. Utrzymywał kontakt z podziemiem niepodległościowym, ostrzegał o zagrożeniach, informował konspiratorów o planach UB. Zdaniem dr. hab. Krzysztofa Kaczmarskiego, historyka z rzeszowskiego Oddziału IPN, Antoni Żubryd od maja 1945 r. pozostawał najprawdopodobniej w kontakcie z poakowskim oddziałem dowodzonym przez chor. Waleriana Ciubkę vel Nowosławskiego „Wardę". Dzięki Żubrydowi zwolniono z aresztu ubeckiego dwie siostry „Wardy", ostrzegł też „Wardę" przed planowaną obławą UB.

Na początku czerwca 1945 r. Żubryd przechwycił rozkaz szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie nakazujący aresztowanie go. Jako powód aresztowania podano podejrzenie o współpracę z podziemiem. 8 czerwca porucznik Żubryd, pełniący ostatnio funkcję zastępcy komendanta PUBP, zdezerterował. Z ubeckiego aresztu uwolnił dziesięciu AK-owców, zabrał też broń. Kilkaset metrów od budynku UB czekał na nich samochód ciężarowy, którym dotarli na kwaterę w miejscowości Niebieszczany. Kiedy następnego dnia ubecy odkryli zniknięcie AK-owców oraz Żubryda, aresztowano jego synka Januszka i teściową, Stanisławę Praczyńską. Ubecy liczyli, że odda się w ręce komunistów i poprosi o uwolnienie Januszka i teściowej. W odpowiedzi 15 czerwca Żubryd zlikwidował szefa sanockiego UB Tadeusza Sieradzkiego, a następnie zaatakował i zajął posterunek MO w Haczowie i uwięził siedmiu milicjantów. W telefonicznym ultimatum do sanockiego UB postawił sprawę jasno: jeśli w ciągu godziny nie uwolnicie dziecka i teściowej, milicjanci zostaną rozstrzelani. Ubecy doskonale wiedzieli, że z Żubrydem nie ma żartów, że on nie rzuca słów na wiatr. Spełnili szybko jego żądanie.

W ciągu kilku miesięcy Żubryd podporządkował sobie wszystkie poakowskie oddziały operujące samodzielnie na terenie Bieszczad i Beskidu Niskiego. Pod jego komendę oddawali się dezerterzy z Ludowego Wojska Polskiego, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Trzeba zresztą powiedzieć, że z Żubry-

eprasa.pl f666f89312

dem sympatyzowało wielu oficerów LWP, pomagali mu w zaopatrzeniu partyzantów w broń i amunicję. W połowie listopada 1945 r. zarządził odprawę dowódców wszystkich podległych mu oddziałów. Na odprawę na leśnej polanie w pobliżu wioski Raczkowa przybył też oficer, przedstawiciel krakowskiej Komendy Okręgu Narodowych Sił Zbrojnych, której to Komendzie podporządkował się Żubryd. Oddział przyjął nazwę Samodzielny Batalion Operacyjny „Zuch", dowódca, awansowany do stopnia kapitana, obrał też pseudonim „Zuch". Wiosną 1946 r. Batalion liczył ponad 260 żołnierzy. Podzielony był na trzy samodzielne kompanie i dwa plutony. I kompanią dowodził Franciszek Mandzelowski „Załas", operowała ona w północnej części powiatu sanockiego. Dowódcą II kompanii, która działała w powiecie krośnieńskim w okolicach Rymanowa, był Edmund Sawczyn „Mundek", „Puma". III kompania Stanisława Kossakowskiego „Kozaka", „Wichury" przeprowadzała akcje w centralnej części powiatu sanockiego oraz w powiatach leskim i brzozowskim.

Zastępcą Żubryda został ppor. Mieczysław Kocyłowski „Czarny", młody, ale bardzo już doświadczony partyzant. W 1942 r., jako piętnastolatek, został zaprzysiężony do AK. Walczył w oddziale Mieczysława Bielca „Błyska", pełnił funkcję jego zastępcy.

Rygor i rządy twardej ręki

Kwatera Żubryda znajdowała się w miejscowości Niebieszczany, gdzie przebywał z plutonem żołnierzy. Pluton ten stanowił ochronę dowódcy i wykonywał zadania specjalne, m.in. likwidował działaczy PPR, konfidentów, szpicli. W Niebieszczanach znajdowały się magazyny broni, żywności, a także szpital polowy. Rannymi, chorymi zajmował się lekarz z Krosna Antoni Lorens, do pomocy miał dwie sanitariuszki zakonnice. Działalność Żubrydowców, bo tak nazywano żołnierzy Żubryda, cieszyła się dużą sympatią polskich mieszkańców Bieszczad, Sanoka. Nawet komuniści przyznawali, że „Zuch" wprowadził w Batalionie „wojskowy rygor i rządy twardej ręki, które zjednały mu wśród członków autorytet i uznanie".

Żubrydowcy szybko zasłynęli głośnymi, brawurowymi akcjami. Z zaskoczenia atakowali grupy operacyjne UB, MO i KBW. „Zuch" miał swoich współpracowników, informatorów w UB, znał też metody działania bezpieki, nazwiska konfidentów, był niezwykle trudnym przeciwnikiem komunistów. W zasadzkę Żubrydowców wpadła na przykład grupa operacyjna UB i LWP próbująca 1 listopada 1945 r. osaczyć jedną z kompanii. Śmierć poniosło trzech funkcjonariuszy UB i trzech żołnierzy LWP, wielu zostało rannych. Żołnierze „Zucha" napadali na posterunki milicji, urzędy gmin, stacje kolejowe, uwalniali z ubeckich, milicyjnych aresztów żołnierzy podziemia antykomunistycznego.

Wiele akcji świadczy o dużej fantazji dowódcy, na przykład 18 maja 1946 r. Żubrydowcy rano zajęli Mrzygłód, miejscowość położoną nad Sanem, rozbroili posterunek milicji, po czym udali się zdobycznym samochodem w rajd do Sanoka. Mieszkańcy miasta ciepło pozdrawiali rozśpiewanych żołnierzy podziemia antykomunistycznego. Zajechali z fasonem pod restaurację Jubileuszowa, gdzie Antoni Żubryd zrugał publicznie oficera Wojska Polskiego, że ten nosi na czapce orzełka bez korony, że służy komunistom, a nie polskiemu narodowi. W pobliżu Fabryki Wagonów „Sanowag" bezskutecznie milicjanci próbowali zatrzymać ogniem z karabinów samochód z partyzantami. Na rogatkach miasta żołnierze „Zucha" zaatakowali jadący samochód z wojskiem. Zginął wówczas ppłk Teodor (Fiodor Iwanowicz) Rajewski, oficer Armii Czerwonej, skierowany w 1944 r. do 8 Dywizji Piechoty LWP, w której pełnił funkcję szefa sztabu. W tej przypadkowej potyczce śmierć poniósł jeszcze jeden sowiecki żołnierz, a dwóch zostało ciężko rannych, w tym major Piwowarow. Żubrydowcy mieli na swoim koncie jeszcze innych wysokich rangą oficerów. Niecałe trzy tygodnie wcześniej, bo 30 kwietnia 1946 r., ppor. Tadeusz Puchacz i chor. Henryk Książek, obaj będący dezerterami z 34 Pułku Piechoty WP, wysłali w zaświaty kpt. Abrahama Premingera, żołnierza Armii Czerwonej, oficera NKWD, od grudnia 1944 r. w LWP, gdzie pełnił funkcję zastępcy dowódcy 8 Dywizji Piechoty do spraw polityczno-wychowawczych. Preminger znany był z wyjątkowej zapiekłości w zwalczaniu polskiego podziemia niepodległościowego. Komuniści mieli wyjątkowego pecha tego dnia, czyli 30 kwietnia 1946 r. Żubrydowcy ujęli i rozstrzelali zastępcę szefa PUBP w Lesku Bronisława Drwięgę i jego czterech podwładnych funkcjonariuszy. Warto może przy okazji wspomnieć, że zastępcą dowódcy, a następnie dowódcą 34 Pułku Piechoty, który operował w Bieszczadach, był płk Jan Gerhard. Właściwie nazywał się Wiktor Lew Bardach, pochodził ze Lwowa, z żydowskiej rodziny. Gerhard był autorem powieści „Łuny w Bieszczadach", w 1971 r. został zamordowany w swoim warszawskim mieszkaniu w niejasnych do dzisiaj okolicznościach.

Potyczki, zasadzki, bitwy, nękanie komunistów, konfidentów to był chleb powszedni Batalionu „Zuch". Można by długo wymieniać jego akcje, choćby: odbicie Jana Szałajdewicza z sanockiego szpitala, rozbicie 20-osobowego oddziału LWP w Grabownicy Starzeńskiej, wspomniane już opanowanie posterunku milicji w Mrzygłodzie, zasadzkę na grupę operacyjną UB i MO pomiędzy Mrzygłodem a Dębną, w czasie której zabitych zostało sześciu funkcjonariuszy. Jedną z głośniejszych akcji był napad na pociąg w Rymanowie, opanowanie posterunków milicji w Tarnowie i Bukowsku.

eprasa.pl f666f89312

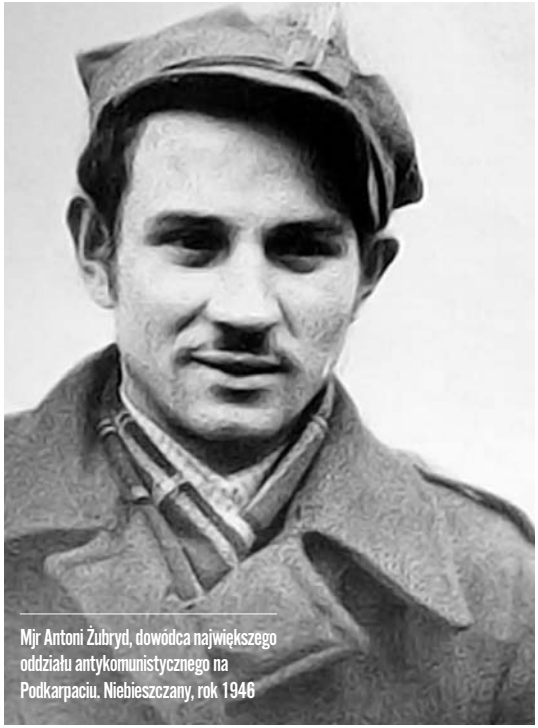

Mjr Antoni Żubryd, dowódca największego oddziału antykomunistycznego na Podkarpaciu. Niebieszczany, rok 1946

Partyzanci Żubryda zajęli dużą miejscowość w powiecie krośnieńskim Korczynę, gdzie rozbroili i pobili milicjantów, skonfiskowali pieniądze z urzędu pocztowego, urzędu gminy i spółdzielni rolniczo-handlowej, w drodze powrotnej na kwatery partyzanci rozbroili posterunki w Węglówce i Domaradzu.

Przeciw komunistycznej władzy, UPA i koniokradom

Nie można też nie wspomnieć, że Żubrydowcy bronili polskich wiosek w Bieszczadach przed napadami band UPA. Kilku rozsądnych oficerów 34 Pułku Piechoty WP dostrzegło w partyzantach „Zucha" sprzymierzeńców w walce z ukraińskimi nacjonalistami i dostarczało im broń. Jeszcze dzisiaj dreszcze przechodzą po plecach, kiedy czyta się relacje z tamtego czasu. Ta pochodzi z ataku UPA na miejscowość Cisna: „11 stycznia 1946 roku miał miejsce kolejny atak UPA w sile sotni »Bira« oraz dwóch czot z sotni »Chrina«. Banderowcy najpierw podpalili szkołę i urząd gminy, następnie dwór oraz 8 polskich gospodarstw. Żywcem spłonęła 4-osobowa rodzina Macieszków, matka oraz jej dzieci: 19-letnia Ania, 16-letnia Jadzia oraz 10-letni Zbyszek. W kolejnym domu od wybuchu wrzuconego granatu zginęła kolejna 4-osobowa rodzina Jędrzejczaków: matka i trójka dzieci, z których najstarsze liczyło 10 lat. UPA dokonała również grabieży ich dobytku. Zginęło też trzech przedwojennych policjantów, banderowcy bestialsko zamordowali ich masakrując ciała (obdzierając ze skóry, obcinając języki, uszy, genitalia), następnie wrzucili w ogień".

Żubrydowcom, zresztą jak wielu żołnierzom wyklętym przez bolszewię, zarzucano antysemityzm i bandytyzm. Cokolwiek złego wydarzyło się w Bieszczadach w latach 1945–1946, przypisywano w ówczesnych meldunkach, raportach UB i MO ludziom Żubryda. Oskarżano ich o kradzieże koni, bydła, napady na bieszczadzkie wioski. W istocie to Żubryd walczył nie tylko z komunistyczną władzą i z UPA, lecz także z koniokradami, złodziejami. Znana jest na przykład historia Franciszka Haducha z Pisarowiec. Haduch znalazł się wśród uwolnionych przez Żubryda z ubeckiego więzienia. Po wyjściu przyjął pseudonim „Piłsudski", sformował oddział partyzancki, którego podstawową działalnością były kradzieże koni, kiedy tylko dowiedział się o tym Żubryd, osobiście go zastrzelił. Nierzadkie były też przypadki, że członkowie band UPA napadali na polskie gospodarstwa w polskich mundurach, podszywając się pod żołnierzy naszego podziemia.

Wedle generała SB Władysława Pożogi, wiceministra MSW w latach 80., a w latach 1945–1946 chorążego w WUBP w Rzeszowie, który zajmował się walką z podziemiem antykomunistycznym, Batalion Żubryda „na swoim koncie zapisał 57 zabójstw, 29 postrzeleń, 40 rozbrojeń, 85 napadów rabunkowych i 55 zamachów". Trudno dociec, co kryje się za poszczególnymi określeniami, jedno jest pewne, że Żubrydowcy w walce z bolszewią zadali jej wiele bolesnych ciosów.

Nie traćcie ducha

Na początku 1946 r. bezpieka zintensyfikowała działania mające na celu likwidację Batalionu „Zucha". Zaangażowano agenturę, aresztowano partyzantów, ich członków rodzin, współpracowników. Do walki zbrojnej z oddziałami Żubryda skierowano rzeszowski batalion 4 Brygady KBW oraz 34 Pułk Piechoty 8 Dywizji Piechoty w Sanoku dowodzony przez Jana Gerharda. Później jednak zrezygnowano z 34 Pułku Piechoty, ponieważ uznano, że jego oficerowie mają zbyt zażyłe kontakty z podziemiem. Pojawił się też plan wysiedlenia polskich wiosek sympatyzujących z Żubrydowcami, m.in. Niebieszczan, gdzie znajdował się sztab Żubryda. W końcu jednak odstąpiono od tego zamiaru. Jak wynika z zachowanych dokumentów, Niebieszczany zamierzał też spalić jeden z dowódców UPA, Stepan Stebelski „Chrin".

Dużą stratę poniósł oddział Żubryda 23 marca 1946 r. – aresztowany został ppor. Mieczysław Kocyłow-

eprasa.pl f666f89312

ski „Czarny", zastępca mjr. „Zucha", niezwykle ofiarny, waleczny żołnierz. Dziewięć miesięcy musiał znosić potworne śledztwo. Wojskowy Sąd Rejonowy w Rzeszowie skazał go na 8 lat więzienia. Karę odbywał we Wronkach. Z więzienia wyszedł wcześniej ze względu na zły stan zdrowia. Do 1989 r. był obywatelem podrzędnej kategorii, nigdy jednak nie dał się złamać komunie. Zmarł w 1997 r., jak napisał historyk Żubrydowców, dr Andrzej Romaniak, „okoliczności jego śmierci nie są do końca jasne". Zachował się gryps napisany w więzieniu przez „Czarnego": „Kochani Koledzy, piszę do Was tych kilka słów, może już ostatnich. Ja wpadłem do więzienia. Za co? Za kochaną ojczyznę, za kochaną Polskę, prawdziwą, demokratyczną. Walczyłem za nią, ale nie za żydowską i komunistyczną, tylko za demokratyczną. I pewnie tutaj zginę w tych murach, ale przysięgi nie złamię. I Wy Koledzy nie traćcie ducha, a odzyskamy tę Polskę. Kończę. Wasz kolega »Czarny«".

Bestialska zbrodnia Vaulina

Na przełomie maja i czerwca 1946 r. aresztowano trzech żołnierzy Żubryda. Zapadły szybkie wyroki: kara śmierci przez powieszenie w miejscu publicznym. W ten sposób nie traktowano nawet najgorszych zbrodniarzy z UPA. Władysława Kudlika i Władysława Skwarca powieszono na miejskim stadionie w Sanoku. Na to makabryczne widowisko spędzono pracowników sanockich zakładów pracy, młodzież szkolną. Ksiądz Józef Jakieła, ich spowiednik, po latach powiedział: „Byli sponiewierani psychicznie i fizycznie śledztwem, ale po spowiedzi i Komunii zachowywali się godnie. Ja, młody ksiądz, przygotowywałem ich na haniebną śmierć na szubienicy. Za co? Za to, że nie chcieli Polski czerwonej, tylko biało-czerwoną! Byłem wstrząśnięty moją misją i to będzie mi towarzyszyć do końca życia". Na sanockim rynku został stracony publicznie 23-letni chor. Henryk Książek, pojmany ciężko ranny w potyczce z UB 18 maja w Posadzie. W czasie egzekucji miał zagipsowane usta, aby nie mógł krzyczeć.

W połowie kwietnia 1946 r., trzy dni przed świętami Wielkanocy, aresztowany został synek Antoniego i Janiny Żubrydów, 5-letni Janusz, jego babcia – matka Janiny, Stanisława Praczyńska, oraz Krystyna Praczyńska, siostra Janiny. Nakaz aresztowania podpisał szef WUBP w Rzeszowie, powodem aresztowania chłopca była, jak napisano, „współpraca z bandą Żubryda – NSZ". Przewieziono ich w konwoju trzech samochodów ciężarowych wypełnionych wojskiem do więzienia w Rzeszowie na zamku.

Do oddziału mjr. Żubryda zostali wprowadzeni agenci, m.in. Jerzy Vaulin, były żołnierz AK. Vaulin, przypadkowo zatrzymany przez UB we Wrocławiu, wyjawił, iż w czasie okupacji niemieckiej był żołnierzem

Januszek Żubry na bujanym koniku

Kedywu, członkiem oddziału partyzanckiego OP-11, który operował na terenie Podkarpacia. Funkcjonariusze UB powierzyli Vaulinowi rozpracowanie i likwidację „Zucha". Były AK-owiec chętnie przystał na propozycję, podjął współpracę z UB i powrócił na znane mu z czasów wojny tereny. Łatwo mu było zyskać zaufanie samego dowódcy, bo pod komendą mjr. Żubryda służyli jeszcze jego dawni koledzy z oddziału OP-11. Stał się członkiem pięcioosobowej osobistej ochrony mjr. „Zucha". Bywało, że „spali na jednej poduszce", jak później wspominał. Vaulin otrzymał w Batalionie pseudonim „Warszawiak", bo pochodził z Warszawy, dla UB był zaś agentem o pseudonimie „Mewa". Wcześniej przeszedł przeszkolenie chor. Władysława Pożogi z rzeszowskiego WUBP. 24 października 1946 r. nadarzyła się wyjątkowa okazja wykonania zadania zleconego przez UB. Agent „Mewa" towarzyszył Janinie i Antoniemu Żubrydom wieczorem w drodze do niewielkiej miejscowości Orzechówka. W wiosce tej mjr „Zuch" miał się spotkać z jednym z dowódców Oddziału. Nie dotarli już do Orzechówki. Jerzy Vaulin wykorzystał zaufanie swego dowódcy i w pobliżu gajówki w miejscowości Malinówka zamordował strzałem w tył głowy najpierw Antoniego Żubryda, a później jego żonę Janinę, będącą w ósmym miesiącu ciąży. Po zamordowaniu ciała małżonków ułożył obok siebie. Miejsce pochówku przez UB małżeństwa Żubrydów jest nieznane.

eprasa.pl f666f89312

Wraz ze śmiercią Żubryda zakończyła się działalność Samodzielnego Batalionu Operacyjnego NSZ. Polowanie na jego żołnierzy trwało jeszcze kilka lat. Zdaniem historyków IPN funkcjonariusze UB zabili 23 partyzantów, a 115 aresztowali. Aresztowanych zostało też 38 współpracowników Żubrydowców.

Wychować prawdziwego obywatela sowieckiego

Tydzień po zamordowaniu rodziców Januszka i jego babcię wypuszczono z więzienia. Mimo że chłopiec miał dwie babcie, zarówno ze strony ojca, jak i mamy, ciocie, czyli siostry nieżyjącej mamy, to został umieszczony w sierocińcu w Sanoku. Ubecy chcieli wychować „syna bandyty na prawdziwego obywatela sowieckiego". Do dzisiaj nie wiadomo, jakiego fortelu użyła siostra Janiny Żubryd Stefania Niemiec, że wydobyła Januszka z sierocińca. Chłopiec zamieszkał wraz z ciotką i jej mężem Janem w Bytomiu. Adoptowany przyjął ich nazwisko. Kwestia biologicznego ojca, Antoniego Żubryda, była tematem tabu, ponadto prawda jest taka, że Janusz właściwie nie pamiętał ani mamy, ani ojca, zajmowała się nim przecież babcia Praczyńska. W rodzinie Stefanii i Jana Niemców wychowywany był w podobnym duchu jak większość jego rówieśników, należał m.in. do czerwonego harcerstwa. W 1952 r. rodzina przeniosła się do Warszawy, bo Jan Niemiec, inżynier budowy dróg i mostów, otrzymał tam propozycję pracy. Po ukończeniu liceum Janusz podjął naukę w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Chemicznych, ale musiał z niej zrezygnować ze względu na doznaną kontuzję. W 1961 r. ukończył Politechnikę Warszawską. Był wyróżniającym się studentem, a później pracownikiem, często wyjeżdżał na kontrakty za granicę.

W 1994 r. Sąd Wojewódzki w Rzeszowie unieważnił postanowienia Wojskowej Prokuratury Rejonowej z 12 grudnia 1946 r. dotyczące umorzenia postępowania w sprawie śmierci Antoniego Żubryda i jednocześnie dokonał jego rehabilitacji, uznając za bohatera walczącego o niepodległy byt państwa polskiego. Wniosek w tej sprawie złożył Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego na skutek starań żyjących podkomendnych Antoniego Żubryda, w tym ppor. Mieczysława Kocyłowskiego „Czarnego", byłego zastępcy mjr. Żubryda.

Nieukarana zbrodnia

Prokurator Hanna Solarewicz z Komisji Badań Zbrodni nad Narodem Polskim, dociekając, kto zabił Janinę i Antoniego Żubrydów, przesłuchała dziesiątki żyjących świadków. Ustaliła, że najprawdopodobniej ich zabójcą był Jerzy Vaulin, urodzony w 1926 r., reżyser filmów dokumentalnych w wojskowej wytwórni filmowej „Czołówka". Vaulin słusznie przeczuwając, że może zostać wytoczony proces sądowy, postanowił się bronić. W 1997 r. przekazał Januszowi Niemcowi list zatytułowany „Do syna" zaczynający się od słów: „Słowa te kreśli człowiek, który przed pół wiekiem odebrał życie pańskim rodzicom". Napisał, że zabił ich w obronie własnej. W liście nie okazał choćby cienia skruchy. W trwającym trzy lata procesie sądowym eksperci od kryminalistyki na podstawie zdjęć zwłok małżonków ustalili ponad wszelką wątpliwość, że zostali oni zamordowani strzałami w tył głowy z bliskiej odległości. Sąd nie dociekał, kto zabił, bo Vaulin przyznał się do tego, chodziło o ustalenie, czy zrobił to z polecenia UB, a żadne dokumenty w tej sprawie się nie zachowały, może też nigdy ich nie było. Janusz Niemiec odgrywał w procesie sądowym rolę oskarżyciela posiłkowego. „Raz w miesiącu jeździłem z Warszawy do Krosna na rozprawy i patrzyłem w twarz mordercy rodziców" – opowiada Janusz Niemiec. Sąd Okręgowy w Krośnie w 2001 r. umorzył postępowanie przeciwko Jerzemu Vaulinowi o zabójstwo małżeństwa Żubrydów z powodu przedawnienia.

Jerzy Vaulin nigdy nie stracił buty, pewności siebie, doskonale wiedział, że nie zostanie ukarany przez sąd III RP. Wypowiedział m.in. takie słowa o zabiciu mjr. Antoniego Żubryda i jego ciężarnej żony Janiny: „Nie czuję pokuty, jest to moje największe bojowe przeżycie, zakończone zwycięstwem [...] mogę cynicznie mówić na przykład, że lubię zabijać ludzi, ale to lubienie ulega przedawnieniu".

W 2008 r. TVN Kraków planowała nakręcenie trzyodcinkowego filmu o historii mjr. Żubryda. Doszło do spotkania Janusza Niemca i mordercy jego rodziców, Jerzego Vaulina, nad brzegiem Sanu. Spotkanie to zostało zarejestrowane przez kamerę. Vaulin ani na moment nie tracił buty, m.in. zapytał Janusza Niemca: „Czy w związku ze śmiercią rodziców otrzymał pan od państwa odszkodowanie? Bo jeśli tak, to powinien pan być mi wdzięczny i mi podziękować".

***

Jerzy Vaulin zrealizował ponad 20 filmów dokumentalnych, za które otrzymywał wyróżnienia, nagrody. Do 1968 r. współpracował z SB, donosił na swoich kolegów z branży filmowej. Komunistyczna propaganda zrobiła z mjr. Antoniego Żubryda bandytę, złodzieja.

Kiedy sprawa mordercy mjr. Żubryda stała się znana opinii publicznej, warszawska młodzież z Grupy Rekonstrukcji Historycznej „Parasol" rozrzuciła w bloku, w którym mieszkał Vaulin, ulotki informujące, kim był mjr Żubryd i kim jest Jerzy Vaulin. Zbrodniarz musiał nie wytrzymać presji, bo zmienił miejsce zamieszkania. Vaulin zmarł 11 marca 2015 r. W jego świeckim pogrzebie wzięło udział pięć osób. Na szczęście przynajmniej nie był żegnany z honorami, jak wielu komunistycznych morderców. ■

eprasa.pl f666f89312

Alfabet CENCKIEWICZA

O IPN-ie, „Bolku", wielkich politykach i ważnych świętych, o heavymetalowym epizodzie z lat młodości i sportowych fascynacjach oraz o Leśnym – najlepszym antydepresancie – tylko u nas w „Alfabecie Cenckiewicza".

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

Archiwum – miejsce niebywałych emocji, doznań, odkryć, pomysłów, refleksji, przemyśleń i perspektyw, w którym spędziłem (i pewnie spędzę) kawał swojego życia, wycierając spodnie w Ameryce, Anglii, a przede wszystkim w kraju. Najbardziej lubię być w nim sam albo prawie sam, no i w okolicach świąt czy tzw. długich weekendów, bo wtedy panuje tam cisza!

Bobola Andrzej – święty, męczennik. Moja wiara w ostateczne ocalenie Polski związana jest z jego proroctwem i wolą ogłoszenia go głównym patronem Polski.

Biblioteka – mam trzy ulubione: własną, narodową i publiczną w Nowym Jorku. Najbardziej tęsknię za swoimi książkami, które mam bodajże już w trzech lokalizacjach. Mam ich około 15 tysięcy i odnoszę wrażenie, że każdą z nich pamiętam. Książka jest chyba moją największą miłością. Mam też zacięcie bibliofilskie i trochę książek opatrzonych dedykacjami wielkich ludzi. Wszystko do tego stopnia spsiało (bez obrazy psów!), że jak mnie złodzieje okradali, to nawet na półki nie spojrzeli, rzucając się na bezwartościowe komputery.

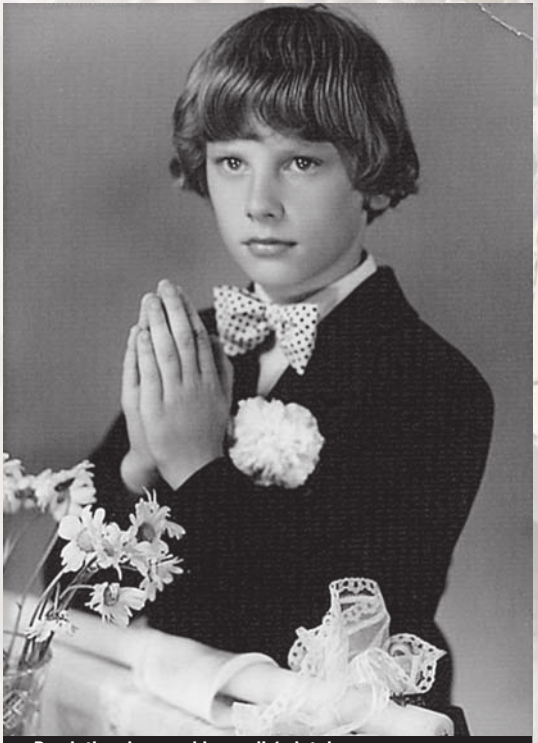

Pamiątka pierwszej komunii świętej

epresa.pl/f666f89312

Młodość, długie włosy, czasy piłsudczykowskie...

„Bolek" – czyli Wałęsa Lech: największe oszustwo w najnowszych dziejach Polski! Podkulturowy typ ludzki z Leni Wielkich, który stał się narodowym dobrem i globalnym symbolem walki z komunizmem. W jego oficjalnym życiorysie w zasadzie nic się nie zgadza. Straszny tchórz, kombinator, wyjątkowy egot, „król życia", kłamczuch, konfident SB, marionetka w rękach czerwonych, którzy nim jednocześnie pogardzali. Budowniczy Polski postkomunistycznej. Ale jednocześnie człowiek bezwzględny, cyniczny, bez empatii, bez miłości, z syndromem odrzucenia pierworodnego syna, a przez to niebezpieczny dla bliskich i Polski. Hodysz powiedział mi kiedyś o nim: „on zawsze z kimś musiał współpracować". Ma respekt jedynie wobec silniejszych. Dowód na dobrze przeprowadzoną kombinację operacyjną z Matką Boską w klapie.

Dmowski Roman – w mojej opinii największy z polskich polityków w całych naszych dziejach. Kreator współczesnego narodu polskiego i twórca naszej niepodległości. Wyrachowany, realistyczny i nowoczesny, a jednocześnie dający poczucie dumy, wielkości i wiary we własne moce. Potrafiący sprzeciwić się większości i nieidący za głosem tanich emocji, analizujący krytycznie dzieje Polski i nasz narodowy charakter. Rzecznik ciężkiej pracy nad sobą, by wyrugować złe nawyki, przyzwyczajenia, automatyzmy. Dostrzegający znaczenie geografii, religii, kultury i cywilizacji w życiu narodów oraz w politycznych zapasach. A poza tym kulturalny, dowcipny, oczytany. Gentleman! Po prostu wielki!

U siebie wśród książek

Dziadek – mówiąc precyzyjnie „dziadek z UB", czyli Mieczysław Cenckiewicz. Funkcjonariusz śledczy UB, potem N-karz (etat niejawny) SB kierujący sopockim „Grand Hotelem" i trójmiejski działacz partyjny. Postać kompletnie mi nieznana, a jednocześnie bliska ze względu na więzy krwi i fakt, że był oficerem bezpieki, co sam odkryłem, przeanalizowałem i podałem do publicznej wiadomości. „Lustracja" dziadka w 2003 r. stała się powodem do ataków na mnie, a pośrednio też moją mamę. Okrzyknięto nas „ubecką rodziną", a mnie raz nawet polskim „Pawlikiem Morozowem", innym znów razem „pomiotem ubeckim" (Wałęsa), „resortowym wnuczkiem", który nie powinien pracować w IPN i... opisywać Wałęsy (Roman Daszczyński z „Gazety Wyborczej"). Ale historia „dziadka z UB" ma też swoje dobre strony. Wgląd w jego akta pozwolił mi zrekonstruować dzieje nieznanych przodków, a poza tym wyjaśnić coś, co mnie

eprasa.pl f666f89312

II Zjazd „Solidarności", Sławomir Cenckiewicz handluje bibułą

Nina Polan i Tadeusz Katelbach (zbiory SC)

Lech Wałęsa (zbiory IPN)

zawsze zastanawiało: dlaczego mój ojciec (też prawie mi nieznany) urodził się w Nysie. Teraz już wiem – dziadek Mieczysław służbowo łamał tam kości w kazamatach ubeckich.

Federacja Młodzieży Walczącej – pierwsza próba ogarnięcia świata, który mnie otaczał. Niezgoda na syf komunizmu, na marazm, na bezsens, no i bunt! Pierwsze poważne lektury, kontakty, piwo, wykłady i refleksje. I satysfakcja po latach, że nawet w ramach FMW na przełomie lat 1988 i 1989 zmieniłem barwy, przechodząc z anarchistyczno-iwentowej FMW Gdańsk pod skrzydła FMW Gdynia – organizacji antymagdalenkowej, antyokrągłostołowej, antywałęsowskiej, legalistycznej, prawicowej i na serio antykomunistycznej i integralnej. Bogu dzięki!

Grześ – czyli Grzegorz Lewandowski (1963–1967). Pierworodny syn Lecha Wałęsy, który utonął podczas zabawy. Najlepszy dowód na „kombinację operacyjną z Matką Boską w klapie", która skutecznie wygumkowała historię Grzesia i jego mamy Wandy z oficjalnej biografii Wałęsy. Przez długie lata pozbawiony schludnej mogiły (którą z chwilą wyboru ojca na stanowisko prezydenta RP starano się zlikwidować!), a nawet elementarnej godności i własnej tożsamości. Dzięki uporowi (zadedykowałem Grzesiowi jedną z książek o Wałęsie) i wsparciu biskupa Wiesława Meringa uratowaliśmy i odrestaurowaliśmy grób Grzesia, który już nigdy nie będzie anonimowy. Przykład na to, że praca historyka może zyskać jakiś sens i kształt.

eprasa.pl f666f89312

Heavy metal – w sumie część tego samego pejzażu co Lechia i FMW, czyli forma buntu! Zaczęło się w podstawówce od TSA, Saxon, Accept i Iron Maiden. Później był już trash... Metallica, Slayer, Megadeth, Kreator, eksperymenty z death metalem i hardcore'em, czyli syntezą metalu i punku (MOD, DRI), wyjazdy na koncerty. Porzuciłem to wszystko radykalnie i ostatecznie w 1992 r. uznając, że kłóci się to z katolicyzmem, który na nowo odkryłem.

Hodysz Adam – od końca lat 70. autentyczny bohater walki z komuną, a jednocześnie funkcjonariusz Wydziału Śledczego SB w Gdańsku, który przekazał antykomunistycznym konspiratorom tajemną informację o Edwinie Myszku jako agencie SB ulokowanym w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża. Niestety, historia Hodysza jest też potwierdzeniem naiwności części antykomunistycznej konspiracji. Prawdopodobnie bardzo szybko został zdekonspirowany przez Matyldę Sobieską (TW „Andrzej"), która obstawiała Aleksandra Halla, wyznając mu miłość. Już 14 kwietnia 1980 r. Sobieska precyzyjnie donosiła, że funkcjonariusz gdańskiej SB „przekazuje Hallowi informacje dotyczące zamiarów SB i sposobów ich realizacji, a przede wszystkim powiadamia go o tym, jakie osoby i z jakiego powodu podjęły czy też podejmują współpracę z SB". Bezpieka uwięziła go w 1984 r. Jego losy w III RP obnażają okrągłostołowy system, bo ze względu na służbową podległość i pomoc ministrowi Macierewiczowi w lustracji Wałęsy w 1992 r. stracił stanowisko szefa delegatury Urzędu Ochrony Państwa w Gdańsku. W 1995 r. po zawaleniu się (w wyniku eksplozji gazu) bloku, w którym mieszkał, Hodysz powiedział: „proszę nie wymieniać przy mnie imienia »Bolek«. Dwa razy straciłem przez to pracę, a raz ledwie uszedłem z życiem".

IPN – instytucja, która NIGDY nie wybiła się na niepodległość! Przez co nieustannie marnuje własny potencjał i drzemiące w nim możliwości! Jedno z moich najprzykrzejszych doświadczeń państwowych, zawodowych i życiowych!

Juventus Turyn – miałem 11 lat, jak pokochałem Juve, którego załoga stanowiła złotą drużynę Italii z 1982 r. I tak już zostanie! Widziałem ich tylko raz – w 1983 r. w Gdańsku. Gentile, Tardelli, Rossi, Zoff, a potem Boniek, Platini, no i era Baggio, Del Piero, Inzaghi, Pirlo, a teraz Dybali. Juve jest jak historia futbolu. Nigdy nie byłem na Juventus Stadium!

Kaczyński Jarosław – ostatni realista w świecie zdominowanym przez romantycznych szaleńców i rewolucjonistów, ale nie chce tego publicznie przyznać.

Jarosław i Lech Kaczyńscy (zbiory M. Kaczyńskiej)

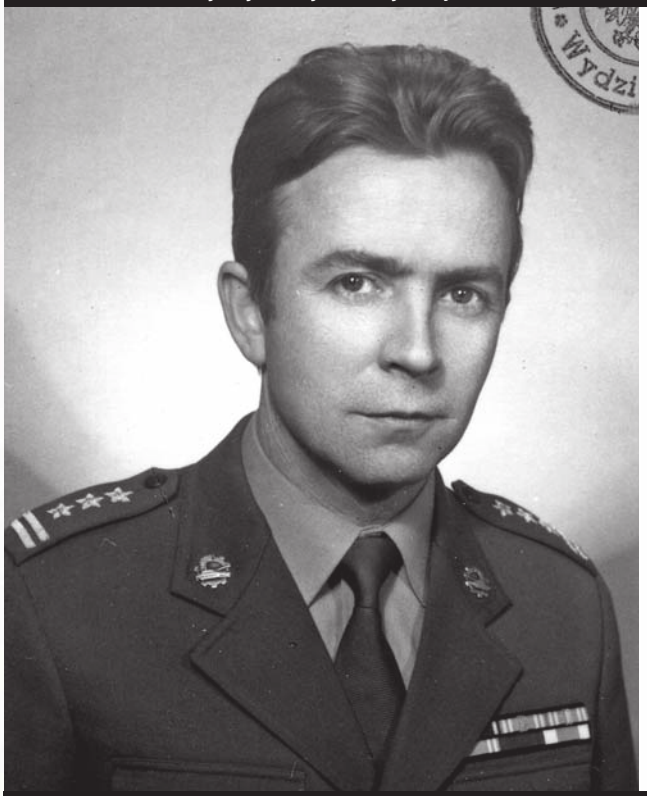

Pułkownik Ryszard Kukliński

eprasa.pl

Epigon! Fantastyczny rozmówca. Najciekawszy polski polityk, rzecz jasna *ex aequo* z Macierewiczem. Niezrozumiały, również przeze mnie, choć po zmierzeniu się z biografią jego brata wydaje się, że o Kaczyńskich wiem bardzo dużo.

Kaczyński Lech – na własnej skórze przekonał się, jakie konsekwencje mają różne słabości obozu patriotycznego: łatwość ulegania manipulacji i emocjom, w tym szczególnie niewłaściwy dobór ludzi i brak doświadczenia w sprawowaniu władzy, przy zderzeniu z wielokrotnie silniejszym i obeznanym z kuchnią władzy przeciwnikiem. Przeciwnikiem, który dzięki przygotowaniu przez aparat partyjny i nierzadko również przeszkoleniu przez służby specjalne przewyższał patriotę nie tylko zdolnością gry politycznej, lecz także giętkim kręgosłupem moralnym, a dodatkowo cynizmem i umiejętnością adaptacji do funkcjonowania w różnych okolicznościach politycznych. Ale najważniejszym czynnikiem przesądzającym o heroizmie tej postaci jest fakt, że przy dogłębnej świadomości istnienia zjawiska, które nazywał „układem", podejmował z nim konkretną walkę, mobilizując innych do takiego postępowania.

Kalinka Walerian – kapłan, zmartwychwstaniec, bodaj najbardziej poważany przeze mnie polski historyk, reprezentant bliskiej mi „szkoły krakowskiej". W jego fundamentalnej pracy „Sejm czteroletni" przeczytałem przed 25 laty gorzkie słowa, w których zawiera się cała moja filozofia historyczna i polityczna: „upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas, lub później zasłużoną są przez naród pokutą". Tak! Źró-

Ignacy Matuszewski

eprasa.pl f666f89312

deł polskiej niemocy i naszych klęsk szukam wpierw w Polsce i w naszych błędach, dopiero później zaś w międzynarodowym otoczeniu czy spisku.

Katelbach Tadeusz – zetowiec, konspirator, powstaniec sejneński, tajny agent „dwójki", senator RP, emigrant, niezłomny. Potrafił wyrażać swoje myśli z wielką odwagą, nierzadko w sposób zdecydowany i bezkompromisowy. Pod koniec życia, na terenie Stanów Zjednoczonych stał się głosem całej antykomunistycznie nastawionej emigracji i Polonii. Był pierwszym, który odważył się wystąpić przeciwko największym autorytetom polonijnym, które w latach 70. nie wytrzymały próby czasu i podjęły współpracę z komunistami. Poirytowani tekstami Katelbacha zarzucali mu wyznawanie teorii spiskowych i szpiegomanię, inni z kolei wysyłali go do „psychuszki". Historia przyznała mu rację! Jestem z niego!

Komunizm – kwintesencja zła! Zło doskonałe! Największe! Nieszczęście ludzkości, a więc i Polski.

Kukliński Ryszard – w polskich dziejach był jak biblijny Szaweł, który stał się Pawłem. Był jak Sienkiewiczowski Kmicic, który stał się Babiniczem. Wybrał Polskę, szukając dla niej ratunku w Waszyngtonie! Klasyczny „oferent"/„samorodek", który w doskonały sposób opanował szpiegowskie rzemiosło, wyprowadzając w pole komunistyczny kontrwywiad. „Jeżeli przywróci się cześć, honor i uniewinni Kuklińskiego, to znaczy, że my nie mamy czci, honoru i że to my jesteśmy winni" – mówił w 1989 r. Jaruzelski. No i tak stało się! Na szczęście!

Lechia Gdańsk – futbol, inicjacja polityczna, antykomunizm, bezpiecznik przed TPPR i ZSMP, gdańska tożsamość, duma, bunt, poczucie wspólnoty, ucieczka od codzienności... I możliwość obejrzenia na żywo Juventusu Turyn w 1983 r.! Tylko po jasny gwint darłem się: „Lech Wałęsa"?! Wybaczcie, miałem lat 12!

Lefebvre Marcel – arcybiskup. Dzięki niemu w 1992 r. poznałem bogactwo liturgii katolickiej, doktryny i dogmatu, muzyki sakralnej, znaczenie symbolu i gestu, postaci świętych Piusa V i Piusa X, no i własną nicość... *Merci, Monsignore!* Często powtarzał, że nie chce nic robić od siebie i dla siebie, chciał być zawsze sługą Chrystusa i Jego Kościoła, kochał ludzi i jednocześnie bronił prawdy katolickiej. Niedościgniony wzór! Może zwłaszcza dla takich grzeszników jak ja...

Leśny – mój „gończy polski". Miłość. Przyjaciel. Kompan. Towarzysz samotności. Szczęście. Antyde-

W San Francisco...

Anna Walentynowicz i Antoni Macierewicz (zbiory SC)

Oprawa meczu Lechii: „17.09.1939 Czwarty rozbiór Polski"

eprasa.pl

Mama i tata

presant. Trans-human, czyli piesio, który autentycznie mówi ludzkim głosem (nie tylko w Wigilię!). Pierwszy świadek i inspirator moich książek. Najcudowniejszy „brat mniejszy" jakiego w życiu poznałem.

LWP – czyli Ludowe Wojsko Polskie lub precyzyjnie: Siły Zbrojne PRL. Sowieckie ciało obce służące do zniewolenia Polski udające polską armię! Najbardziej zakłamany segment aparatu przemocy PRL, a jednocześnie najbardziej sprawdzony pas transmisyjny sowieckiego panowania nad Polską. Z konsekwencjami wykraczającymi aż do teraz...

Macierewicz Antoni – obecnie mój szef, więc jak to teraz ująć... Może więc tak: jedyny polityk polski, który ma zawsze – przez całą dobę – czas dla Polski! Potrafi przyjechać na spotkanie nawet w środku lub pod koniec nocy! Są trzy wielkie sprawy, które sobą symbolizuje i dźwigać będzie do końca: lustracja, likwidacja WSI i Smoleńsk! Kiedy współorganizowałem z nim spotkanie krótko po czerwcu 1992 r. w Gdyni, nie myślałem, że poznam go kiedyś bliżej i będzie mi dane z nim pracować. Trudny, erudycyjny, wymagający, charakterny, wchodzący w merytoryczny spór, pouczający, a jednocześnie po ludzku dobry, otwarty, dobrze radzący i życzący. Ideowy, realny antykomunista, odważny w PRL i w post PRL. A poza tym podkreśla od zawsze (podobnie jak Jarosław Kaczyński), że nie mam zielonego pojęcia o polityce. Zaszczyt być w jego drużynie!

Maksymilian Kolbe – chyba najbliższy mi polski święty. Przykład i wzór miłości bezgranicznej do Pana Boga i Niepokalanej. A przez to do Polski, i do wszystkich ludzi. „Jestem księdzem katolickim, jestem stary, chcę umrzeć za niego, on ma żonę i dzieci" – te słowa świadczące o gotowości złożenia ofiary z samego siebie dla Franciszka Gajowniczka są dla mnie wciąż niezwykle przejmujące. Poznałem kiedyś w Niepokalanowie wychowanka ojca Maksymiliana – brata Innocentego Wójcika. Ta rozmowa uzmysłowiła mi, ilu faktów z życia tego wielkiego świętego wciąż nie znamy. Chciałbym kiedyś napisać książkę o tym, jak komuniści zwalczali kult św. Maksymiliana.

Mama – dawca życia, w istocie mój jedyny rodzic, doświadczona życiem, trudna, ale bardzo kochana.

Matuszewski Ignacy – czyli wszystko to, co polski polityk powinien posiadać: intelekt, refleksję nad błędami, umiejętność przeciwstawienia się większości, trafność diagnozy, rozumienie geografii politycznej, decyzyjność i antykomunizm. Zapytany,

eprasa.pl f666f89312

jak godzi swój zimny realizm z romantyzmem Piłsudskiego, odparł: „Każdy młody jest romantykiem i każdy kocha swoją młodość. Później przychodzą rozczarowania i trzeba sobie zdać sprawę, że rzeczywistość nigdy nie odpowiada marzeniom i nadziejom". Niektórzy z tego nie wyrastają do ostatnich swoich dni. A poza tym Matuszewski to „ostrolicy, niezłomny, Civis Romanus, głaz na granicy" (Kazimierz Wierzyński).

Nowy Jork – jedyne miejsce na ziemi poza Polską, gdzie mógłbym od razu zamieszkać. Cudowne miasto! Czasem żałuję, że nie zostałem w nim po studiach, do czego namawiała mnie rodzina z Ameryki.

Pesymizm – świadomy wybór niemal od zawsze, który sprawiał, że nie byłem skory do zabawy, szaleństwa i ucieczki od codzienności dnia. Od najmłodszych lat myślałem o kresie mojego żywota, zastanawiając się nad jego sensem. A poza tym „optymizm nie zastąpi nam Polski" (Józef Mackiewicz).

Piłsudski Józef – megaloman, romantyk, wróg Rosji, reakcja na pasywizm Polaków pod zaborami. Pierwsza fascynacja historyczna, obiekt bezkrytycznego kultu i poczucie pustki po jego zgonie, który jakby rozpamiętywałem od nowa po ponad 50 latach od wydarzeń z 12 maja 1935 r. Później mi minęło, bo się naczytałem. Przewartościowałem młodzieńcze oceny, choć mam go za postać wielką, co nie oznacza, że tak zbawienną dla Polski jak się to przedstawia. Kiedyś jego największy antagonista Dmowski zapytany o Piłsudskiego, czy jest polskim Garibaldim, odparł, że Marszałek jest większy. Miał rację.

Polan Nina – czyli Janina Katelbach, córka Zenaidy i Tadeusza Katelbachów. Lewicowa, obamistka, ale antykomunistka, przez co denerwowała niejednego aktywistę nowojorskiej Partii Demokratycznej! Wicemama – więc prawie jak Mama. Brakuje słów!

Przyjaciel – było tyle zdrad, nagłych zwrotów akcji i rozczarowań, że lepiej oszczędnie szafować tym słowem.

Roman Mariusz – czyli „Powstaniec" i „Hubal" lub po prostu mój szef z FMW. Bardzo pryncypialny, ideowy i odważny. Nikt tak nie pisał trafnie jak on! Wiele mu zawdzięczam. Po latach chyba przede wszystkim lektury Józefa i Stanisława Mackiewczów. No i udział w zajęciu „Reichstagu", czyli siedziby Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku w styczniu 1990 r. Jest jak młodzieńcze wspomnienie, więc pamiętam jedynie wszystko co dobre.

Lech Wałęsa i Krzysztof Wyszkowski (zbiory SC)

Magdalenka

Savall Jordi – Maestro! Żaden artysta nie otworzył przede mną w tym stopniu skarbca kultury najwyższej! Nigdy wcześniej nie słyszałem tylu pięknych dźwięków i głosów! Zaczęło się od programu Magdaleny Łoś w Polskim Radiu w którąś z niedziel roku 1993. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas „Rodrigo Martinez" w interpretacji Savalla. To było olśnienie. Kiedyś będę wyłącznie słuchał muzyki w kompletnej izolacji od świata! No, może jeszcze będę czytał książki, ale w tle koniecznie Maestro i jego La Capella Reial de Catalunya!

eprasa.pl f666f89312

Tadeusz Katelbach i Kazimierz Sosnkowski

Z Kazikiem Szolochem – ofiarą donosów Wałęsy

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

ZARZĄDZENIE Nr 20 /MON
MINISTRA OBRONY NARODOWEJ
z dnia 22 lipca 2006 r.

w sprawie powołania Komisji do spraw likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych oraz wyznaczenia jej przewodniczącego

Na podstawie art. 58 ust. 1 pkt 2 ustawy z dnia 9 czerwca 2006 r. – Przepisy wprowadzające ustawę o Służbie Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służbie Wywiadu Wojskowego oraz ustawę o służbie funkcjonariuszy Służby Kontrwywiadu Wojskowego oraz Służby Wywiadu Wojskowego (Dz. U. Nr 104, poz. 711) zarządza się co następuje:

§ 1.1. Powołuje się Komisję do spraw likwidacji Wojskowych Służb Informacyjnych, zwaną dalej „Komisją Likwidacyjną".

2. Komisja Likwidacyjna składa się z 24 członków.

3. Wykaz członków Komisji Likwidacyjnej zawiera załącznik do zarządzenia.

§ 2. Na przewodniczącego Komisji Likwidacyjnej wyznacza się Sławomira Cenckiewicza.

§ 3. Zarządzenie wchodzi w życie z dniem podpisania.

MINISTER OBRONY NARODOWEJ
Sikorski
Radosław SIKORSKI

eprasa.pl f666f89312

Srebrny Krzyż Zasługi od prezydenta Lecha Kaczyńskiego wręcza prezes IPN-u Janusz Kurtyka

Siłownia – miejsce pozornych tortur, przywracania wiary w siebie i mój jedyny kontakt ze światem rzeczywistym (poza urzędowym i naukowym).

Smoleńsk – inaczej ujmując, wydawało się, że to ostateczny krach III RP! Z osobistej perspektywy to przede wszystkim śmierć „Anny Solidarność".

Sosnkowski Kazimierz – lepsza strona Piłsudskiego. Gentleman, żołnierz i intelektualista, czego połączenie być może sprawiło, że był chronicznie niedecyzyjny i hamletyzował. Ale diagnozował zazwyczaj prawidłowo. Otwarty i myślący kategoriami narodowej wspólnoty. Symbol wszystkich moich poglądów na sprawę polską podczas II wojny światowej i po jej zakończeniu. Miałem zaszczyt porządkować jego spuściznę archiwalną w Instytucie Piłsudskiego w Nowym Jorku. Wielka lekcja historii. Dziękuję, „Szefie"!

Tata – osoba, której mi w życiu najbardziej brakowało. Artysta, rzeźbiarz, malarz, niebieski ptak. W sumie osoba nieznana, jeśli nie liczyć dziesięciu, może kilkunastu spotkań rozłożonych na 20 lat życia (ostatnie w 1991 r.). A do tego tak szybko odszedł, i nawet o tym dowiedziałem się *post factum*. Teraz spotykam się z nim regularnie na łebskim cmentarzu...

Spotkanie z Klubem „Gazety Polskiej" w Australii

Walentynowicz Anna – drobna kobieta od wielkich spraw! Mogła być boginią salonów. Miałaby światowe hołdy, przyjęcia z przywódcami państw i koronowanymi głowami. Wykłady, doktoraty *honoris causa*, tytuły honorowych członków najbardziej elitarnych zgromadzeń. Filmy na swoją cześć. Ulice swego imienia. Mogła być bogata, mieć własny dom, służbę, stałą opiekę medyczną. Telewizje całego świata ścigałyby się o dostęp do niej. Czy Gdańsk lub Warszawa nie ofiarowałyby jej pięknego mieszkania z windą? Ale ta skromna kobieta odrzuciła wszystkie zaszczyty z iście arystokratycznym poczuciem wyższości. Arystokratka ducha bez wahania odrzuciła wszystkie pokusy jak błahostkę. Bo ceną były pozór, fałsz, czasem

eprasa.pl f666f89312

Na spotkaniu autorskim...

nawet zdrada. A ona była niezłomna. Tak bardzo, że nawet najbliższym przyjaciołom zdarzało się narzekać na jej bezkompromisowość. Pozostała sobą. Wybrała prawdę. To dlatego skromna Ania Lubczyk została wywyższona do godności swojego historycznego imienia – „Anna Solidarność".

Wapiński Roman – profesor, historyk, uczony. Mój Mistrz! Dość surowy i zimny, przez co onieśmielający. Wzór erudycji. Autor słów – przestrogi skierowanej do mnie: „jeśli nie będzie pan czytał 70 stron na godzinę, to proszę zmienić zawód i zapomnieć o nauce". Na seminarium magisterskim i doktorskim dawał mi sporo swobody badawczej i interpretacyjnej, pomimo własnej przeszłości i suflujących mu do ucha oportunistów, którzy po śmierci Profesora gremialnie mnie potępili za antykomunizm i książkę „SB a Lech Wałęsa".

WSI – a w zasadzie likwidacja długiego ramienia Moskwy w 2006 r. Najważniejsze doświadczenie w moim życiu! Moment, w którym teoria poznawcza zamienia się w praktykę działania i poznania. Jedyna realna groźba śmierci, z jaką się w życiu spotkałem. Ale warto było, pomimo siedmiu lat prokuratorsko-operacyjnego ucisku reżimu Tuska i groźby zaaresztowania jeszcze w sierpniu 2013 r. I tak wygraliśmy z tą sowiecko-rosyjską hydrą!

Wyszkowski Krzysztof – w historii, w rozważaniach o filozofii i życiu (i kobietach), w dyskusjach o naturze bolszewizmu jest dla mnie kimś podobnym do Jordiego Savalla w muzyce. Intelektualista poszerzający moje horyzonty myślowe. Żywy dowód na to, jak wiele pracy przede mną. Jeden z najbliższych mi ludzi!

Zbiór zastrzeżony – czyli ostateczna likwidacja tajnej skrytki III RP. Moja ostatnia nadzieja związana z IPN. Jeśli się nie uda ze względu na opór i lobbing służb wśród urzędników i polityków, uznam to za swoją osobistą porażkę.

Zychowszczyzna – inaczej mówiąc: polityczna i cenzorska pałka na inaczej myślących. Stosowali ją bolszewicy („Matuszewszczyzna" i „Katelbachizm") i stosuje ją część romantycznej centroprawicy (głównie z okolic „W Sieci"). W rzeczywistości kolejna próba przywrócenia do powszechnej pamięci dorobku moich mistrzów: stańczyków krakowskich, Studnickiego, Mackiewiczów, Bocheńskich, Wieczorkiewicza... Realizm historyczny każący krytycznie spojrzeć na naszą przeszłość dla przyszłości. Pragmatyzm niecofający się przed rozważeniem najbardziej nawet kontrowersyjnej hipotezy. Panaceum na postkomunizm i romantyczną ciasnotę myślenia o historii.

eprasa.pl f666f89312

Magdalena Złotnicka

„Elek” z ulicy Kamiennej

erasa.pl 1665f89312

Elżbieta Czyżewska choć była wybitnie utalentowaną aktorką, nie miała w ogóle talentów estradowych. Pech chciał, że poproszono ją – w owym czasie bożyszcze tłumów – by wraz z Lucjanem Kydryńskim poprowadziła festiwal w Sopocie. Jej występ okazał się porażką, a Czyżewska wprost z estrady pojechała na Mazury. Do celu dotarła w odświętnym kapeluszu, nieprawdopodobnie utytłanej wieczorowej kreacji i z torbą, podwieziona przez traktorzystę. Zobaczyła swoje koleżanki. „Dałam dupy, co?" – rzuciła im na powitanie.

fot. Tomasz Gzel/PAP

Powyższą historię wspomina Olga Lipińska w książce Izy Komendołowicz, zatytułowanej po prostu „Elka". Publikacja stanowi zbiór wspomnień, nie zawsze pozytywnych, o Elżbiecie Czyżewskiej – utalentowanej aktorce, która szanse na karierę zaprzepaściła przez miłość, Kopciuszku czasów PRL, który wyrwał się z powiślańskiej biedy, by olśniewać urodą najbardziej pożądanych mężczyzn swoich czasów, o ciekawym, trudnym, intrygującym człowieku. Książka ta była nieocenioną pomocą podczas pisania niniejszego tekstu.

Biednie, ale z gustem

Z odnalezionego przez biografkę Czyżewskiej świadectwa chrztu wynika, iż aktorka przyszła na świat 14 kwietnia 1938 r. w Warszawie. Jako rodzice wpisani byli Jan Czyżewski i Jadwiga Czyżewska z domu Gimpel. Kiedy Elżbieta składała podanie do Szkoły Teatralnej na ulicy Miodowej, poinformowała w nim, że jej ojciec nie żyje, matka, z zawodu krawcowa, jest związana z Ignacym Pilch-Pilchowiczem, zatrudnionym jako elektryk w Teatrze Polskim. Wspomniała także, że ma młodszą siostrę Krystynę. Z dokumentów wynika również, że w latach 1947–1948 Czyżewska przebywała w Domu dla Sierot prowadzonym przez zakonnice w Brwinowie, potem zaś – do 1953 r. – w Domu Dziecka w Konstancinie. Czas spędzony w placówkach opiekuńczych był efektem ciężkiej sytuacji materialnej matki oraz tego, że prawdopodobnie nadużywała ona alkoholu. Elżbieta nie lubiła wspominać czasów swojej młodości i bardzo rzadko mówiła o nich nawet najbliższym.

Czyżewska ukończyła Liceum im. Jarosława Dąbrowskiego. Na jej świadectwie maturalnym widnieje data 4 czerwca 1956 r. Izie Komendołowicz udało się dotrzeć do szkolnych koleżanek aktorki. Jedna z nich, Teresa Panasiuk, wspominała, jak wyglądało mieszkanie, w którym w czasach liceum mieszkała Czyżewska. Z tych opowieści wyłania się obraz dramatycznego wręcz ubóstwa. Do lokalu wchodziło się prosto z ulicy. „W domu nie było kanalizacji, wodę trzeba było przynosić. Duża bieda nawet jak na tamte, trudne, powojenne lata. Czasem Ela przychodziła się do mnie uczyć, mieszkałam wtedy na Nowym Świecie, więc miała niedaleko. Nigdy się nie żaliła. Jak zubożała hrabina bardzo ukrywała swoją sytuację. I troszkę koloryzowała" – opowiadała Panasiuk.

Wywodzącej się z takiego domu Czyżewskiej zapewne trudno było odnaleźć się w Liceum im. Dąbrowskiego, zważywszy na fakt, że placówka ta należała do Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i uczyły się w niej latorośle radzieckich komunistów, którzy siłą rzeczy musieli być dobrze sytuowani. Jest bardzo prawdopodobne, że w czasach licealnych należała do ZMP. Trudno jednak podejrzewać , iż mogła w tym czasie nasiąknąć ideologią komunistyczną. Kira Sztajnberg, która przez jakiś czas siedziała z Czy-

eprasa.pl 666f89312

żewską w ławce, wspomina, że chociaż szkoła uchodziła za ideologiczną, to większość nauczycieli była jeszcze z dawnych czasów i zaczynała pracę w zawodzie, zanim nastał ustrój komunistyczny. Już licealne koleżanki aktorki wspominają, iż Czyżewska nie była specjalnie dobra w śpiewie. „Ale poza tym nie brakowało jej wielu innych talentów, na przykład plastycznych, na zajęciach przepięknie lepiła z gliny, bardzo dobrze rysowała i szyła. Zawsze była ubrana z fantazją" – mówiła Sztajnberg. Dodawała, że wówczas łatwiej było się o to postarać: „Kupowało się za pięć złotych metr perkalu w kwiatki, super się to marszczyło. Ze starych prześcieradeł, krochmalonych, robiło się halki. Farbowało się bluzki, wycinało się wielkie dekolty. Na nogi trumniaki – to były pepegi, w których wycinało się tę część sznurowaną i farbowało na czarno".

Czyżewska była w klasie łacińskiej, w liceum jej życie nie odbiegało od egzystencji rówieśników. Chodziła na wagary, najczęściej na pobliską Starówkę. Starała się ładnie wyglądać. W liceum rozpoczęła się jej miłość do teatru. Możliwość zaprezentowania swojego talentu miała, kiedy młodzież szkolna zmuszana była do występów w PGR-ach w ramach krzewienia kultury na wsi. Czyżewskiej granie spodobało się tak bardzo, że postanowiła składać papiery do Akademii Teatralnej.

Kopciuszek umie grać

Aktorka rozpoczęła studia w 1956 r., jak wspominał w rozmowie z Izą Komendołowicz Leon Łochowski, kolega Czyżewskiej ze szkoły aktorskiej, kandydatów na uczelnię było wówczas około 400. Ostatecznie przyjęto dwadzieścia kilka osób. Elżbieta początkowo zwracała uwagę swoim zahukaniem. „Przyszła, taka biedna, wystraszona dziewczyna w czarnej jakiejś sukieneczce, bardzo skromnej, z bielutkim kołnierzykiem" – tak Łochowski zapamiętał ją z rozpoczęcia roku. Dodał, że jej strój i sposób bycia odróżniały ją na tle innych młodych aktorek, które wówczas już „zadawały szyku". Jednak szybko stało się jasne, że to właśnie ta młoda, skromna dziewczyna jest objawieniem. Skupiała na sobie uwagę, świetnie wchodziła w prawie każdą rolę. Okazało się także, że Czyżewska posiada nie lada temperament. „Potrafiła się nawet w sprzeczkach zacietrzewić, że pioruny leciały z oczu" – wspomina Łochowski. Opowiada także, że już w czasach studiów za aktorką nie przepadały przede wszystkim kobiety. Było to prawdopodobnie efektem i zawiści, i tego, że Czyżewska potrafiła walczyć o swoje. Chociaż – jak wspomina Łochowski – miała nieefektowne przedstawienia dyplomowe, bo chyba niespecjalnie jej na nich zależało (już wówczas pojawiała się w STS-ie), to uparła się, by zagrać w jednej ze sztuk – „Uczonych białogłowach". Dopięła swego, zagrała główną rolę w jednym z czterech wystawień sztuki. Jednak posypały się na nią gromy, że chciała wygryźć z roli koleżankę. „Ona miała pewien kompleks zaszczutego Kopciuszka, który musi wszystkim udowodnić, że jest dobry. To w niej pokutowało. Ale z drugiej strony – ja także pamiętam, jak ze dwa czy trzy razy matka odwiedziła ją w szkole. Biedna, zahukana kobiecina. Ale Elżunia była wtedy najszczęśliwszym dziewczęciem na świecie. Dumna, że mama przyszła" – wspominał Łochowski.

Właśnie Łochowski przypomniał, że w czasach studiów do Czyżewskiej mówiono per „Elek". Ksywka była nawiązaniem do Eligiusza Grabowskiego, najmłodszego kolarza w Wyścigu Pokoju, który wówczas święcił triumfy. Czyżewska przyszła na jedno ze spotkań towarzyskich w czapce z charakterystycznym kolarskim daszkiem. Jeden z kolegów, Jerzy Karaszkiewicz, na jej widok wypalił: „Cześć Elek" (Elek to zdrobnienie od Eligiusz). Pseudonim przyjął się na dłuższy czas.

Podczas studiów Elżbieta przyjaźniła się także z Beatą Tyszkiewicz. Przez rok mieszkały nawet w jednym pokoju i żywiły się głównie galaretkami owocowymi, by ciężkimi obiadami nie zaszkodzić figurze.

STS, czyli historia pewnej piosenki

W wywiadzie udzielonym Grażynie Drabik, wydrukowanym na łamach „Przeglądu Polskiego", Czyżewska opowiadała, że pierwszy raz na plan filmowy trafiła trochę przez przypadek. Po ukończeniu pierwszego roku studiów pojechała na wakacje, na Mazury. Tak się złożyło, że w miejscu, w którym się zatrzymała, Jan Łomnicki kręcił dokument i pozwolił jej zagrać epizodyczną rólkę dziewczyny przechodzącej w drugim planie. Większe znaczenie od samej rólki miał fakt, że asystentem Łomnickiego był wówczas Stanisław Bareja, który później zaangażował Czyżewską do swojego filmu.

Czas studiów to także aktywność w STS-ie, czyli Studenckim Teatrze Satyryków. Krzysztof Kowalewski mówił Izie Komendołowicz, że Czyżewska „bardzo szybko weszła w sam środek kręgu ludzi kultury". I zaznaczał, że chwytała się w tym celu rozmaitych sposobów. Pewnego razu wzięła jakąś książkę Iwaszkiewicza, wsiadła do pociągu, pojechała do niego i poprosiła o autograf. „Takie zachowanie zawsze robiło wrażenie" – mówił. I podkreślał, że najwięcej aktorka zyskała na kontaktach z STS-em. Bardzo szybko została zauważona, w środowisku było jasne, że po ukończeniu studiów dostanie pracę w Teatrze Dramatycznym. Już wówczas zaczęła mieć status gwiazdy, uwarunkowany nie tylko powodzeniem towarzyskim, lecz także brawurowym wykonaniem „Kochanków z ulicy Kamiennej" z tekstem Agnieszki Osieckiej. „Do STS-u dostałam się, kiedy byłam jeszcze w szkole teatralnej. To jest opowiadanie i moje, i Markuszewskiego, jak to przyszedł zaangażować pewną panienkę – podobno zdolną do zaśpiewania »Kochanków z ulicy Kamiennej«. I wersja Jerzego jest taka, że on wszedł do szkoły, spojrzał na jakąś

eprasa.pl f666f89312

panienkę i pomyślał sobie: po co ja będę na jakąś Czyżewską czekał. Ta mi się nada. I okazało się, że to jestem ja" – opowiadała aktorka Krzysztofowi Domagalikowi w filmie „Elżbieta Czyżewska. Skala oddalenia", zrealizowanym dla TVP Film.

Przypomnijmy fragment piosenki:

Oczy mają niebieskie i siwe,
dwuzłotówki w kieszeniach na kino,
żywią się chlebem i piwem,
marzną im ręce zimą:
Kochankowie z ulicy Kamiennej
pierścionków, kwiatów nie dają.
Kochankowie z ulicy Kamiennej
wcale Szekspira nie znają.
Kochankowie z ulicy Kamiennej.
Wieczorami na schodach i w bramach,
dotykają się ręce spierzchnięte,
trwają tak czasem aż do rana.

Jak podaje serwis culture.pl, Czyżewska z Dramatycznym była związana do 1966 r. „Debiutowała rolą córki Illa u Ludwika René w »Wizycie starszej pani« (1958). Szczególnie pamiętne jej role to u Wandy Laskowskiej Daisy w »Nosorożcu« (1961) oraz tytułowa bohaterka w »Leonce i Leny« (1962). U Ludwika René zagrała Mirandę w »Don Juanie« (1964) oraz Maggie w »Po upadku« (1965). W tej ostatniej roli dała tak znakomity pastisz Marilyn Monroe, że przylgnęło do niej miano polskiej MM" – czytamy w serwisie.

Co takiego było w grze aktorskiej Czyżewskiej? Andrzej Łapicki w rozmowie z Komendołowicz wspominał, że grał razem z nią w „Don Juanie, czyli miłości do geometrii". „Tam była taka scena, jak jemy zupę. To jest bardzo trudne dla aktora, łyżka jest w ogóle fatalnym narzędziem na scenie, więc ja starałem się jeść tę zupę najładniej jak umiałem. A ona chlipała, machała rękami, wsadzała sobie łyżkę do ust bokiem. Mówię do niej: »Nieładnie. Co ty robisz?!«. Ona: »Właśnie dlatego to robię, że to nieładnie«.

JUŻ W CZASACH STUDIÓW ZA AKTORKĄ NIE PRZEPADAŁY PRZEDE WSZYSTKIM KOBIETY. BYŁO TO PRAWDOPODOBNIE EFEKTEM I ZAWIŚCI, I TEGO, ŻE CZYŻEWSKA POTRAFIŁA WALCZYĆ O SWOJE.

Warto także wspomnieć o przyjaźni, jaka połączyła Czyżewską z Agnieszką Osiecką. Biografka aktorki przytacza fragment maszynopisu Osieckiej, w którym ta wspomina szalone czasy STS-u: wraz z Czyżewską malowały włosy na niebiesko, rzucały narzeczonych dla kawału, przesiadywały godzinami w mieszkaniu Osieckiej na Saskiej Kępie, jedząc pierniki i pijąc koniak „I przelewając się z kąta w kąt, w przekonaniu, że jesteśmy najwspanialsze, najśmieszniejsze i najpotworniejsze na świecie, że wszystko nam wolno i w ogóle zrobimy wszystko, co będziemy chciały".

Osiecka wspominała także cudowny, pełen radości ironiczny śmiech przyjaciółki oraz fakt, że imponowało jej, iż „Ela zawsze miała pomysł na życie".

Sława, sława

Po ukończeniu akademii teatralnej faktycznie dostała angaż w Teatrze Dramatycznym. Na jego deskach zagrała m.in. rzeźbiarkę Alicję w sztuce Wydrzyńskiego „Uczta morderców", jedną z trzech wiedźm w „Makbecie" czy Zinę w „Czasie młodości" Zorina. Pojawiła się także w jednoaktówce Zbigniewa Herberta „Drugi pokój" oraz w sztuce Friedricha Dürrenmatta „Anioł zstąpił do Babilonu".

I coś mnie wtedy tknęło, że może to ja nie mam racji, że może trzeba tak jak ona, bo to jest prawdziwe. Ela była w graniu prawdziwa".

Prawie równolegle z karierą teatralną rozwijała się jej droga zawodowa w filmie. W 1959 r. zagrała w „Cafe Pod Minogą". Następnie rozpoczął się okres święcenia triumfów u Barei. W 1960 r. na ekrany wszedł film „Mąż swojej żony", komedia ukazująca niezdrową fascynację sportem wyczynowym. „Czyżewska zagrała z komizmem i przebojowością dziewczynę z prowincji, córkę profesora Trębskiego. Tworzyła drugoplanowy duet z Wiesławem Gołasem w roli boksera Ciapuły" – podaje culture.pl.

U Barei zagrała w „Żonie dla Australijczyka" (1963). W tym samym roku pojawiła się w filmie Tadeusza Chmielewskiego „Gdzie jest generał", a rok później w komedii „Giuseppe w Warszawie" Stanisława Lenartowicza.

Krzysztof Demidowicz na łamach miesięcznika „Film" zaznaczał, że „filmowe początki określiły ją jako amantkę z instynktem komediowym, ale Czyżewska potrafiła wyzwalać się z przypisanych jej schematów. [...] Niezależnie od epoki i konwencji odsłaniała zza maski postaci własną

eprasa.pl f666f89312

indywidualność. Nie miała klasycznej urody, ale za to swojską i ciepłą, co w połączeniu z naturalną żywiołowością i autentyzmem stało się jej atutem. – To nasza wersja »dziewczyny z sąsiedztwa« – powiedział o niej Aleksander Bardini. Ujmowała publiczność połączeniem dynamicznego temperamentu i wrażliwości, mocnego charakteru i romantycznych pragnień".

W mniejszych rolach pojawiła się m.in. u Wojciecha Hasa w „Rękopisie znalezionym w Saragossie". Miarą popularności Czyżewskiej niech będzie fakt, że 13 czerwca 1965 r. dostała Złotą Maskę, nagrodę dla najpopularniejszej aktorki telewizyjnej.

Z ukochanym na Woli

Jasne, że tak piękna kobieta nie mogła opędzić się od mężczyzn, a klimat świata artystycznego PRL sprzyjał licznym romansom. Czyżewska w 1959 r. wyszła za mąż za reżysera Jerzego Skolimowskiego. Związek dwóch tak wielkich indywidualności z natury rzeczy musiał być trudny. Jak wspomina cytowana już Teresa Panasiuk, Czyżewska zamieszkała wraz z ukochanym w jego kawalerce, znajdującej się przy ulicy Górczewskiej, gdzieś na wysokości Sokołowskiej. Co ciekawe, jedyny pokój był przedzielony szafą. „Okazało się, że Skolimowski kręcił wtedy swój dyplomowy film, »Rysopis«. Kiedy go obejrzałam, zrozumiałam, po co była ta szafa, bo w tym filmie zostały użyte różne fragmenty naszych rozmów. Pamiętam, że wygłupiałyśmy się, przymierzałyśmy jakieś peruki" – wspominała Panasiuk.

„Rzadko ktoś ich odwiedzał, bo zawsze był tam okropny bałagan. Spali na materacach rozłożonych na podłodze, wszystkie rzeczy były porozrzucane. [...] Skolimowski bardzo zajmował się sprawami Elżbiety, można powiedzieć, że ją kreował. Kiedy gdzieś wychodzili, mówił jej, jak powinna wyglądać, w co się ubrać [...] Skolimowskiemu bardzo zależało, żeby jego kobieta, kiedy on będzie się z nią pokazywał, wyglądała wspaniale. Sam był człowiekiem niezwykle ambitnym, myślę, że też trochę na Elkę naciskał, żeby i ona parła do przodu. W domu ją jak gdyby reżyserował, przygotowywał do występów w życiu" – wspominał w książce Komendołowicz Wojciech Solarz.

Z kolei z opowieści reżysera Kazimierza Kutza można wywnioskować, dlaczego związek ze Skolimowskim nie przetrwał. „Była kochliwa, cały czas się wymykała. Nietrudno zrozumieć, dlaczego między nią a Skolimowskim narastał konflikt. Po jednym z jej romansów z pięknym artystą uciekła od Skolima, którego się strasznie bała" – przytacza wspomnienia reżysera biografka aktorki. Po ucieczce Kutz pomógł Czyżewskiej w sprawach lokalowych, potem wróciła ona na Górczewską. I tak aż do kolejnej ucieczki. W ten sposób ten szarpany związek trwał.

Reżyser opowiedział także pewną zabawną anegdotę. Na festiwalu w Wenecji aktorka wystąpiła w czarnej, nieprawdopodobnie wręcz obcisłej sukni, eksponującej jej biust. Po części oficjalnej nastał bankiet, a tam – wiadomo – większość uczestników się spiła. Towarzystwo było już na powietrzu, gdy Elżbieta oznajmiła Kutzowi, że musi się wysikać. Obrotny reżyser znalazł kiosk, za którym mogła załatwić potrzebę, jednak musiał iść z nią, by pomóc aktorce uporać się z obcisłą kiecką. Wszyscy musieli czekać na nich oboje, dlatego ze złości rozpuszczono plotkę, że za tym kioskiem doszło do zbliżenia. „K[...,] tego jeszcze nie było, żeby pojechać do Wenecji i p[...] się za kioskiem" – przytaczał Kutz złośliwe komentarze.

> Kiedy okazało się, że ma raczej niewielkie szanse zaistnieć jako aktorka i że znana może być tylko jako intrygująca pani Habelstram, zaczęła się zwyczajnie dusić. Ponadto uczyniła z ich domu miejsce, w którym każdy Polak czuł się mile widziany.

Miłość i wygnanie

Związek ze Skolimowskim rozpadł się w 1965 r. W tym samym roku Czyżewska poznała korespondenta „The New York Times" Davida Habelstrama. Amerykański dziennikarz żydowskiego pochodzenia, laureat Pulitzera, znany już z książki, jaką napisał o wojnie w Wietnamie, gdzie był korespondentem, miał zachwycić się Czyżewską, gdy zobaczył ją w sztuce „Po upadku". Para pobrała się bardzo szybko, jednak nie miała łatwo. „Początkowo Habelstram został przyjęty z pewnym entuzjazmem: w jego krytyce USA widziano potencjał do wykorzystania przez ówczesne komunistyczne władze, jednak szybko okazało się, że nadzieje pokładane w dziennikarzu są płonne" – pisze Emilia Padoł w książce „Damy PRL-u". Z kolei Iza Komendołowicz podaje, że Czyżewska ma swoją teczkę w IPN oraz że „od momentu poznania Habelstrama była pod stałą obserwacją służb".

eprasa.pl f666f89312

Zaś Zofia Czerwińska wspominała, że w hotelu Zgoda, gdzie kwaterowali korespondenci zagraniczni i gdzie zamieszkali Habelstramowie, były zainstalowane podsłuchy. „Żaliła mi się przerażona, że boi się rozmawiać. Później rozpętała się straszna nagonka, źle o niej pisano. Czuła się dręczona, zaszczuta. Dużo płakała, chociaż Ela nie była skłonna do płaczu. To był bardzo silny człowiek" – wspominała w rozmowie z Komendołowicz aktorka. Czyżewska dostawała coraz mniej propozycji zawodowych.

Do zagęszczenia atmosfery wokół korespondenta i jego żony z całą pewnością przyczynił się artykuł z 1967 r. napisany dla „New York Timesa". Dziennikarz krytycznie odnosił się w nim do Władysława Gomułki. Wkrótce cofnięto mu akredytację w Polsce. W tym czasie w kraju narastały zresztą nastroje antysemickie. David wyjechał do Paryża. Elżbieta zaś porzuciła świetnie rokującą karierę i postanowiła być lojalna wobec męża. „Ojczyzna pożegnała ją w sposób zgodny z tragiczną atmosferą roku 1967 w Polsce: pisemko »Walka Młodych« otrzymało polecenie zrobienia fotoreportażu z rewizji osobistej, której została poddana aktorka na lotnisku Okęcie" – wspomina w książce Komendołowicz Ryszard Pracz.

Nici z american dream

Z Habelstramem Czyżewska rozwiodła się w 1977 r. Jakie były przyczyny rozpadu związku? Czyżewskiej chyba niezbyt pasowała rola żony, chciała czegoś więcej. Kiedy okazało się, że ma raczej niewielkie szanse zaistnieć jako aktorka i że znana może być tylko jako intrygująca pani Habelstram, zaczęła się zwyczajnie dusić. Ponadto uczyniła z ich domu miejsce, w którym każdy Polak czuł się mile widziany. Pojawiali się tam więc przyszli wielcy artyści, pisarze na emigracyjnym zakręcie życiowym, choć także rozmaici murarze, robotnicy oraz zwyczajne pasożyty. Osoby wypowiadające się w książce Komendołowicz wspominają, że wszyscy oni byli przedstawiani jako „kuzyni" czy inni pociotkowie. W końcu matka Habelstrama pytała nawet Joanny Kranc, czy każdy w Polsce ma tak liczną rodzinę. Nawiasem mówiąc, relacja z teściową nie układała się Elżbiecie najlepiej. Matka Habelstrama chciała widzieć obok niego zupełnie inny, chyba znacznie spokojniejszy typ kobiety, zaś Czyżewska... Joanna Kranc wspominała, że kiedy teściowa się pojawiała, synowa uśmiechała się do niej przeuroczo, a następnie mówiła po polsku do swoich gości: „Niech ta stara k[...] wreszcie stąd pójdzie". Polacy oczywiście ryczeli ze śmiechu. Należy jeszcze dodać, że oczywiście liczni przyjezdni jedli na koszt gospodarzy. Zdarzyło się nawet, że Habelstram dostał – jak wspominał w książce Komendołowicz Daniel Passent – rachunek za czyjąś sztuczną szczękę. W tej samej książce Bernard Weissman opowiadał, że kiedyś dziennikarz wrócił do domu, a drzwi otworzył mu nagi mężczyzna. To był impuls do zakończenia związku.

Po rozwodzie Czyżewska pozostała w USA. W mieście czuła się dobrze, pomimo że musiała zmieniać mieszkania na coraz mniejsze oraz że były mąż – zobowiązany do płacenia jej alimentów – robił wiele, by ją upokorzyć, m.in. spóźniał się z wypłacaniem świadczeń albo załatwiał to przez swoją drugą żonę. Jak zwykle jednak była zbyt dumna, by się skarżyć czy użalać. Wręcz przeciwnie – nadal chętnie gościła pod swoim dachem przedstawicieli Polonii. Grała w przedstawieniach typu Off-Broadway, większej kariery nie mogła zrobić, ponieważ miała zbyt silny akcent. Jednocześnie cały czas interesowała się sytuacją w Polsce, bardzo przeżyła chociażby wprowadzenie stanu wojennego. Jedną z osób, które odwiedzały ją w USA, był Adam Michnik, z którym zresztą się przyjaźniła.

Jeszcze w czasach małżeństwa z Habelstramem u aktorki zaczął się problem alkoholowy. Jak pisze Emilia Padoł, najgorzej było w latach 80., kiedy to depresja, uzależnienie i funkcjonowanie na potwornym kacu po prostu rujnowały jej życie. W tym czasie zagrała także w kilku filmach w Polsce, m.in. w „Debiutantce" Barbary Sass. Krótkie odwiedziny w kraju okazały się porażką. Wiele osób uważa, że w publicznej świadomości Czyżewska pozostała pięknością sprzed wyjazdu. A kiedy na żywo zobaczyli kobietę w wieku średnim, nieco sfatygowaną życiem, to po prostu nie umieli „kupić" tej zmiany.

Elżbieta wróciła do USA, zresztą razem z suczką Haliną, którą znalazła gdzieś podczas pijackiego spaceru w towarzystwie Kazimierza Kutza. Już w USA zdarzyło się, że będąc pod wpływem alkoholu, ściągnęła do domu jakiegoś faceta, który okazał się psychopatą. Cudem udało jej się wyjść z tej historii cało. Zdarzenie stanowiło impuls do tego, by przestać pić. Aktorka zaczęła odbudowywać swoje życie, raz jeszcze przyjechała do Polski, gdzie zagrała w sztuce z Omarem Sangare, który bardzo chwalił sobie tę współpracę. W USA zaczęła dostawać ciekawsze propozycje. W 1990 r. uhonorowano ją nagrodą Obie za rolę w sztuce „Crowbar" w reżyserii Maca Wellmana. Zagrała epizod w serialu „Seks w wielkim mieście". I pewnie wiele byłoby jeszcze przed nią, gdyby nie choroba. W 2008 r. zapadła na raka przełyku. Być może przyczyną nie były wcale namiętnie palone przez nią papierosy, ale to, że w 2001 r., po atakach na World Trade Center, nie wyniosła się z miasta, ale wręcz przeciwnie – często przebywała w strefie zagrożenia i wdychała szkodliwy pył? Trudno to jednoznacznie stwierdzić. Z chorobą walczyła dwa lata. Zmarła 17 czerwca 2010 r. Jej ciało spoczęło w Polsce, na Powązkach Wojskowych. ■

eprasa.pl f666f89312

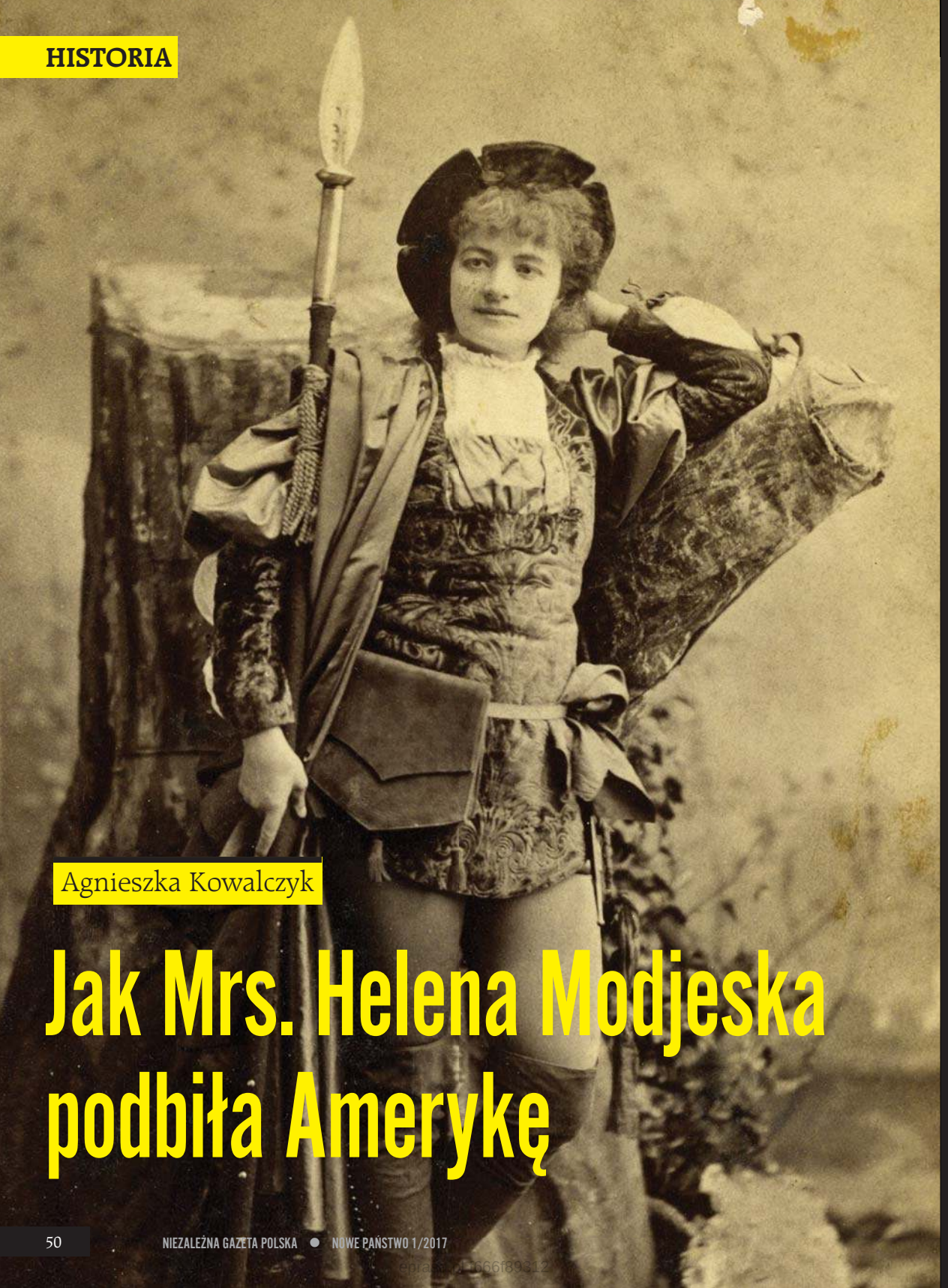

Agnieszka Kowalczyk

Jak Mrs. Helena Modjeska podbiła Amerykę

epraszka1666f89312

W głębokiej ciszy słychać było tylko tłumione łkania kobiet. Każdy utożsamiał się z cierpieniem tej umierającej dziewczyny, tak jakby była dlań najdroższą i najukochańszą istotą. Kurtyna opadła. Teraz publiczność ogarnęło jakieś nieopisane szaleństwo. Artystkę wbrew tradycji wywołano na scenę aż jedenaście razy! Takiego sukcesu Ameryka jeszcze nie oglądała. Zaraz po przedstawieniu Helena Modrzejewska zatelegrafowała do męża: „Zwycięstwo".

fot. Wikimedia

„Kraków był mi wszystkim: kołyską, niańką, opiekunem i wychowawcą. Tutejsze drzewa i gwiazdy uczyły mnie myśleć, a tęskny śpiew słowika odzywał się w moich marzeniach o miłości i pięknie. Sławny dzwon Zygmunta przywoływał chlubną przeszłość Polski; organy kościelne mówiły o Bogu i Jego Aniołach; witraże, posągi i ołtarze – o sztuce, o jej znaczeniu i godności". Ta pradawna stolica Polski była dla Heleny całym światem – rodzinnym gniazdem, świątynią sztuki, strażnicą ojczystych dziejów. Tu urodziła się w październiku 1840 r. w mieszczańskiej rodzinie Józefy Bendowej i tu na jej wyobraźnię działało wszystko – legendarne podania o Wandzie i Kraku, prastary Wawel, kopiec Kościuszki, sobótkowe noce nad Wisłą... Okno jej rodzinnego domu wychodziło na plac Franciszkański. Jakże fascynowały ją wynurzające się z kościoła tajemnicze postacie w czarnych habitach „w trupie czaszki, piszczele i płomienie". Jakże przerażające wydawały się jej podziemia klasztoru, w których podczas epidemii składano niegdyś ludzkie ciała. Potem wyobrażała sobie, że dwa olbrzymie puchacze przechadzające się tędy w księżycowym blasku, to dusze pokutników błagających o zmiłowanie. Wiele lat później, gdy studiowała rolę Julii, grób Kapuletów kojarzył się jej nieodparcie z franciszkańską świątynią, z jej mrocznymi lochami i zjawami o sowiej postaci. Na zawsze w jej pamięci zachował się też stary dom przy ulicy Szerokiej skrywający niszę z barokową figurą Matki Boskiej, której zawierzała dziecięce strapienia i smutki: „Wiedziałam, że Ona mnie słyszy i każdego ranka i wieczora odmawiałam swoje modlitwy, klęcząc przy oknie, tak by mieć przed oczyma jej wdzięczną postać".

Wszystko zaczęło się w Krakowie

Właśnie to miasto stało się dla Heleny miejscem inicjacji w świat teatru. Pierwsze lekcje sztuki dramatycznej otrzymała w rodzinnym domu, gdy wraz z siostrą i czwórką braci urządzali raz w miesiącu amatorskie przedstawienia. Nigdy też nie zapomniała swojej pierwszej bytności w teatrze, gdy oczarowana operą fantastyczną Donizettiego „Córka pułku", poszła spać z gorączką i przez tydzień jeszcze naśladowała taniec motyla, śpiewając niektóre arie. Niebawem wystawiła własne domowe przedstawienie – „przerażająco straszny dramat, pełen tyrad i tragicznych sytuacji". Matka jednak, widząc jej nazbyt wrażliwą naturę i niepohamowany pęd ku scenie, zakazała Helenie chodzić do teatru. Tymczasem ona sama odkrywała poezję romantycznych wieszczów, a wieczorami w gronie domowników chłonęła czytane na głos powieści Scotta, Dickensa, George Sand i Aleksandra Dumasa. Dopiero gdy skończyła szkołę klasztorną, z przejęciem przekroczyła progi teatru, owej krakowskiej świątyni sztuki. Wysta-

eprasa.pl f656f89312

wiano wtedy po niemiecku „Intrygę i miłość" Schillera. Helena siedziała jak skamieniała, chłonęła słowa, których nie rozumiała, i rozkoszowała się grą aktorską. Ten wieczór stał się w jej życiu momentem przełomowym. Nie spoczęła, póki nie kupiła egzemplarza „Intrygi i miłości" i nie przeczytała utworu od deski do deski ze słownikiem w ręku. I w ten oto „benedyktyński sposób" zgłębiła w oryginale prawie wszystkie dramaty Schillera. Rok później przyszła pora na Szekspira, który zafascynował ją w największym stopniu. „Hamleta" obejrzała w Krakowie, a wówczas ten „dusz ludzkich władca" stał się na zawsze jej mistrzem. Pisała potem, że nigdy gra nie dawała jej większej satysfakcji niż wówczas, gdy „kreowała" pełne słodyczy, namiętne albo okrutne i tragiczne bohaterki Szekspirowskich dramatów. Zapał artystyczny podsycał w niej Gustaw Zimajer – wielbiciel i znawca teatru, pierwsza wielka miłość Heleny. On to był odkrywcą jej talentu i z nim wyruszyła na podbój polskiej sceny. Pierwszy raz zagrała w Bochni, wcielając się w rolę Hortensji z „Białej kamelii" Listowskiego. Była świetnie przygotowana i „obkuta na blachę", lecz gdy usłyszała dzwonek rozpoczynający spektakl, omal nie zemdlała. Nie mogła przypomnieć sobie początkowych zdań swojej roli, ręce jej zlodowaciały, mrowie przeszło po plecach i poczuła, jakby zapadała się pod ziemię. Ale stanąwszy przed publicznością, natychmiast odzyskała przytomność umysłu. Gdy tylko zapadła kurtyna, za kulisami zjawił się pewien jegomość, wypytując Modrzejewską, jak długo gra na scenie: „Ależ ja nigdy nie byłam na scenie i nie jestem zgoła aktorką. Gramy ot tak, dla przyjemności" – odrzekła. „Mam nadzieję wkrótce Panią zobaczyć w Warszawie"– powiedział jej na odchodnym. A był to, jak się okazało, sam Jan Chęciński, znawca sztuki dramatycznej i reżyser warszawskich teatrów. Ten debiut artystyczny rozstrzygnął o przyszłości Modrzejewskiej.

Długa była jeszcze droga Heleny do występów na scenie warszawskiej. Najpierw podbiła serca widzów na prowincji, objeżdżając z wędrowną trupą aktorską małe miasteczka galicyjskie. Następnie grała na deskach teatrów we Lwowie, Stanisławowie i Czerniowcach, by wreszcie zadebiutować w Krakowie rolą księżniczki Sary w dramacie „Salomon" Wacława Szymanowskiego. W momencie jej przybycia do rodzinnego miasta teatr wchodził właśnie w swój „złoty okres", odradzając się po powstaniu styczniowym. Dzięki inicjatywie krakowskich intelektualistów – Arturowej Potockiej, wielkiej miłośniczki sztuki i uczennicy Chopina, Adama Skorupki, ówczesnego dyrektora teatru i jego następcy Stanisława Koźmiana, udało się zgromadzić pokaźne środki finansowe, zebrać świetny zespół aktorski, sprowadzić dekoracje i kostiumy z Wiednia, a z Warszawy – cenionego reżysera Jana Tomasza Jasińskiego. Modrzejewska rozkwitała wprost na krakowskiej scenie, a Jasiński powierzył jej aż sześćdziesiąt ról do odegrania: „Sześćdziesiąt ról – co za bogactwo! Porwałam je, przycisnęłam do piersi, a potem usiadłam na krześle i zaczęłam je wertować. Pierwszą z brzegu była księżniczka Eboli z »Don Carlosa« Schillera; następna Luiza Miller z »Intrygi i miłości« tegoż autora; Barbara z tragedii [...] Felińskiego; Ofelia z »Hamleta«; Dona Sol z »Hernaniego Wiktora Hugo; potem żona z »Naszych najserdeczniejszych« Sardou; »Adrianna Lecouvreur« Scribe'a i Legouvégo [...]. Tak byłam pochłonięta oglądaniem moich skarbów [...], że pognałam do domu, żeby tam się dopiero nacieszyć swoją zdobyczą". Już po pierwszym występie redaktor „Kuriera Warszawskiego" wysoko ocenił jej grę, mówiąc, że zdobyła publiczność swym niebywałym wdziękiem, cudownym głosem, darem przenikliwości artystycznej. Modrzejewska z pewnością nie zapomni kreacji Marii Stuart, którą dosłownie porwała publiczność, ani roli Szekspirowskiej Julii, po odegraniu której najpierw zaległo głuche milczenie, a potem dopiero zerwała się burza oklasków i dziesięć razy musiała wyjść przed kurtynę. Zdawało się, jak pisał krakowski „Czas", że „nagle przeniesieni jesteśmy do któregoś z włoskich teatrów, gdzie zapał dla sztuki dochodzi do szału".

▶ Na warszawskiej scenie. Tryumf i zawiść

Nic więc dziwnego, że prawdziwą furorę zrobiły gościnne występy Modrzejewskiej w Warszawie. Słowa Chęcińskiego co do jej przyszłej kariery okazały się prorocze. Zadebiutowała szczęśliwą dla siebie Adrianną, rolą najtrudniejszą do odegrania, jaką na początek jej wyznaczono. Miała wrażenie, że zastawiono na nią pułapkę, by udowodnić, iż „prowincjonalna" aktorka nie sprosta temu wyzwaniu. Rola Adrianny okazała się jednak jej prawdziwym tryumfem. Zachwycony występem dyrektor Muchanow zaproponował jej stały kontrakt. Na scenie warszawskiej ujrzano po raz pierwszy kobietę piękną, dostojną, o „srebrnym głosie", grającą tak, iż obejmowała wszystkie charaktery w najidealniejszych przejawach, od subtelnej i czystej Anieli w „Ślubach panieńskich" aż do idącej na szafot królowej Marii Stuart i zbrodniczej Lady Makbet, bo grała przecież nie tylko w sztukach Szekspira i Schillera, lecz także Goethego, Delavigne'a, Hugo, Sardou, Brachvogla, Scribe'a i Legouvéa.

Zjawienie się Modrzejewskiej na scenie warszawskiej i jej kilkuletnia praca twórcza – w oczach krytyka Władysława Bogusławskiego – miały niebagatelne znaczenie dla historii polskiego teatru: „Przyszła koić bliźniące się rany, przyszła otwierać oczy na piękno w życiu i sprowadziła ze sobą na scenę największych geniuszów świata, by przez swoją sztukę ich słowami, wznosić dusze ku wyżynom, dawać chwile zaczarowanego życia

eprasa.pl f666f89312

w błękitach prawdziwego piękna". Przyczyną wyjazdu Heleny do Ameryki była w istocie ludzka zawiść. Po śmierci swej najserdeczniejszej przyjaciółki, Marii Kalergis, żony dyrektora teatru, odczuła jeszcze silniej przejawy zazdrości, szyderstwa i zajadłe ataki na swoją osobę. Doszło nawet do tego, że jeden z aktorów w sztuce Lubowskiego „Nietoperze" upodobnił się łudząco do jej męża i powtarzając co chwila: „Żyję z kapitału mojej najdroższej żoneczki", dotknął Helenę do żywego. Toteż gdy w gronie jej przyjaciół zrodził się projekt wyjazdu do Ameryki, przystała na to od razu.

Kiedy publiczność warszawska dowiedziała się o planowanym wyjeździe, tłumnie przybyła na pożegnalny występ, by podziwiać aktorkę w scenach z dramatów Szekspira jako nieszczęśliwą Julię i obłąkaną Ofelię, by przeżyć dramat „Adrianny" i perypetie kochanków w „Ślubach panieńskich". Owacjom nie było końca, a publiczność utworzyła szpaler od drzwi teatru przez całą długość parku aż do głównej bramy. Żegnano artystkę okrzykami: „Wracaj nam, wracaj jak najrychlej, bo pozostawiasz za sobą przepaść, której nic zapełnić nie zdoła". I wzruszona do łez Helena przyrzekła powrócić.

Pod ciepłymi skrzydłami Matki Ziemi

W lipcowy poranek 1876 r. grupka przyszłych kolonistów znalazła się na pokładzie niemieckiego parowca „Donau", którym mieli pokonać Atlantyk, by dostać się do upragnionego Nowego Świata. Zanim jednak Modrzejewska spróbuje sił na deskach amerykańskich teatrów, najpierw wraz z mężem Karolem Chłapowskim, synkiem Rudolfem i grupką przyjaciół zakosztuje życia na kalifornijskiej farmie w Anaheim. Miejsce to najpierw urzekło Henryka Sienkiewicza, który pierwszy wyruszył do Ameryki jako korespondent „Gazety Polskiej" i wybrał tę „błogosławioną anaheimską dolinę" na dom dla przyszłych osadników. Uznał ją za raj na ziemi, bo nie było w niej pum i grzechotników, ale brzoskwinie, migdały, pomarańcze, kolorowe ptaki i motyle, słowem panowała tu wieczna wiosna. Kalifornijskie życie w naturze, jak pięknie określił to Franciszek Siedlecki, „było po prostu schowaniem się na pewien czas pod ciepłe skrzydła Matki Ziemi". Toteż nasi przybysze poczuli się w Aneheim prawdziwymi gospodarzami. Już pierwszego dnia mężczyźni zabrali się z wielkim entuzjazmem do pracy przy okopywaniu sadu pomarańczowego. Nawet piętnastoletni Rudolf ochoczo wyruszył do pracy. Wrócili na obiad „podnieceni różową perspektywą wyciśnięcia fortuny z urodzajnych gruntów Kalifornii". Wieczorem Rudolf zasiadł przy pianinie, by sprawdzić, czy jego dłonie nie stwardniały od pracy, i zaczął grać Chopina, a potem Sienkiewicz odczytał fragment „Szkiców węglem", które zrodziły się pod wpływem widoku lecących żurawi. Nazajutrz część towarzystwa spóźniła się na śniadanie; trzeciego dnia „niektórzy uskarżali się, że »nie czują pleców«", a po tygodniu tylko dwóch śmiałków – mąż i syn Heleny – obstawało przy dalszej pracy. Niebawem okazało się, że prowadzenie gospodarstwa nie było mocną stroną warszawskich artystów. Trudności stale się piętrzyły i jakby na ironię losu prześladował ich jakiś pech: „Mieliśmy kilka krów, ale nie było komu ich doić – utyskiwała gospodyni – Mieliśmy kury, ale nasze psy [...] stale żywiły się jajami. Mieliśmy piękny zbiór muskateli, ale nie było na nie kupców". Do tego kończyła się gotówka, więc i kalifornijska sielanka musiała dobiec końca. W tej sytuacji Modrzejewska ostatecznie zawyrokowała o wyjeździe do San Francisco.

Na podbój amerykańskiej sceny

Helena, jak zawsze odważna i nieustępliwa, uczyła się dniami i nocami angielskiego, by swych sił spróbować w kalifornijskim teatrze. Gdy w pół roku opanowała język, po wielu prośbach, pozwolono jej zaprezentować się na próbie w roli Adrianny, Julii bądź Kleopatry. W drodze na scenę towarzyszyli Modrzejewskiej zaprzyjaźnieni Polacy – generał Krzyżanowski, Brodowski i kapitan Rudolf Piotrowski – prototyp Sienkiewiczowskiego Zagłoby. Gotowi byli ukamienować każdego, kto śmiałby wątpić o geniuszu Heleny. Ta wyszła na scenę i rozpoczęła swą kwestię. Ale oto już po paru minutach reżyser Hill zawołał z dezaprobatą: „Ona do niczego!". Na te słowa Helena z płaczem wypadła za scenę. Nie chciała nawet słuchać o następnej próbie. Dopiero słowa kapitana Piotrowskiego: „No moja pani, jeżeli jeden taki pludra potrafił cię nastraszyć, toś chyba nie Polka!" – trafiły w jej najczulszy punkt, bo być Polką to dla niej honor i najwyższy zaszczyt.

Kilkanaście dni potem do San Francisco powrócił John McCullough, dyrektor teatru i wybitny amerykański aktor. „Przyboczna straż" Heleny wyjednała kolejną próbę dla „swojej pani". W oczekiwaniu na występ artystki biły głośno serca Polaków, a zwłaszcza naszych wiarusów – Piotrowskiego i Sienkiewicza. Modrzejewska miała zagrać Adriannę Lecouvreur, a potem wcielić się w postać Szekspirowskiej Julii. Otwarto przed nią drzwi lectorium z zakurzonymi oknami i podium, na którym stał jedynie chwiejny stół i koślawe krzesło. Ale scena należała tylko do niej... Stopniowo zapominała o wszystkim, gra pochłonęła ją bez reszty. Podczas sceny ze szkatułką przez ułamek sekundy widziała chusteczkę pana Hilla, jej biel i ruch ręki... Teraz przyszła pora na Julię. Tym razem deklamowała po polsku. „Wyszła na scenę jak królowa – zachwycał się Brodowski – i naraz spłynął na nas prześliczny potok naszej ukochanej mowy. Była to [...] rozrzewniająca chwila, usłyszeć tam, na

eprasa.pl f666f89312

brzegach Oceanu Spokojnego, ze sceny amerykańskiej polskie słowa". Sam zaś McCullough wzruszony podszedł do Heleny, zgiął przed nią kolano i zawołał po angielsku: „Pani, jesteś największą artystką, jaką widziałem, i przepowiadam pani niebywałe tryumfy na naszej scenie".

Wkrótce olbrzymie afisze teatralne na ulicach San Francisco donosiły, że polska artystka „Mrs. Helena Modjeska" ma ukazać się na scenie California Theatre w roli Adrianny Lecouvreur. Na ten wielki występ wprost z lasów Maripozy przybył Sienkiewicz, nie dowierzając, że nasza aktorka zadebiutuje od razu w języku Szekspira. W jego sercu rodziły się coraz większe obawy, czy Modrzejewska podoła... Tymczasem do teatru napływały tłumy. Sienkiewicz wiedział jednak, że to przecież nie warszawska publiczność, że tu serca i dusze obce. Pośród wchodzących wypatrzył jednak swojskie, polskie twarze, bo cała Polonia chciała zobaczyć Modrzejewską. Był to dla niej dzień zwycięstwa lub klęski...

Wreszcie wybiła ósma. Kurtyna podniosła się. Akt pierwszy przeszedł szybko, dopiero w drugim pojawić się miała tak wyczekiwana Adrianna. W tym momencie z głębi kulis wyłoniła się Modrzejewska. Długimi oklaskami przywitali ją rodacy... W oczach Sienkiewicza była to postać idealna „jakby wyszła spod dłuta Fidiasza. Szlachetność rozlana w całej postawie i ów niewypowiedziany czar niewieści wrażenie uczyniły niezmierne [...]. Na koniec posąg przemówił [...] i w miarę jak mówiła, głowy pochylały się jakby w mimowolnym hołdzie, twarze traciły codzienny swój businessowy ostry wyraz, a zimna ciekawość zmieniała się w pełne sympatycznego uczucia zajęcie". Nie było wątpliwości, Modrzejewska olśniła amerykańską publiczność. Gdy nadszedł moment na bajkę La Fontaine'a, widzowie zamarli. Głos aktorki wypełnił teatr jakąś nieziemską muzyką. W oczach Polaków stanęły łzy... To było niesłychane zwycięstwo. Wniebowzięty Sienkiewicz pisał, że „jak Ameryka Ameryką, nie pamiętano takiego entuzjazmu. [...] Teatr wył, ryczał, klaskał, tupał. [...] Nie była to już Helena Modrzejewska, była to Adrianna, rzeczywista, rozrzewniająca, rozkochana Adrianna".

W ostatnim akcie weszła na scenę w bieli, z rozpuszczonymi włosami. Rozpacz malowała się w każdym jej słowie, w każdym geście. Wzgardzona i zdradzona była niczym „kwiat poezji", który uwiędnąć ma przed czasem. I wtedy pojawił się on, Maurycy Saski, ofiarowując jej swą miłość... Adrianna rzuciła się ku niemu z dramatycznym okrzykiem: „Maurice!". W tym jednym słowie zamknęła Modrzejewska cały stan duszy swej bohaterki i tym jednym słowem porwała całą publiczność... Widownia nie mogła powstrzymać się od płaczu... Teraz następowała scena konania. W głębokiej ciszy słychać było tylko tłumione łkania kobiet. Każdy utożsamiał się z cierpieniem tej umierającej dziewczyny, tak jakby była dlań najdroższą i najukochańszą istotą. Kurtyna opadła. Teraz publiczność ogarnęło jakieś nieopisane szaleństwo. Artystkę wbrew tradycji wywołano na scenę aż jedenaście razy! Takiego sukcesu Ameryka jeszcze nie oglądała. McCullough wykrzykiwał w stanie najwyższego zachwytu: „Pani! Widziałem Salviniego, widziałem tego i owego, a nigdy nie byłem tak wzruszony. Pani jesteś pierwszą artystką w świecie!". Zaraz po przedstawieniu Helena zatelegrafowała do męża: „Zwycięstwo".

Ambasadorka Polski za Oceanem

Dzięki Modrzejewskiej w Ameryce stało się głośno o Polsce i Polakach. Sama zaś aktorka postanowiła, że na obcej ziemi grać będzie zawsze „Ofelię" w ojczystym języku. Sienkiewicz donosił rodakom, co przeżywała amerykańska Polonia, oglądając wielką artystkę: „Ludzie ci dawno, dawno już nie słyszeli rodowitego języka [...]. Była to dla każdego [...] jakby mała przelotna chwila wiosny z szelestem rodzinnych drzew, ze śpiewaniem naszych szarych skowronków i z odgłosami fujarek pastuszych. [...] Dźwięczny, przeczysty język nasz brzmiał wśród ciszy teatralnej obok chrapliwych dźwięków angielskich jak anielska muzyka [...]. Mała rola Ofelii pokryła sobą wszystkie inne; zniknął Hamlet, zniknął król Klaudiusz, Poloniusz, Laertes, zdawało się, że gra sama tylko Ofelia". W Modrzejewskiej dostrzegł Franciszek Siedlecki żywy symbol Polski na gruncie amerykańskim – „żywego człowieka podbijającego serca wszystkich, a posłującego w imię uciśnionego narodu".

Prawdziwym dowodem odwagi i patriotyzmu stało się wystąpienie Modrzejewskiej w 1893 r. na Światowym Kongresie Kobiet w Chicago. Sala Waszyngtona w Instytucie Sztuk Pięknych pękała w szwach. Każdy naród miał tu swoją delegację z wyjątkiem Polaków pod zaborem rosyjskim. Poproszono więc Modrzejewską, by zabrała głos na temat sytuacji kobiet w swojej ojczyźnie. Zgodziła się bez wahania, rozpoczynając wykład od usprawiedliwienia nieobecności swych rodaczek, które za udział w kongresie niechybnie czekały represje. Potem zaś z głębi serca wypowiedziała całą prawdę o życiu Polek pod zaborami, prawdę o swoim zniewolonym narodzie:

„Ci, którzy nam zabrali byt narodowy, usiłują wmówić w cały świat, że nie ma i nigdy nie było takiej rzeczy, jak naród polski. [...] Bezbożny duch naszych trzech chrześcijańskich sąsiednich monarchii podszepnął im utworzenie tak zwanego Świętego Przymierza, ażeby zmiażdżyć i rozerwać na strzępy naszą nieszczęsną ojczyznę [...], wbijając sztylet w samo serce naszego życia narodowego, niszcząc instytucje, prześladując nasz

eprasa.pl f666f89312

język i religię, zamykając wszystkie wrota cywilizacji i postępu. Kiedy nasi mężczyźni, wyczerpani wojnami i klęskami, stracili serce i zwątpili, wtedy właśnie kobieta polska stanęła niczym anioł-stróż u drzwi ich sumienia. Ona to właśnie uczyła swych synów, jak urągać wrogom, ona przechowywała tradycje honoru, patriotyzmu, odwagi i wytrwałości. Nasi wrogowie popełniają wielki błąd, jeśli myślą, że mogą zabić miłość ojczyzny. Dopóki jedna Polka pozostaje przy życiu, Polska nie umrze. Cały świat zna matronę rzymską i matronę spartańską. Twierdzę, że miejsce po nich należy do matki-Polki".

Te słowa usłyszał świat w Chicago. Na drugi dzień wszystkie amerykańskie dzienniki zamieszczały sprawozdania z wystąpienia artystki, opatrując je komentarzami piętnującymi antypolską politykę państw rozbiorowych. Po tym śmiałym przemówieniu Modrzejewska podniesiona została przez swych rodaków do godności „ambasadorki trzech zaborów". Gdy za dwa lata przyjedzie na gościnne występy do Warszawy, gubernator Królestwa Polskiego, generał Hurko, zabroni jej na zawsze występów w carskich teatrach i jeszcze tego samego dnia wyprawi ją ze stolicy pod eskortą dyrektora policji.

Śmierć za biało-czerwone szarfy

Największą radość sprawiały jednak Modrzejewskiej nie tryumfy na wielkich scenach Ameryki i Anglii, lecz występy gościnne na ziemi ojczystej, wśród rodaków. Gdy w 1880 r. przybyła do Warszawy, po jednym z przedstawień, siedemnastu gimnazjalistów ofiarowało jej wieniec z biało-czerwonymi szarfami i napisem w zakazanym języku ojczystym: „Helenie Modrzejewskiej – od młodzieży polskiej". Dyrektor szkoły, niejaki Choroszewski, niegdyś patriota i spiskowiec, teraz gorliwy rusyfikator, uznał gest uczniów za manifestację polskości i wszczął śledztwo, a kurator Aleksander Apuchtin zastosował najwyższy wymiar kary, wydalając ich ze szkoły z „wilczym biletem" zabraniającym wstępu do wszystkich uczelni w państwie. Wśród represjonowanych znalazł się 17-letni Ignacy Neufeld, który w geście protestu odebrał sobie życie strzałem z pistoletu. Jego ofiara nie była bezowocna, bo wydalonych uczniów przyjęto z powrotem. Ta śmierć za biało-czerwone szarfy do głębi poruszyła całą Warszawę, a pogrzeb chłopca stał się wielką manifestacją narodową. Wziął w nim udział każdy, kto tylko czuł się Polakiem. Za konduktem jechała w zamkniętej karecie Modrzejewska. Na grobie Ignacego złożyła wieniec, bardzo podobny do tego, który otrzymała od niego po spektaklu, niektórzy mówili nawet, że ten sam. „Nagle w jej życie i teatr, jak pisano, wtargnęły razem tragedia i polityka. Słowa o zdarzeniu rozniosły się po kraju, szarfy wyolbrzymiono w sztandar, aktorkę mianowano chorążym biało-czerwonej sprawy".

Relikwia znad brzegów Wisły

Śmierć młodego patrioty jeszcze bardziej związała Modrzejewską z ojczyzną i uświadomiła jej, jak ogromne znaczenie ma sztuka dla ocalania polskości. Toteż niebywałym odkryciem stały się dla niej dramaty Stanisława Wyspiańskiego – „Warszawianka" oraz „Protesilas i Laodamia", w których przyszło jej zagrać główne role. Największym jednak przeżyciem artystycznym było „Wesele", o którym pisała: „Cały ból nasz narodowy zaszarpał mym sercem, wszystkie rany zabolały, stare się rozjątszyły, a nowe otwarły i wszystkie palić jęły duszę". Kiedy Helena odegrała w Krakowie jedną z najtrudniejszych ról, Laodamii, i kurtyna Siemiradzkiego opadła, publiczność oniemiała i dopiero po długiej pauzie, ogarnięta entuzjazmem, wywołała Helenę kilkanaście razy. Mimo że wszystkie światła już zgasły, w pustej sali siedział nadal jak zahipnotyzowany Stanisław Witkiewicz – znany krytyk sztuki i artysta malarz z Zakopanego. Szeroko rozwartymi oczyma patrzył w kierunku sceny, jak gdyby Helena wciąż tam jeszcze była. Dopiero po kilkunastu minutach ocucił się zdziwiony i wolno ruszył ku wyjściu. I to jemu właśnie przyszło w udziale, jak niegdyś, przed dwudziestu siedmiu laty, pożegnać Modrzejewską, gdy odjeżdżała do Ameryki. Zabierała z sobą woreczek polskiej ziemi – najcenniejszą relikwię znad brzegów Wisły. A był to rok 1903. Nie wiedziała wtedy jeszcze, że jest to jej ostatni występ w Polsce, ostatni w ojczystym języku. Po sześciu latach, 9 kwietnia 1909 r., dotarł do Krakowa telegram o jej śmieci.

Krakowski finał

Jeszcze za życia pragnęła, by pochowano ją w rodzinnej ziemi, na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. I tak też się stało. Wielką artystkę dramatyczną, gwiazdę dwóch kontynentów, żegnał cały naród, a w jego imieniu przemówił Henryk Sienkiewicz:

„»O Jeruzalem, Jeruzalem, jeśli Cię kiedy zapomnę, niech będzie zapomniana prawica moja«, te słowa psalmu dawidowego stały się jakby cząstką jej duszy. Więc nie zapomniała nigdy. I wracała do ziemi matki, ilekroć mogła, a wreszcie wróciła w trumnie. Tu dla niej [...] cichy, wieczny sen. Nie zapomniała o starej ziemi, w tej nowej [...]. I równie jak ziarno naszej sosny lub lipy, porwane wichrem, może gdzieś nad brzegami dalekich mórz wyrosnąć w strzeliste drzewo, jednakże nie zmieni się w palmę lub oliwkę, tak i ona, wyrosła bardzo wysoko, lecz zrodzona na polskiej ziemi pozostała Polką do ostatniego tchnienia". ■

eprasa.pl f666f89312

Piotr Lisiewicz

Jeden tekst sprzed 65 lat, a jak wiele nie tyle aktualnych, ile na nowo aktualnych treści! Tymon Terlecki nazywany był „Chorążym" niepodległościowej, antykomunistycznej emigracji. W 1951 r. opublikował w londyńskich „Wiadomościach" artykuł rozprawiający się z próbami podejmowanymi przez komunistyczne elity, by Stefana Żeromskiego ogłosić własnym prekursorem. Terlecki cytował słowa autora „Ludzi bezdomnych": „idee, w których imię umierali nasi żołnierze, stały stokroć wyżej od praw ukutych w ciasnym zespole oligarchów Moskwy". Warto przeczytać to wszystko w 2016 r., gdy rządzi w Polsce obóz niepodległościowy wsparty głosami biednych i dyskryminowanych przez oligarchię. Co podszywającym się pod inteligencję „nasłańcom moskiewskim" oraz „posłusznym małorządcom" (określenia Terleckiego) kojarzy się z sojuszem z Edkiem z Mrożka. Jeśli można wskazać, czyim przeciwieństwem są dzisiejsze elity z KOD-u z obrzydzeniem spoglądające na „motłoch", to najtrafniejsze będzie następujące spostrzeżenie: przeciwieństwem ideału Stefana Żeromskiego i myśli politycznej jego ucznia Tymona Terleckiego. Czyli wszystkiego, co w polskiej, niepodległościowej, inteligenckiej misji było najbardziej szlachetne, a jednocześnie twardo trzymające się ziemi. Mocny tekst ważnego Autora.

Tymon Terlecki

Żeromski prawdziwy

Baryka zginął w Katyniu, leży pod śniegami Kołymy albo w gruzach Starówki, może rąbie drzewo w Kanadzie albo łupie węgiel w Walii.

Niedawno zmarły znakomity pisarz angielski George Orwell w ostatniej swojej powieści „Rok 1984" stworzył jakby satyryczną apokalipsę czerwonego totalizmu. Co dzień stwierdzamy, że jego przeraźliwe wizje są już rzeczywistością, że rzeczywistość prześciga lot panicznej wyobraźni. W koszmarnym świecie, nad którym unosi się złowrogi cień „Wielkiego Brata", Orwell nie przewidział jednej potwornej praktyki: fałszerstwa wielkości, hańbienia świętych trucheł, bluźnierczego przemalowywania i przebierania pomników. Te zabiegi odbywają się w Polsce na olbrzymią skalę. Jak snobistyczni parweniusze, jak typowi uzurpatorzy, nasłańcy moskiewscy dorabiają sobie drzewa genealogiczne. Rok mickiewiczowski dał sposobność do cynicznego, urągającego zdrowemu rozsądkowi widowiska, w którym twórca „Dziadów" wystąpił jako przodek i prorok komunizmu. A przecież Mickiewicz, największy geniusz narodowy, był także i może przede wszystkim jednym z największych geniuszów religijnych, geniuszów chrześcijańskiego odczuwania i rozumienia świata.

Złodzieje cmentarni i talmudyczny bełkot

W 25. rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego przyszła kolej na to wielkie imię, na niezapomniane, płomienne istnienie, na niezapomnianą, palącą jak ogień, szarpiącą jak ból twórczość. Żeromski jest jeszcze zbyt bliski, zbyt głęboko wszczepiony w krew żyjących pokoleń polskich, aby go można było sfałszować w tak prostacki sposób, jak to zrobiono ze Staszicem i Kołłątajem, z Mickiewiczem i Słowackim. Zabiegi gwałcicieli grobów, złodziei cmentarnych są tutaj o wiele bardziej złożone. Rewiduje się Żeromskiego ze stanowiska doktryny, zgłaszając pretensje i zarzuty. Wystawia mu się pośmiertny glejt postępowości. Z tymi wszystkimi zastrzeżeniami i z bezczelnie protekcjonalnym poklepywaniem po ramieniu wskazuje się w nim duchowego ojca obecnych rządców Polski.

Można puścić mimo uszu talmudyczny bełkot, paplaninę wyższego wtajemniczenia; być może, iż tak się musi w dzisiejszej Polsce mówić, jeśli się chce cokolwiek powiedzieć. Można odeprzeć uśmiechem twierdzenie, że Żeromski „na świat i jego problema-

eprasa.pl f666f89312

tykę spogląda zawsze z okien oficyny szlacheckiego dworku w Klelecczyźnie", jak i pozbawione jakiejkolwiek uchwytnej treści określenie: „zespół poglądów Żeromskiego jest wyrazem szlacheckiej rewolucji burżuazyjnej".

Jest coś z niepokojącego samoponiżenia, gdy córka wydawcy wielkiego pisarza ośmiela się zawieszać domyślne pytajniki nad jego stosunkiem do komunizmu, gdy opierając się na tak nikłej podstawie, jak przechowywanie kilku odezw komunistycznych, dopuszcza, że ostatnie dzieło Żeromskiego, nienapisana, legendarna „Wiosna" miała być opowiedzeniem się za wiarą komunistyczną.

Ale jawnie urąga prawdzie wyprowadzanie z „Przedwiośnia" rodowodu komunistów rzekomo polskich i rzekomo polskiego komunizmu. Można bez przesady powiedzieć, że właśnie autor tej książki był najgłębiej wrogi porządkowi, który dziś w Polsce panuje, i ludziom, którzy go wprowadzają. Właśnie twórca „Przedwiośnia" stanowi żywe, płomienne potępienie tego porządku i jego ludzi.

Szczekanie po nocy

Żeromskiego urabiały rozmaite oddziaływania. Jednym z najważniejszych, najtrwalszych była myśl polskiej emigracji polistopadowej. Zbieg okoliczności, przypadek czy jakieś jasnowidzenie instynktu, nieuchronne ciążenie wprowadziły Żeromskiego na historyczny już za czasów jego młodości szlak emigrancki. Jako młody człowiek, na cztery lata przed pierwszym tomem opowiadań: „Rozdziobią nas kruki, wrony", na sześć lat przed pierwszą powieścią: „Syzyfowe prace", spędził Żeromski dłuższy czas w Rapperswilu. Pracując tam jako bibliotekarz, z żarliwą pasją i pedantyczną systematycznością, które tylko jemu były właściwe, zgłębił dorobek Wielkiej Emigracji. Zrozumiał go, odczuł, przeniknął na wskroś jak nikt przed nim i bodaj nikt po nim. (...) Żeromski nasycił się nie tylko poezją, ale ideą, trudem wypatrywania przyszłości, pracą myślową i organizacyjną emigrantów polistopadowych. Stanowi on wyjątkowy przykład ciągłości kulturalnej, organicznego związku między epokami i pokoleniami.

Zwłaszcza jedna idea Wielkiej Emigracji zaważyła na czuciu, widzeniu rzeczy i działaniu twórczym Żeromskiego: idea łącząca sprawę narodową ze sprawą społeczną, sprzęgająca walkę o niepodległość z walką o sprawiedliwość. Ta idea, uznana za swoją przez cały, radykalny odłam wielkiego wychodźstwa, przenika manifesty i działalność Polskiego Towarzystwa Demokratycznego, brzmi w „Składzie zasad" Mickiewicza, jest światłem przewodnim powstania styczniowego. Cokolwiek by się mówiło o dobie postycznioweej, o pozytywizmie polskim, ten sprzęg pojęciowy i uczuciowy, inaczej nazwany, zachowuje w nim siłę żywotną. Stanowi on jeden z najistotniejszych, jeśli nie najistotniejszy, ośrodek twórczości Żeromskiego. W niej dwoista idea walki o niepodległość narodową i sprawiedliwość społeczną okazała przedziwną moc, zdolność trwania, oblekania się w ciało, wstrząsania duszami.

Żaden pisarz polski nie złożył tylu świadectw prawie męczeńsko nadczułej wrażliwości na krzywdę społeczną. Niewielu też wykazało tak uparte, niezłomne natężenie woli niepodległości. Doktór Judym z „Ludzi bezdomnych" mówi: „Ja jestem za to wszystko odpowiedzialny! Ja jestem. Jestem odpowiedzialny przed moim duchem, który we mnie woła: nie pozwalam! ... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którą bym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę się wyrzec szczęścia, muszę być sam jeden". Czarowic z „Róży" mówi w imieniu Żeromskiego: „Mam hasło niepodległości wpracować w trudy polskie, zakląć we wszystkie wysiłki, mam je wszeptać w sztukę nowoczesną. Mam to proste, jedyne prawo oddać ludowi. Będę jak pies szczekał to hasło po nocy dookoła siedlisk ojczyzny, żeby go nie przespała w swym gnuśnym śnie".

Ojczyzna wolnych ludzi pracy

Żaden z pisarzy urodzonych w niewoli nie powitał niepodległości takim hymnem uszczęśliwienia, jaki rozbrzmiał w „Wiśle" Żeromskiego: „Bądź pozdrowiona przenajdroższa ziemio nasza, którą czciliśmy miłością bezdenną, gdyś była pod otchłaniami wód niewoli! Bądź pozdrowiona teraz i o każdej porze mową naszą tysiącletnią i na wieki świętą! (...)".

W wolnej Polsce zachował Żeromski tę samą odpowiedzialność sumienia za zło społeczne, o której mówił Judym. Jak niegdyś Judymowi, kazał Przełęckiemu w „Przepióreczce" zdobyć się na bohaterskie wyrzeczenie siebie; osobistego uczucia i szczęścia dla dobra sprawy, dla dobra wspólnego dzieła. W roku odzyskania niepodległości wydał broszurę „Początek świata pracy", wolną ojczyznę kojarzył z ojczyzną wolnych ludzi pracy. W kilka lat później w odczycie „Literatura a życie" ogłosił zwolnienie literatury z obowiązków społecznych, ale sam nie skorzystał z tej amnestii. „Wiatr od morza" mówi o obowiązkach wobec wolnego istnienia. „Przedwiośnie" w sposób bezlitosny przywodzi przed oczy groźne zawikłania społeczne. Ciągle, do końca utrzymuje się ten sprzęg zawiązany w nim przez ducha wielkiej emigracji, sprzęg narodowego ze społecznym, wolności ze sprawiedliwością.

eprasa.pl f666f89312

Właśnie „Przedwiośnie" i wcześniej najazd bolszewicki w r. 1920 dały Żeromskiemu sposobność do stwierdzenia, że nie ma i nie może być rozdziału między samorządnością polską, prawem do stanowienia o sobie i lepszym porządkiem społecznym, na polski sposób budowanym przez Polaków dla Polaków. Te dwa świadectwa złożył Żeromski w okolicznościach nieopisanie dla siebie bolesnych. Noszą też one piętno bezwzględnej prawdy.

Po ukazaniu się „Przedwiośnia" niewydarzony krytyk krzyczał histerycznie, że należy Żeromskiemu odebrać wstęgę orderu Polonia Restituta. Jednocześnie prasa sowiecka usiłowała swoim obyczajem ukuć z tego utworu i ze zmąconego pogłosu, jaki wywołał, oręż dla siebie. W „Odpowiedzi Arcybaszewowi i innym" Żeromski stwierdził dobitnie że „Przedwiośniem" chciał „uderzyć w sumienia polskie, wezwać do stworzenia wielkich, wzniosłych, najczyściej polskich, z ducha naszego wyrastających idei, dookoła których skupiłaby się zwartym obozem młodzież, dziś pchająca się do więzień, aby w nich gnić i cierpieć za obcy komunizm ... Nie zrozumiano mej przypowieści... Nie zrozumiano ohydy, okropności tragedii pochodu na Belweder, sceny przy której pisaniu serce mi się łamało. Koroną moich usiłowań stały się pochwalne artykuły w pismach moskiewskich, głoszące że przyłączyłem się do komunistów po prostu i bez namysłu, jakbym się oto zapisał do cyklistów albo esperantystów"...

Baryka zginął w Katyniu

Wcześniej jeszcze w r. 1920 Żeromski zaświadczył co myśli o „sprawiedliwości" przynoszonej na obcych bagnetach, służącej za bluźniercze przybranie odwiecznemu duchowi najazdu i zaboru. Radykał społeczny do najtajniejszego fibru swojej duszy i do ostatniego tchnienia, stanął wtedy bez wahania po stronie zagrożonej niepodległości. Bronił jej słowem i czynem. Jeździł do strefy przyfrontowej. Jeden z takich wyjazdów opisał w drobiazgu „Na probostwie w Wyszkowie", który po trzydziestu latach ma znamiona uderzającej aktualności.

Na owym wyszkowskim probostwie rezydował przed odparciem najazdu ówczesny „rząd polski" z nadania Moskwy, pierwsza edycja komitetu lubelskiego. Żeromski zastał tam świeże wspomnienie członków owego rządu, gotującego się do objęcia władzy w najechanym kraju. Dwu z nich, Kohna i Marchlewskiego, Żeromski znał osobiście z dawniejszych spotkań. O trzecim, Dzierżyńskim, pisze tak: „Nigdy nie byłem w promieniu jego jurysdykcji i cieszę się świadomością, iż nigdy nie widziałem ani jego twarzy, ani nie dotykałem ręki krwią obmazanej po łokieć, ani słyszałem wyrazów z jego ust wychodzących. Wyznaję, iż to imię i nazwisko wymówione w mej obecności sprawia na mnie obmierzłe wrażenie duszności i jakby torsji". Dziś tym imieniem i nazwiskiem chrzci się w Polsce szkoły, szpitale i biblioteki. Krwawy siepacz jest jednym ze świętych panującego regime'u. Zaiste jest to święty godny religii i jej wyznawców.

Bezwzględny osąd całego dzisiejszego układu rzeczy i wszystkich stojących za nim ludzi zawierają te pytania i odpowiedzi wielkiego pisarza: „Któż to byli ci trzej goście, którzy w tych izbach mienili się rządem polskim? Czy ich lud polski wybrał, czy ich ktokolwiek na tej ziemi mianował? Lud polski czy naród polski, tak rozumiany jak to jest w ich zwyczaju, nie naznaczał żadnego z nich na godność, którą sobie wybrali. Naznaczeni zostali przez kogoś z wyższa, w obcym kraju, w obcym zespole, w swej partii (...)".

To określenie z doskonałą precyzją przystaje do wszystkich posłusznych małorządców dzisiejszych wraz z Wasilewską-Korniejczukową, Passionarią Związku Patriotów, i „ministrem" Kruczkowskim, którym liberyjna krytyka dorabia pokrewieństwo z Cezarym Baryką z „Przedwiośnia". Jest to oczywista nieprawda. Baryka zginął w Katyniu, leży pod śnie-

CAŁY WYSIŁEK OREŻNY W OSTATNIEJ WOJNIE, CAŁY RUCH PODZIEMNY NARODZIŁ SIĘ Z NATCHNIENIA ŻEROMSKIEGO. ŻOŁNIERZE ARMII KRAJOWEJ WCIELILI W ŻYWY KSZTAŁT JEGO BOHATERSKIE WYOBRAŻENIE POLSKOŚCI, PRZENIEŚLI JE Z KART KSIĄŻEK NA ZIEMIĘ, ZE ŚWIATA MARZENIA W ŚWIAT HISTORII.

eprasa.pl f666f89312

gami Kołymy albo w gruzach Starówki, może rąbie drzewo w Kanadzie albo łupie węgiel w Walii.

Żołnierski pas nędzarzy

Szkic „Na probostwie w Wyszkowie" zawiera obok siebie namiętne wołanie o poprawę ustroju społecznego i stwierdzenie wierności niepodległej ojczyźnie: „Cały lud polski poszedł w bój za ojczyznę. Opasali się pasem żołnierskim nędzarze, którzy na własność w ojczyźnie mają tylko grób, i z męstwem, na którego widok oniemiał świat, uderzyli na wojska najeźdźcy. Od krańca ziemi polskiej do drugiego krańca, gdziekolwiek brzmi nasza mowa, jedenpodniósł się krzyk: »Niech żyje ojczyzna!«" .

Ten głos brzmi poprzez odległość trzech dziesiątków lat, jakby dobywał się z piersi dzisiaj, jakby mówił o r. 1939 i 1944. I to na pewno nie jest złudzenie. Cały wysiłek orężny w ostatniej wojnie, cały ruch podziemny narodził się z natchnienia Żeromskiego. Żołnierze Armii Krajowej wcielili w żywy kształt jego bohaterskie wyobrażenie polskości, przenieśli je z kart książek na ziemię, ze świata marzenia w świat historii.

Żeromski ciąży nad nami także jako prawodawca społeczny. To właśnie walczące o niepodległość podziemie polskie wypracowało program społeczny, nie tylko radykalny ale uzgodniony przez wszystkie ośrodki opinii polskiej, nie tylko szlachetny ale i konkretny, nie porywczy ale rozważny, nie utopijny ale możliwy do urzeczywistnienia. To znowu mówi Żeromski: „... idee, w których imię umierali nasi żołnierze, stały stokroć wyżej od praw ukutych w ciasnym zespole oligarchów Moskwy"... Stały i stoją.

Powtarza się dzisiaj w Polsce układ rzeczy znany Żeromskiemu na wylot. Znowu ma najgłębszą wagę prawda, która stanowi o całej historii naszych walk o niepodległość. Miały one sens tylko dzięki temu, że odwoływały się do wszystkich, że podejmowano je nie w obronie przywileju, ale w imię sprawiedliwości. Dziś jak kiedyś przewidująco wytrącony został z rąk zaborcy argument społeczny. Leży to także w linii Żeromskiego. W „Turoniu", w „Popiołach", w opowieści „O żołnierzu tułaczu" wymierzył on do dna wszystkie pomyłki i tragiczne powikłania, całą małość ludzką i okrutną ironię losu, związaną z tymi sprawami.

Aksamitna czapeczka moskiewska

Oczyma Żeromskiego, oczyma jego wiary czerpanej z nauk wielkich wygnańców, oczyma jego doświadczenia patrzymy w przyszłość. „Przed wyjazdem [z probostwa w Wyszkowie z powrotem do Moskwy] – mówi Żeromski – dr Julian Marchlewski powtarzał raz w raz melancholijnie: „Miałeś chłopie złoty róg, miałeś chłopie czapkę z piór... ostał ci się ino sznur"... Jak w wielu innych rzeczach tak i tutaj niedoszły władca mylił się zasadniczo. Złotego rogu Polski wcale nie trzymał. Czapka krakowska również mu nie przystoi. Jeżeli jaki strój to już chyba okrągła, aksamitna czapeczka moskiewska, obstawiona wokoło pawimi piórami, prędzej mu będzie pasowała. Tę już do końca życia nosić mu wypadnie. Nawet do biednego sznura od polskiego złotego rogu nie ma prawa ten najeźdźca. Kto na ziemię ojczystą, chociażby grzeszną i złą, wroga odwiecznego naprowadził, zdeptał ją, stratował... ten wyzuł się z ojczyzny. Nie może ona być dla niego już nigdy domem ani miejscem spoczynku. Na ziemi polskiej nie ma dla tych ludzi już ani tyle miejsca ile zajmą stopy człowieka, ani tyle ile zajmie mogiła"...

W mieście boleśnie okaleczałym, w którym umarł, pod znowu udręczoną, znowu niewolną ziemią leży najczulsze z czułych serce Stefana Żeromskiego. Jego duch czysty i przenikliwy jak ton muzyczny, jak promień światła, jest z nami, jest w nas ojcowskie po nim dziedzictwo. Uczy nas męstwa, rozpaczliwej wiary, wyniosłej, zabijającej pogardy dla najmitów w „czapeczkach moskiewskich obstawionych wokoło pawimi piórami".

POWTARZA SIĘ DZISIAJ W POLSCE UKŁAD RZECZY ZNANY ŻEROMSKIEMU NA WYLOT. ZNOWU MA NAJGŁĘBSZĄ WAGĘ PRAWDA, KTÓRA STANOWI O CAŁEJ HISTORII NASZYCH WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ. MIAŁY ONE SENS TYLKO DZIĘKI TEMU, ŻE ODWOŁYWAŁY SIĘ DO WSZYSTKICH, ŻE PODEJMOWANO JE NIE W OBRONIE PRZYWILEJU, ALE W IMIĘ SPRAWIEDLIWOŚCI.

Przedruk za: „Wiadomości", Londyn, 4 grudnia 1951 r.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl f666f89312

Sylwia Krasnodębska
Polskie Radio

Od 6 stycznia na ekranach polskich kin zobaczyć można czesko-polski film Tomáša Weinreba i Petra Kazdy pt. „Ja, Olga Hepnarová". To historia morderczyni z Czechosłowacji, która w 1973 r. staranowała ciężarówką przechodniów. Podobnie, jak zamachowiec z Nicei w lipcu ubiegłego roku i ostatnio zamachowiec z Berlina.

Filmowa łatwość zapominania o ofiarach

eprasa.pl/166169812

Ta historia wydarzyła się naprawdę. Czeska przestępczyni Olga Hepnarová w wieku 22 lat wjechała wynajętą ciężarówką w ludzi stojących na przystanku tramwajowym. Zamordowała w ten sposób 8 osób, a 12 dotkliwie raniła. Jej czyn był zaplanowany i wykonany z satysfakcją. Dziś powstaje film o zabójczyni, który niezbyt zgrabnie pomija ważne wątki z jej biografii. W dodatku czyni z morderczyni bohaterkę.

„Proszę, żebyście przyjęli ten list jako dokument. Oto moja spowiedź. Ja, Olga Hepnarová, ofiara waszego bestialstwa, skazuję was na karę śmierci przez przejechanie" – napisała w liście. „Wiem, jestem psychopatą, ale jestem ponad wami. Pewnego dnia zapłacicie za swój uśmiech i moje łzy" – mówi filmowa Olga. Hepnarová nie broniła się przed karą śmierci. Wręcz przeciwnie. Chciała, by jej dokonano, bo, jak podkreślała, dzięki temu jej czyn będzie bardziej nagłośniony. „Będzie więcej wart". Już w wieku 13 lat miała próbę samobójczą. Tłumacząc zabójstwa, których dokonała, zeznawała przed sądem, że całe życie była chłopcem do bicia i postanowiła się zemścić na ludziach i nagłośnić tę zemstę. Była wrogo nastawiona do otoczenia, mówiła o swojej wyższości nad innymi. Leczono ją psychiatrycznie, ale zależało jej na tym, by pokazać, iż w czasie popełnienia przestępczego czynu była w pełni świadoma. Na przesłuchaniu z uśmiechem na twarzy opowiadała o swojej okrutnej zbrodni. Twierdziła też, że gdyby miała szansę, powtórzyłaby swój czyn. Uznana za zdrową psychicznie, została skazana na karę śmierci w 1974 r. i powieszona w więzieniu na Pankrácu. Była ostatnią kobietą z takim wyrokiem w Czechosłowacji. Miała 23 lata. Jej zbrodniczy czyn przypomina tragedię z lipca 2016 r. w Nicei we Francji, gdzie terrorysta wjechał w tłum ludzi ciężarówką i zabił 85 osób. Jeden z psychiatrów Olgi Hepnarovej napisał: „Zdarzają się zamachy na grupy ludzi poprzez wysadzenie samolotu w powietrze. Te czyny są motywowane politycznie lub ideologicznie i popełniają je członkowie politycznych lub ideologicznych mniejszości. Bardzo rzadko ktoś robi coś podobnego tylko przez wzgląd na siebie, tak jak to zrobiła panna Hepnarová". Olga Hepnarová staranowała ciężarówką ludzi 10 lipca 1973 r. Morderca z Nicei 14 lipca 2016 r. Czy te daty tylko w wyniku zbiegu okoliczności są tak zbliżone?

Znamienne były słowa Hepnarovej o tym, że chce kary śmierci, by o niej i o jej czynie usłyszało więcej osób. Niestety, można odnieść wrażenie, że czesko-polski film „Ja, Olga Hepnarová" wpisuje się w tę logikę zabójczyni. Jest próbą pochylenia się nad losem kobiety i zrozumienia jej sytuacji, a może nawet zbudowania nici sympatii z dziewczyną. Trudno powiedzieć, czy to efekt nieudolności filmowców, zamierzony czyn, czy

niedojrzałość aktorska Michaliny Olszańskiej. Ale filmowej Oldze, choć dziwnej i wyobcowanej, jest bliżej do bohaterki niż antybohaterki. W warstwie warsztatowej też nie jest najlepiej. Charakterystyka postaci jest opowiedziana przez nią samą. Aktorka sama musi powiedzieć do kamery, że chce uciec od życia. Ale już zagrać tego nie potrafi. Lista zarzutów jest dłuższa. Dokumenty na temat zbrodniarki mówią, że czytała ona bardzo dużo literatury psychologicznej i psychiatrycznej. Scenarzyści pomijają jednak ten wątek, za to wolą skupić swoją uwagę na preferencjach seksualnych Hepnarovej. Duży nacisk położony jest tu na erotyczne sceny lesbijskie. Ich nadmiar wprawia widza w pewną dezorientację. Chwilami trudno zakwalifikować film gatunkowo. Trudno też uznać, że sceny te mają na celu uzupełnienie obrazu psychologicznego Hepnarovej i są racjonalnie zbudowaną drogą do poznania postaci.

Poza tym, niestety, film jest kolejnym (po „Córkach dancingu" czy „Anatomii zła"), w którym 24-letnia aktorka znów pokazuje swoje nagie ciało. Może kiedyś dostanie szansę zaprezentowania swojego talentu, który w tej chwili głównie sprowadza się do uwodzicielskich spojrzeń i sprawnego zdejmowania ubrań. No i jest wątek czysto techniczny. Czarno-biały obraz i długie ujęcia są zapewne ruchem w stronę zbudowania dramatu psychologicznego w formie kina artystycznego. Ale do osiągnięcia takiego efektu potrzeba filmowego kunsztu i mocnego scenariusza. Umiejętności zbudowania odpowiedniej korelacji między wątkami głównymi i pobocznymi. Nie mówiąc już o celu, dla którego robi się film. Z takiego obrazu zadowolona mogłaby być chyba jedynie Olga Hepnarová i, co gorsza, być może również jej naśladowcy. Czy twórcy filmu, biorąc na warsztat sylwetkę zbrodniarza, czują na swoich barkach ciężar odpowiedzialności? To pytanie zdaje się być niestety retoryczne. A wymagającemu widzowi, który nie ma szans na udany seans, pozostaje czekanie na produkcję, która zauważy ofiary i to im odda hołd. ■

fot. materiały prasowe

eprasa.pl 666f89312

Krzysztof Karnkowski

Zemsta, doktorzy i mroczne tajemnice

W 2016 roku TVP po raz drugi pokazała swoim widzom pociętą i zubożoną wersję „Cesarzowej Ki". W Korei Południowej nadano w tym czasie ponad 150 premierowych seriali, adresowanych do fanów wszystkich możliwych gatunków.

eprasa.pl f666f89312

W głosowaniu na najpopularniejszy gatunek, które trwa na tematycznym portalu Drama Beans, wygrywają w tej chwili łączący świat rzeczywisty i komiksowy „W – Two worlds" i kryminał wzbogacony o wątek komunikacji dwóch planów czasowych „Signal" (w tekście posługiwać się będę tytułami międzynarodowymi). Nie brak było oczywiście klasycznych i najbardziej popularnych komedii romantycznych („Drinking solo", „1% of Antything" czy poważniejsza, dotykająca kwestii wpływu zdrady na małżeństwo, a przy tym pokazująca sytuację młodych matek na rynku pracy i reguły panujące we współczesnych mediach „My Wife's Having an Affair this Week") czy parahistorycznych sangeuków. Ten nurt, do którego zaliczamy „Cesarzową Ki", reprezentowany był m.in. przez „Moonlight drawn by a clouds" i „Scarlett heart: Goryeo", którego bohaterka przenosi się w czasie o ponad tysiąc lat. „Latynoskie" telenowele, z mocno akcentowanym wątkiem międzypokoleniowej zemsty, reprezentował 102-odcinkowy „The Promise" . O połowę krótszy „Monster 2016", niezbyt ceniony przez krytyków i koneserów, wciągnął mnie na kilkadziesiąt wieczorów. Akcja tego serialu to bardzo typowe dla koreańskiego kina połączenie opowieści o zemście za śmierć rodziców z romansem, thrillerem i opowieścią o wielkim biznesie, swobodnie żonglująca nastrojami i konwencjami.

Makaron sprawą życia i śmierci

Na swój sposób pokrewny, choć o wiele cięższy i przygnębiający, był „Master. God of noodles" (znany też jako „Master of revenge") – historia splatających się losów pozbawionego ludzkich uczuć genialnego kucharza oraz chłopaka, który widział przed laty śmierć rodziców z ręki tego pierwszego. Koreańscy filmowcy poszukują nowych, świeżych połączeń gatunkowych i tym razem udało im się wymieszać klasyczną „revenge dramę" z bynajmniej nie po macoszemu potraktowanym wątkiem kulinarnym. Perfekcyjnie przyrządzony makaron jest tu sprawą życia i śmierci.

Zemście poświęcony był również szesnastoodcinkowy „Wanted", mój zeszłoroczny faworyt. Znana aktorka ogłasza koniec kariery, jednak, równie niespodziewanie, z planu filmowego znika jej synek, który zostaje porwany. Porywacz zmusza Jung Hye In do znalezienia ekipy i nadawcy telewizyjnego show, którego ma zostać prowadzącą. Każdy odcinek to nowe zadanie, przybliżające rozwikłanie mrocznej tajemnicy z przeszłości. Przy okazji zobaczymy wiernie oddaną telewizyjną kuchnię. Warto docenić, że autorzy co chwila podrzucają widzowi fałszywe tropy, rozwiązanie najważniejszej zagadki nie od razu staje się oczywiste, a co więcej – wcale nie zamyka sprawy.

Ostatni serial z tego gatunku, który chciałbym przywołać, to „Pied piper". Jednostka policyjnych negocjatorów, wspierana przez genialnego outsidera, orientuje się, że ktoś wykorzystuje zdesperowanych ludzi, z którymi muszą pracować, do własnej gry. Ślady prowadzą do pożaru sprzed lat, w którym zginęli protestujący przeciwko eksmisji mieszkańcy budynku. Wspominałem o tym, pisząc o wątku chciwości deweloperów w jednym z wcześniejszych numerów „NP."

Bez klonów Doktora House'a

Do godnych polecenia serii z pogranicza kryminału i thrillera warto zaliczyć „Police Unit 38 (38 Task Force)", w którym uczciwy poborca podatkowy z pomocą grupy... wybitnych oszustów mierzy się z nieuczciwymi bogaczami i skorumpowanymi politykami. Inny, oryginalny pomysł pojawił się w „Vampire Detective", w którym śledzimy tajemniczą piramidę finansową, wysysającą z ludzi krew najzupełniej dosłownie. Rozczarowaniem okazało się być natomiast mocno promowane „K2", w którym wątki sensacyjne i polityczne zagłuszone zostały przez przewidywalny romans i nachalny product placement.

Na rynku pojawiły się wreszcie popularne i udane dramy medyczne, m.in. „Beautiful Mind" i „Romantic Doctor, Teacher Kim" – obie opowiadające o genialnych lekarzach, obdarzonych niesympatyczną osobowością i pogmatwaną historią. Wbrew pozorom, nie mamy do czynienia z klonami doktora House'a.

W tym zestawieniu pominąłem trzy istotne seriale. Są to tytuły, które za największe wydarzenia 2016 r. uznała Katarzyna Borowy, prowadząca poświęcony koreańskim filmom i popkulturze blog howgee.com.pl. Według niej warto zwrócić uwagę na wspomniany już „Signal" – zdobywający liczne nagrody i ceniony przez krytykę kryminał z elementami fantasy, luźno nawiązujący do prawdziwej historii, polskim widzom znanej z „Zagadki zbrodni". Wspomina też „Descendants of the Sun". „Największy komercyjny hit tego roku, który zrobił z Song Joong Ki i Song Hye Kyo, grających główne role, panazjatyckie megagwiazdy. Wojenno-katastroficzny motyw, egzotyczne lokalizacje, ale tak naprawdę idealny przykład na to, jak Koreańczycy potrafią z każdego pomysłu zrobić wciągającą... komedię romantyczną" – opowiada blogerka. Jej listę zamyka „The Good Wife", udany remake amerykańskiego serialu, lecz tu pełnego lubianych przez Koreańczyków wątków zdrady czy korupcji. ■

fot. nat. pras.

eprasa.pl f666f89312

Jakub Kozłowski

Stonesi wracają z „Blue and Lonsome"

Początkowe działania marketingowe, podejmowane u progu wielkiej kariery The Rolling Stones, kazały managementowi budować wizerunek zespołu jako „anty-Beatlesów".

Każdy przyzna, że The Rolling Stones zawsze wyglądali na bardziej niegrzecznych i emanujących jasno wyrażaną seksualnością. Mieli zresztą już w pierwotnych założeniach stanowić jedynie słuszny wybór dla wszystkich buntowników i niespokojnych dusz nawiedzających po zmroku kluby przemysłowej Anglii. The Rolling Stones byli mroczną, wyuzdaną i bezkompromisową odpowiedzią na delikatnych i radośnie uśmiechniętych prekursorów British Invasion. A jednak pozory mylą. Lemmy Kilmister zauważył kiedyś, że The Rolling Stones, wbrew obiegowej opinii, byli ułożonymi chłopcami z dobrych domów – oczywiście przenieśli się do Londynu, gdzie „dla sztuki" przymierali głodem, ale był to ich własny wybór. Zawsze otwarte pozostawało wyjście awaryjne w postaci dobrze sytuowanych rodzin i ich wsparcia. Za to The Beatles życie nie raz doświadczyło, zanim wstrząsnęli muzycznym establishmentem. Byli twardzi, bo tego wymagało od nich życie w portowym Liverpoolu. Potrafili walczyć o swoje, bo bez tego nie pokonaliby przeszkód, jakie pojawiały się na ich drodze. The Rolling Stones twardzi nie byli – bo po prostu nie było takiej potrzeby. To, co obie grupy łączy, to fakt, że tworzący je muzycy byli wszyscy niewiarygodnie utalentowani. Stonesi do dzisiaj przekonują o tym podczas swoich żywiołowych występów.

Nie ulega wątpliwości, że o ile nie ma drugiego takiego zespołu jak The Beatles, to nie ma również żadnej grupy, którą wypada zrównać z The Rolling Stones. Choć można powiedzieć, że od 30 lat nagrywają tę samą piosenkę, uważam, że jest to opinia bardzo powierzchowna. Wystarczy włączyć na słuchawkach „Exile On Main St.". Następnie na przykład „Sticky Fingers" i genialny, chociaż niedoceniany „Aftermath". Stonesi wciąż potrafią powrócić do pierwotnych emocji, tak pięknie wyrażanych przez amerykańskich bluesmanów, od których zresztą czerpali inspiracje. I nie chodzi wcale o najbardziej znane utwory pokroju „(I Can't Get No) Satisfaction" czy „Start Me Up". Warto wsłuchać się w kompozycje, które przypadkowi odbiorcy (czekający na kolejną „Angie") kwitują przyciskiem „przewiń" na odtwarzaczu.

W 2016 r., po tylu latach od założenia zespołu, cieszymy się kolejną płytą legend blues rocka. Płyta „Blue and Lonsome" zapowiadana była jako wielki powrót zespołu do muzycznych korzeni, zwrot w kierunku prostoty i feelingu, z którym zawsze kojarzyliśmy Stonesów. Nie mogło zresztą być inaczej, jako że tym razem muzycy postanowili oddać hołd wielkim twórcom z przeszłości, m.in. Howlin' Wolfowi, Willemu Dixonowi czy Little Walterowi. Album przygotowany został podczas krótkiej, trzydniowej sesji w Londynie. W niektórych nagraniach wspierał ich sam Eric Clapton, dzieląc się swym talentem w utworach „I Can't Quit You Baby" Williego Dixona i „Everybody Knows About My Good Thing". Efekt? Doskonały. Zresztą inny być po prostu nie mógł. I chociaż udział Claptona w nagraniach można uznać za przysłowiową „wisienkę na torcie", to nie on decyduje o gęstym klimacie nagrań. Wiele potrzeba samozaparcia, aby popsuć tak klasyczne utwory jak „Just Your Fool" Buddy'ego Johnsona czy „Little Rain" Jimmy'iego Reeda. Gdy jednak interpretują je Stonesi, to jakiekolwiek niedopatrzenia, uchybienia czy braki nie są po prostu możliwe. Oczywiście szkoda, że nie mamy do czynienia z nowym, premierowym materiałem legend brytyjskiego bluesa. Na taki przyjdzie nam jeszcze poczekać. Tymczasem wsłuchajmy się w kawał historii odegranej przez prawdziwych profesorów. ■

eprasa.pl f666f89312

Sylwia Krasnodębska
Polskie Radio

Gdy raj sąsiaduje z piekłem

Czy obserwowanie życia zwykłych ludzi na drugim krańcu świata może nudzić? Oczywiście! Ale, jak pisze podróżnik Stefan Czerniecki w najnowszej książce „Po drugiej stronie", można się z tego cywilizacyjnego uwiązania wyleczyć.

Czterdzieści reportaży z sześciu lat podróży po całym globie. Ostatnia książka Czernieckiego to zbiór materiałów publikowanych m.in. w „Nowym Państwie" i „Gazecie Polskiej Codziennie".

Malezja, Wietnam, Laos, Iran, Gruzja, Gujana, Chile, Belize, Polska i wiele innych miejsc. Wydawać by się mogło, że Czerniecki chce nam podać świat w pigułce. Prezentuje więc obraz świata, w którym, w zależności od wyznaczonego kierunku, można trafić do raju albo do piekła. Reportaże zawarte w książce „Po drugiej stronie" pokazują, że nie ma w tym stwierdzeniu przesady. Podróżnik udał się m.in. do Kambodży – kraju, w którym był czas, że fetor rozkładających się ludzkich ciał był tak potworny, że płoszył nawet dzikie zwierzęta. Szukał śladów kochanków zastrzelonych w Alei Snajperów w Sarajewie. Chciał poznać dramaty gujańskich Indian. Zasmucał się widokiem otępiałego Gori. Podróżnik i pisarz nie oszczędza czytelnika. Nie funduje przewodnika po bajecznych miastach na wakacje last minute, co nie znaczy, że nie dociera do raju. Miejsc, w których panuje spokój, gdzie hipnotyzuje seledynowa toń ciepłego morza lub zachwyca koncert cykad.

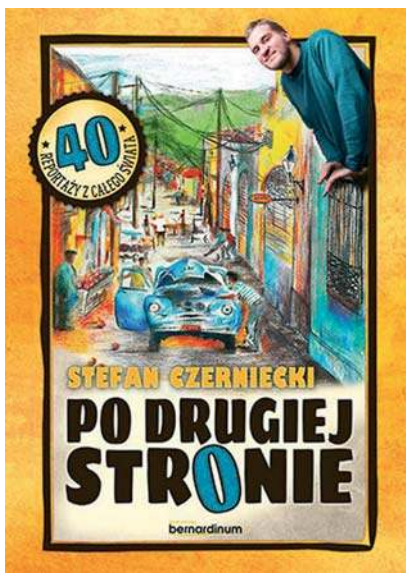

Gdyby znaleźć klucz do opisania wszystkich, bardzo różnych miejsc, do których dotarł podróżnik, można by napisać, że to miejsca milczenia. Bo piękno Meksyku zapiera dech w piersiach. Bo ludzie w Kambodży milkną w wyniku nieludzkiej traumy po wojnie domowej. Bo w końcu sam podróżnik i jego czytelnik oddają się zadumie nad losem współczesnego człowieka w słynącej z seksturystyki Tajlandii. Każda wycieczka reportera to jak droga donikąd w poszukiwaniu ciszy. By w najpiękniejszej wiosce świata na Filipinach, tętniącym życiem Rzymie czy gwarnym Sztokholmie odnaleźć jakiś martwy punkt. Nie tyle na mapie, ile w sercu. Zatrzymać się i poczuć przez moment inny świat. Zupełnie nam obcy. Czasem jest on niedostępną dżunglą, w której podróżnik przestrzega przed słoniami, czasem Gwatemalą z – jak to określił autor – trochę kiczowatymi wulkanami. A czasem ten obcy i tajemniczy obraz świata może być dostępny tuż za rogiem. Wystarczy, że Czerniecki opisze legendy polskiego Dzikiego Zachodu, czyli Bieszczad, lub dotrze do samotni ojca Gabriela w okolicach Hajnówki. Miejsca, które czasem po prostu mijamy, okazać się mogą równie egzotyczne jak argentyńskie królestwo jaszczurek czy irańska rzeczywistość ludzi gotowych na wszystko. Dobrze jest przeczytać książkę podróżnika, który daleki jest od fałszu i cynizmu. Dobrze jest wiedzieć, że są miejsca na ziemi, w których wyobraźnia staje się niepotrzebna. ■

eprasa.pl f666f89312

Olga Doleśniak-Harczuk

Nawet Brandt miał hamulce...

Zdaniem Joachima Starbatty'ego i Hansa-Olafa Henkela, autorów książki „Niemcy na Kozetkę! Dlaczego Angela Merkel ratuje świat, rujnując swój kraj", Niemcy, co najbardziej unaocznia kryzys migracyjny, cierpią na syndrom pomocnika. Jest to rodzaj psychologicznego koktajlu z poczucia winy za zaszłości historyczne i pragnienia, by uzdrowić wszystkich dookoła, nawet gdy działanie to przynosi więcej szkody niż pożytku. To nęcąca teoria, ale raczej nie do końca oddająca rzeczywisty stan rzeczy.

fot. Kay Nietfeld/PAP/DPA

eprasa.pl f666f89312

Niemcy, niezależnie od tego, w jakim kształcie politycznym i jakim kontekście dziejowym funkcjonowały, nigdy nie pozwalały sobie na czysto altruistyczne odruchy względem obcych. Świadczą o tym dobitnie analizy dotyczące niemieckiego rynku pracy dostępne od końca XIX wieku. Nawet jeżeli korzystano z obcej siły roboczej, to miało to charakter tymczasowy (pomijam tu kwestię pracy przymusowej), służący bardzo konkretnym interesom przemysłu niemieckiego. Ten proceder zaczął się zużywać w czasie kryzysu lat 70., to wtedy po raz pierwszy w głowach niemieckich elit zapaliła się czerwona lampka. Straciły one bowiem kontrolę nad sytuacją, którą same sprowokowały. Syndrom pomocnika nie miał tu nic do rzeczy, na kwestię migracji patrzono przez pryzmat opłacalności bądź jej braku. Czy dzisiejsze Niemcy działają już z innych pobudek?

Problematyczne remedium

Atakowana za krótkowzroczną politykę imigracyjną Angela Merkel zapewniała, że to, co wygląda jak niekontrolowana fala, w dalszej perspektywie okaże się dla Niemiec zbawienne. Przybysze z Bliskiego Wschodu stali się nadzieją dla niemieckiej gospodarki i starzejącego się społeczeństwa, a przy wsparciu państwa mieli gładko przejść przez wszystkie szczeble edukacji gwarantującej ostatecznie zatrudnienie w którymś z niemieckich przedsiębiorstw. Sami przedsiębiorcy deklarowali, iż już szykują miejsca pracy i płatnych praktyk specjalnie dla uzdolnionych Afgańczyków, Syryjczyków, Marokańczyków etc. Ścieżka jest przejrzysta: najpierw nauka języka, potem kursy integracyjne, a w dalszym etapie zatrudnienie w przemyśle, na taśmie produkcyjnej, w usługach niewymagających wysokich kompetencji, a nawet w rolnictwie, ogrodnictwie i w budowlance. Jak na zamówienie w mediach pojawiały się ekspertyzy uwiarygadniające decyzję Merkel i pozwalające uznać ją za logiczną reakcję na grożące Niemcom wyludnienie tudzież postępującą geriatyzację społeczeństwa i w efekcie końcowym – pożegnanie z dobrobytem, do którego przylgnęli. – Najpóźniej za dekadę niemiecki rynek pracy będzie potrzebował znacznie więcej zagranicznych pracowników niż dziś – brzmiał wstęp do artykułu opublikowanego na łamach tygodnika „Der Spiegel" w marcu 2015 r. Tekst streszczał wnioski z raportu ekspertów Instituts für Arbeitsmarkt- und Berufsforschung (IAB), którzy prognozowali, że bez posiłków z zagranicy liczba mieszkańców Niemiec w wieku produkcyjnym skurczy się do 2050 r. z dzisiejszych 45 mln do 29 mln. Autorzy raportu podkreślali, że rekordowo wysoki napływ obcokrajowców z państw UE (w 2013 r. aż 300 tys. ludzi, przeważnie z południa kontynentu, wyjechało do Niemiec za chlebem), który niczym dobra kroplówka wzmocnił

eprasa.pl f666f89312

niemiecką gospodarkę, nie będzie stałym trendem. Bowiem sytuacja ekonomiczna w państwach dotkniętych kryzysem finansowym zacznie się z czasem stabilizować i postkryzysowi Grecy czy Włosi albo zostaną u siebie, albo obiorą pozaeuropejskie kierunki migracji, podobnie jak dzisiejsi młodzi i dobrze wykształceni Niemcy porzucający ojczyznę na rzecz Nowej Zelandii, Stanów Zjednoczonych czy Kanady. Autorzy raportu nie wskazywali wprost, że rząd federalny powinien w takich okolicznościach przyjmować jak najwięcej imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej, którzy i tak kołatali do bram Europy i którym Angela Merkel sama tę bramę otworzyła, ale trudno w kontekście wydarzeń 2015 r. nie przyjąć za pewnik, że to właśnie ci przybysze mieli być remedium na katastrofę demograficzną i – siłą rzeczy – ekonomiczną Niemiec.

Sprawdzony sposób

Kanclerz Merkel, chcąc przekonać zwykłych Niemców o słuszności podjętej decyzji, regularnie przypomina im o moralnym długu, jaki naród niemiecki z uwagi na popełnione przez siebie zbrodnie podczas II wojny światowej ma względem reszty świata. Jest to argument wytrych i na Niemców działa jak walnięcie obuchem w głowę, ponieważ, wbrew pozorom, większość z nich zdaje sobie sprawę, że w historii powojennych Niemiec nie było żadnego rozliczenia, tylko kontynuacja legitymizowana „denazyfikacją na niby". Przypominanie o zbrodniach hitlerowskich trzyma Niemców w ryzach i pozwala politykom, takim jak stateczna kanclerz Merkel, wymuszać ich milczącą zgodę nawet na najbardziej karkołomne posunięcia. Mogą się w środku gotować, ale i tak ulegną. Jest to metoda wypracowana i dobrze przetestowana przez poprzednie rządy. Nie oceniam jej. Najwidoczniej niemieccy przywódcy uznają, że z narodem najlepiej pertraktuje się szantażem. I tutaj nie wypada się nie zgodzić z Henkelem i Starbattym. Z naszego punktu widzenia tego typu komunikacja na linii władza–naród ma dwie strony. Dobrą – ponieważ Niemcom mimo wszystko trudno jest zapomnieć o zbrodniach ich przodków, co Polski dotyczy w sposób szczególny. Złą – kiedy niemieckie poczucie winy sprowadza (tak jak w przypadku kryzysu migracyjnego) katastrofę demograficzną, a w dalszej perspektywie – religijną na cały kontynent. I powinna nas niepokoić grudniowa wizyta Angeli Merkel w Grecji, podczas której podkreśliła ona konieczność relokacji uchodźców i „większego zaangażowania" się całej UE w rozwiązanie kryzysu migracyjnego. Sprawa pachnie kolejnymi przepychankami w Brukseli.

Co do samych imigrantów w Niemczech – jest ich dzisiaj ponad 1,5 mln. Ludzi, którzy od 2015 r. żyją na koszt niemieckiego podatnika i nie są, i długo nie będą, materiałem na wzorowych budowniczych europejskiego dobrobytu. To w nich trzeba zainwestować, a idea, że ta inwestycja się zwróci, jest – jak można wywnioskować z wypowiedzi Merkel – nadzieją, której się kurczowo trzyma i którą, zapewne jak najlepiej, sprzeda Niemcom w nadchodzących wyborach. I to na przekór tego, że historia niemieckich doświadczeń z o wiele mniej licznymi i, mimo wszystko, w zestawieniu z aktualną falą imigracji, lepiej wykwalifikowanymi gastarbeiterami z Turcji, państw dawnej Jugosławii czy Włoch z początku lat 60., powinna i Merkel, i całemu establishmentowi niemieckiemu dać do myślenia. Być może Mutti faktycznie uznała, że dla Niemców nie ma już innej drogi przetrwania, że już lepiej, by Niemcy były muzułmańskie, ale silne demograficznie niż skurczone do rozmiaru Szwajcarii. I ta teoria jest dziurawa, ale przynajmniej bardziej racjonalna niż ciągłe odwoływanie się do rzekomych powinności wynikających z „Wilkommenskultur", podczas gdy mieszkanki Kolonii w trwożnym oczekiwaniu sylwestra zadają sobie pytanie: znowu będą gwałcić czy wypiją kilka piw i pójdą spać?

> Proces przyjmowania obcokrajowców został zaakceptowany i przeprowadzony przez urzędy pracy, przedsiębiorców, partie polityczne i związki zawodowe i nikt nie łamał sobie głowy nad tym, co będzie, gdy okaże się, że ludzie ci nie będą już pożądani na zmieniającym się wciąż rynku pracy. Społeczeństwa niemieckiego nikt o zdanie nie pytał. Wszelkie słowo krytyki uznawano za wyraz nienawiści do obcych.

eprasa.pl f666f89312

Geneza. Kiedy Turek nie chciał do domu

W 1971 r. zachodnioniemieckich przedsiębiorców i rząd federalny zaniepokoił pewien trend – otóż tureccy i jugosłowiańscy gastarbeiterzy sukcesywnie przedłużali swój pobyt w Niemczech. Coraz więcej sprowadzało rodziny, skutkiem czego – i owszem – wzrastał odsetek zatrudnionych w niemieckim przemyśle kobiet, matek i żon gastarbeiterów, lecz równolegle coraz więcej z nich lądowało na bezrobociu. O ile w 1967 r. liczba bezrobotnych przybyszów wynosiła 815 tys., o tyle w 1973 r. było ich już 1,37 mln. Zaniepokojeni tym trendem politycy, urzędnicy państwowi i właściciele przedsiębiorstw (słusznie) obawiali się wzrostu kosztów na utrzymanie tej rosnącej lawinowo rzeszy bezrobotnych. Owszem, część z nich, zgodnie z prognozami bońskich analityków, jak tylko straciła pracę, decydowała się na powrót do swojej ojczyzny, ale i tak napływ był większy niż odpływ, a nowo przybyli niekoniecznie mieli ochotę na harówkę w fabryce. Odkryto uroki socjalu, praca przestała być dla wielu nowo przybyłych jedynym warunkiem osiągnięcia wymarzonego standardu życia.

To właśnie wtedy doszło w Niemczech po raz pierwszy do debaty w sprawie kosztów i zysków korzystania z zagranicznej siły roboczej. Przedsiębiorcy lamentowali, że dla 2,2 mln obcokrajowców trzeba wybudować domy, szkoły, że całe miasta muszą się zaangażować w zmiany infrastrukturalne pod kątem obcych sprowadzających swoje liczne rodziny, słowem – ludzi, których wkład w rozwój państwa grozi załamaniem, ponieważ koszt ich pobytu z roku na rok będzie drastycznie wzrastał. Coraz częstszy postulat „integracji obcokrajowców" spędzał elitom politycznym i finansowym sen z powiek. Na początku lat 70. uznawano, że gastarbeiter to gość, który w każdej chwili może wyjechać, i integracja nie jest potrzebna do szczęścia ani jemu, ani tym bardziej Niemcom, którzy i tak nie mają z takim człowiekiem nic wspólnego i mieć nie chcą.

Wymienię pobyt stały na rotacyjny

Prasa nie przebierała w słowach. – Słabo zintegrowany, wegetujący na niskim poziomie życia gastarbeiter implikuje względnie niskie koszty utrzymania na poziomie około 30 tys. marek niemieckich rocznie. Jednak już sam proces integracji wymusza większy nakład kosztów, i to nawet rzędu 150–200 tys. marek rocznie na osobę. I tutaj zaczyna się aspekt polityczny problemu z gastarbeiterami – pisał prestiżowy do dziś „Handelsblatt" w artykule pt. „Więcej inwestycji za granicą – mniej Gastarbeiterów" (23.1.1971 r.). W kręgach pracodawców zarządzono burzę mózgów i uradzono, że najlepiej pozbyć się niechcianych gastarbeiterów, którzy nie kwapią się do wyjazdu, gdy ich misja dobiegnie końca, za pomocą „zasady rotacyjności". W jej myśl gastarbeiter miał przepracować w Niemczech kilka lat, po ustalonym czasie z automatu powrócić do swojej ojczyzny, a jego miejsce zajmował świeży, nowo przybyły pracownik. Zasada rotacyjności za jednym zamachem wyeliminowałaby więc problem łączenia rodzin, czyli napływu niechcianych przybyszów, skracałaby czas pobytu gastarbeiterów i pozwalała zaoszczędzić na wydatkach na integrację, infrastrukturę etc.

W rzeczywistości przyjęcie kryterium rotacyjności w stosunku do obcokrajowców oznaczałoby powrót do pruskich realiów sprzed I wojny światowej, kiedy to konsekwentnie zapobiegano wydłużaniu się pobytu obcych robotników na niemieckiej ziemi, nie tyle jednak z pobudek gospodarczych, ile narodowo-politycznych. Ostatecznie pomysł z rotacją odrzucono. Przedsiębiorstwom najzwyczajniej nie opłacałoby się po kilku latach rezygnować z doświadczonych pracowników i zastępować ich niewyrobionymi, nowymi, wymagającymi czasu na przyuczenie. Pomysł poza tym spotkał się z krytyką środowisk kościelnych, politycznych i związków zawodowych. Problem jednak nie zniknął.

W marcu 1972 r. minister pracy Walter Arendt (SPD) na konferencji poświęconej europejskiemu rynkowi pracy poruszył jeszcze inny aspekt problemu, sugerując, że sprowadzanie przez nich rodzin skutkuje niekorzystną dla niemieckiej gospodarki utratą mobilności. Człowiek, który zdecydował się sprowadzić z Turcji żonę i dzieci, nie chce być dłużej przerzucany z jednej filii przedsiębiorstwa do innej, tylko potrzebuje stabilizacji. Dla niemieckich przedsiębiorców problem był ewidentny. A Arendt obawiał się ponadto, że koszt utrzymania coraz większej liczby obcokrajowców, w tym wielu małoletnich i bezrobotnych, obciąży budżet państwa i cały proceder, tak dobrze do niedawna sprawdzający się w niemieckiej gospodarce, najzwyczajniej zacznie ją drenować i przynosić straty. Rok później głos w sprawie zabrał sam kanclerz Willy Brandt. „Powinniśmy się mocno zastanowić, gdzie są nasze granice absorpcji kolejnych przybyszów i gdzie się one kończą, oraz rozważyć, w którym miejscu społeczna roztropność i poczucie odpowiedzialności każą powiedzieć STOP" – podkreślił socjaldemokrata, który dla większości niemieckich zwolenników SPD do dzisiaj stanowi niedoścignięty ideał. Dziwne, że przeciwnicy aktualnej polityki migracyjnej wielkiej koalicji SPD–CDU nie wyciągnęli dziś tego cytatu z Brandta i nie przykleili chociażby na drzwiach gabinetu Sigmara Gabriela.

Tej fali nie da się już zatrzymać

Za słowami Brandta poszły rozporządzenia. W czerwcu 1973 r. opłata manipulacyjna pobierana od pracodawcy za pośrednictwo w zatrudnieniu

eprasa.pl f666f89312

gastarbeitera z państwa spoza EWG wzrosła z dotychczasowych 300 do 1000 marek. Ta horrendalna podwyżka miała zniechęcić niemieckich przedsiębiorców do zatrudniania Turków. W listopadzie zaś zakazano zatrudniania pracowników spoza EWG. Urzędnicy liczyli na rychły odpływ niewygodnych gastarbeiterów, spodziewano się, że, tak jak to miało miejsce pod koniec lat 60., z RFN wyjedzie od 200 do 300 tys. osób, a na ich miejsce co roku będzie zajmować od 40 tys. do 50 tys. dzieci gastarbeiterów wchodzących w wiek produkcyjny. Decyzja o zaprzestaniu zatrudniania gastarbeiterów spoza EWG zbiegła się z kryzysem naftowym lat 70., społeczeństwo bez zbędnych pytań zaakceptowało decyzję władz, rozumiejąc ją jako reakcję na szok naftowy. W ciągu dwóch następnych lat liczba gastarbeiterów w RFN spadła o pół miliona. Ale obcokrajowców było i tak, zdaniem władz, wciąż zbyt wielu. W 1975 r. 27 proc. z nich miało poniżej 20 lat. Sukcesywnie wzrastała też liczba kobiet, o ile w 1961 r. na 1000 mężczyzn z zagranicy przypadało 451 kobiet, o tyle w 1981 r. było ich już 708, a w 1974 r. liczba urodzeń w grupie obcokrajowców stanowiła 17,3 proc. wszystkich w RFN. Wnioski narzucały się same: co prawda, bardziej restrykcyjna polityka zatrudniania obcokrajowców zniechęciła 500 tys. gastarbeiterów do dalszego pobytu w Niemczech, ale ci, którzy zostali, zapuścili korzenie, żenili się, zakładali rodziny, a ich więź z ojczyzną ulegała erozji. Nastała tzw. druga generacja. I miała ona już inny start niż ich rodzice, dla nich Niemcy były domem, a nie tymczasową przechowalnią. Rodziny, zwłaszcza tureckie, były coraz liczniejsze, a tym samym koszty utrzymania, które tak usilnie starali się zredukować politycy i przedsiębiorcy, zamiast topnieć, rosły. Bo i potrzeb nie brakowało. Dumnie brzmiące hasło integracji potrzebowało odpowiedniej infrastruktury i znacznych nakładów na edukację, szkolnictwo zawodowe etc. Turcy czy przybysze z Bałkanów zajmowali co prawda najtańsze i najlichsze mieszkania, ale z czasem zaczęło i takich lokali brakować. To rodziło kolejne wydatki na infrastrukturę.

Niemiec ucieka z tureckiego getta

„Ślepej na wyzwania dnia jutrzejszego, negującej konsekwencje swoich działań i skoncentrowanej wyłącznie na aspekcie rozwoju gospodarczego elicie wystawiono rachunek za jej politykę" – czytamy w wydanej w 1986 r. książce Ulricha Herberta „Geschichte der Ausländerbeschäftigung in Deutschland 1880–1980" (Dietz Verlag, Bonn). A dalej autor przytacza raporty Federalnego Ministerstwa Pracy z 1976 r., z których wynika, że fiasko ograniczenia liczby imigrantów zarobkowych przekłada się na realne problemy, z którymi Niemcy sobie najzwyczajniej nie radzą. W dokumencie wymienia się bez oglądania się na poprawność polityczną problemy takie jak: sprowadzanie rodzin, wysoka liczba urodzeń, powstawanie gett, problemy imigrantów drugiej generacji w szkole i życiu zawodowym, tarcia na styku Niemcy–obcokrajowcy. Ciekawy jest aspekt mieszkaniowy. Otóż gastarbeiterzy z braku dostatecznego zaplecza finansowego wynajmowali najtańsze na rynku mieszkania, im bliżej zakładu pracy, tym lepiej. Szybko powstawały całe skupiska, a potem dzielnice zajmowane przez biednych imigrantów, Niemcy, o ile jeszcze jacyś mieszkali w takiej okolicy, czym prędzej się wyprowadzali, powstawały getta. Nikt nie dbał o kamienice, w których mieszkali gastarbeiterzy, wszystko się sypało i trzeszczało, oni sami też nie wychodzili z inicjatywą „złotej rączki". Tak zresztą jest do dziś w pewnych dzielnicach niemieckich miast (zainteresowanym polecam zwłaszcza berliński Wedding i domy w „Trójkącie Bermudzkim" Soldinerstrasse / Koloniestrasse). Na przełomie lat 70. i 80. spekulanci rynku mieszkaniowego w lot pojęli, że jeżeli wynajmą tanio nabyte stare kamienice jednej, dwóm rodzinom gastarbeiterów, to za nimi przyjdą kolejni, domy jeszcze bardziej stracą na wartości, popadną w ruinę, a wtedy będzie można wystąpić do miasta z projektem rozbiórki domów i postawić w ich miejsce drogie biurowce. W wielu miejscach tak właśnie działano. I był to świadomy proces dewastacji wartościowych nieraz kamienic z zamiarem ich ostatecznego zastąpienia bardziej intratnymi dla właścicieli wieżowcami. Gastarbeiterzy w tym przypadku stanowili trybik, raczej nieświadomy w czym uczestniczy, ale decydujący.

Mit wysokich kwalifikacji

80 proc. uchodźców może pracować co najwyżej w charakterze pomocnika, ludziom tym brakuje kwalifikacji. Może z czasem znajdą pracę w licznych call-center, o ile wzrośnie zapotrzebowanie na pracowników władających arabskim – przyznał kilka tygodni temu Klaus Peters, szef pośredniaka w Essen. Nie takiej diagnozy oczekuje chyba kanclerz Merkel. W latach 70. niemieccy urzędnicy, tacy jak Peters, też martwili się niskimi kwalifikacjami gastarbeiterów i ich wątłym pociągiem do edukacji. Sprawa ocierała się o absurd, w końcu RFN nie sprowadzało do siebie profesorów, pianistów, wybitnych lekarzy czy aktorek, ale prostych ludzi, którym przeznaczono automatyczne zajęcia przy taśmach w przemyśle metalowym, tekstylnym, budownictwie. Niemcy już wtedy zaczynali mieć wyższe aspiracje i praca w systemie zmianowym, ciężka i dodatkowo obarczona wysokim ryzykiem wypadku, nie cieszyła się specjalnym zainteresowaniem. Kto mógł,

eprasa.pl f666f89312

rezygnował. Gastarbeiterzy nie rezygnowali, bo wiedzieli, po co przyjechali i jakie mają kwalifikacje, a gdy przyszedł kryzys lat 70., to oni w pierwszej kolejności dostawali wymówienia. Taka jest prawda. Co do drugiej generacji – w 1980 r. trzy czwarte obcokrajowców w wieku 15–24 lata mieszkających w RFN nie miało nawet świadectwa ukończenia szkoły podstawowej. Ludziom tym więc nie można było nawet zaproponować praktyk zawodowych. Często nawet nie czytali i nie pisali po niemiecku, nic dziwnego, że zasilali szeregi bezrobotnych. Towarzyszyła im frustracja i poczucie zawieszenia. Młodzi Turcy nie czuli się u siebie ani nad Bosforem, ani nad Szprewą, do dziś spory odsetek tureckiej młodzieży w Niemczech ma problemy z językiem niemieckim będącym w ich wydaniu mieszanką kaleczonej mowy Goethego i tureckiego. W latach 70. mówiono o takich dzieciakach „dwujęzyczni analfabeci", dziś nie używa się tak dosadnych określeń, co nie znaczy, że problem zniknął.

W dobie aktualnego kryzysu migracyjnego problem „dwujęzycznych analfabetów" będzie w Niemczech narastał, cały, rozbudowany aparat integracyjny nie zdoła w kilka lat zrobić z przybyszów z Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu germanistów. Już raz się to nie powiodło, czynnik ludzki potrafi ustawić się wspak nawet najlepiej przemyślanym planom, a te zapewne w Kanzleramcie wykuwa się dniem i nocą, byle do wyborów. I pracuje nad nimi sztab ludzi biznesu, nauki, polityki, urzędnicy i kulturoznawcy, a kanclerz Merkel weryfikuje, analizuje i obmyśla, jak je właściwie obudować ideologicznie. Ostatnio w sukurs Merkel przyszła Fundacja Adenauera, przedstawiając raport, z którego wynika, że „imigrantom dobrze się żyje w Niemczech i są skłonni dostosować się do panujących w tym państwie zwyczajów". W tym samym czasie media żyją historią 12-letniego Niemca pochodzenia irackiego, który chciał zdetonować bombę na bożonarodzeniowym jarmarku, i afgańskiego mordercy studentki z Fryburga. Karkołomna konstelacja. Budząca w wielu Niemcach poczucie, że ich oszukano i nikt się z nimi nie liczy. Wymarzony grunt pod prowokacje z Kremla rodem, których z całą pewnością nie zabraknie w roku wyborczym.

Do trzech razy sztuka

Proces przyjmowania obcokrajowców został zaakceptowany, a następnie przeprowadzony przez urzędy pracy, przedsiębiorców, partie polityczne i związki zawodowe i nikt nie łamał sobie głowy nad tym, co będzie, gdy okaże się, że ludzie ci nie będą już pożądani na zmieniającym się wciąż rynku pracy. Społeczeństwa niemieckiego nikt o zdanie nie pytał. Wszelkie słowo krytyki uznawano za wyraz nienawiści do obcych, czym krytykanta szybko skłaniano do milczenia. Tym sposobem ucięto dyskusję o plusach i minusach całego procesu. Fakt, iż teraz po wielu latach zduszania tematu na powierzchnię wychodzą słowa i czyny wrogie obcokrajowcom, jakkolwiek wymagające ostrego potępienia, są z psychologicznego punktu widzenia wytłumaczalne. „Poprzez uprawiany latami import ludzi zgotowano naszemu społeczeństwu problem z mniejszościami, i to na ogromną skalę. Natomiast te wszystkie apele wzywające do integracji i ruganie za ksenofobię brzmią jak alibi, ponieważ padają z ust osób i instytucji, które latami dowolnie przesadzały ludzi z ich naturalnego, kulturowego i społecznego otoczenia, wyrywały z rodzinnego i oswojonego środowiska i pozbawiały korzeni. Fakt, iż wielu gastarbeiterów nieświadomych tej problematyki, powodowanych względami materialnymi, dobrowolnie przybywało do nas, w żadnym razie nie zdejmuje z odpowiedzialnych w Niemczech ciężaru winy za zaistniałe okoliczności". Czy ten komentarz równie dobrze mógłby paść w Niemczech A.D. 2016/2017? W miejsce gastarbeiterów wstawmy „uchodźcy" i diagnoza gotowa. Niemcy czekali kilkadziesiąt lat, by ją powielić. I to na jeszcze większą skalę. Do trzech razy sztuka, do zobaczenia w 2050 r. ■

W Niemczech jest dzisiaj ponad 1,5 mln imigrantów, którzy od 2015 r. żyją na koszt niemieckiego podatnika i nie są, i długo nie będą, materiałem na wzorowych budowniczych europejskiego dobrobytu. To w nich trzeba zainwestować, a idea, że ta inwestycja się zwróci, jest – jak można wywnioskować z wypowiedzi Merkel – nadzieją, której się kurczowo trzyma i którą, zapewne jak najlepiej, sprzeda Niemcom w nadchodzących wyborach.

eprasa.pl f666f89312

Antoni Rybczyński

Szpiedzy Castro, czyli „przyczółek" Łubianki

Przewrót na Kubie i początki autorytarnych rządów Castro i Che Guevary były prezentem dla Moskwy i Łubianki. Sowieci zyskali szansę zdobycia przyczółku na zachodniej półkuli, i to tuż pod nosem USA. Początkowo Moskwa jakby tego nie dostrzegała. Na zmianę stanowiska wpłynęło KGB i już zawsze to Łubianka, a nie MSZ, miała grać pierwsze skrzypce w polityce sowieckiej wobec Hawany.

„Kubańskie służby wywiadowcze są powszechnie uznawane za jedne z najlepszych na świecie – znaczące osiągnięcie, biorąc pod uwagę skromne finansowe i technologiczne zasoby kraju"

William Rosenau i Ralph Espach, Center for Naval Analyses

Ceremonia pogrzebowa Leonida Breżniewa, sekretarza generalnego KC KPZR, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. Od lewej m.in.: Gustaw Husak (prezydent Czechosłowacji), Wojciech Jaruzelski (I sekretarz KC PZPR i premier PRL), Fidel Castro (prezydent Kuby), Janos Kadar (przewodniczący WSPR), Truong Chin

fot. PAP/CAF/TASS

3 marca 1959 r. Z braku dowodów sąd w Santiago uniewinnia 44 lotników Fulgencio Batisty, oskarżonych o „zbrodnie wojenne". Castro natychmiast pojawia się w telewizji, ogłaszając, że ten wyrok to błąd i odbędzie się drugi proces. Przewodniczącego trybunału, który zostaje znaleziony martwy, zastępuje człowiek wskazany przez braci Castro. Nowy proces, wyroki po 20–30 lat więzienia. „Sprawiedliwość rewolucyjna nie opiera się na prawniczych formułkach, lecz na przeświadczeniu moralnym" – komentuje wódz rewolucji. Jak wyspa długa i szeroka polowe sądy skazują faktycznych i domniemanych wrogów nowej władzy (po sześciu latach sam Castro przyznaje, że w więzieniach siedzi 20 tys. „politycznych"). Ale to za mało, żeby utrzymać Kubę, trzeba szybko znaleźć obrońcę przed Stanami Zjednoczonymi, który zarazem przejmie rolę żywiciela, wszak kubańska gospodarka nigdy nie była samowystarczalna. Na jesieni 1959 r. Castro podpisuje porozumienie z ZSRS. Równocześnie dochodzi do serii zabójstw politycznych przeciwników Fidela. Pozbywa się starych rewolucyjnych towarzyszy szybciej niż Józef Stalin, bo wystarcza zaledwie parę miesięcy pokazowych procesów. Legendarny głównodowodzący armii Camilo Cienfuegos umiera zaś w tajemniczych okolicznościach. Spartaczona operacja CIA i fiasko inwazji w Zatoce Świń daje Castro pretekst do rozpętania jeszcze większego terroru. Za kraty wędruje blisko 100 tys. ludzi. Dziesiątki tysięcy uciekają na Florydę. 1 maja 1961 r. Fidel Castro ogłasza, że Kuba jest odtąd krajem socjalistycznym. Nie musi dodawać, że satelitą Związku Sowieckiego.

Kryptonim „Przyczółek"

Początki współpracy KGB z braćmi Castro sięgają czasów, gdy jeszcze nikt nie marzył w Hawanie o obaleniu brutalnych rządów Batisty. Pewien młody obiecujący oficer wywiadu sowieckiego Nikołaj Leonow poznaje na zjeździe młodzieży socjalistycznej w Pradze niejakiego Raula Castro. Szybko zaprzyjaźniają się. W 1956 r. Leonow nawiązuje kontakt z Fidelem i raportuje przełożonym, że widzi w Kubańczyku wielki potencjał, który można będzie wykorzystać w interesie ZSRS. Mimo to Sowieci nie pomogli partyzantce Castro, a w pierwszych miesiącach jego rządów podchodzili do nowej władzy w Hawanie z dużym dystansem.

W 1951 r. Stalin pogardliwie nazwał latynoamerykańskie państwa, w swej większości antykomunistyczne, „posłuszną armią Stanów Zjednoczonych". Sowieci utrzymywali do końca lat 50. ambasady i rezydentury wywiadu jedynie w stolicach Meksyku, Argentyny i Urugwaju. Główny ekspert KGB od Ameryki Łacińskiej Nikołaj Leonow pisał później: „Kuba zmusiła nas do świeżego spojrzenia na cały kontynent, który do tamtej pory zajmował ostatnie miejsce wśród priorytetów sowieckich przywódców". Przewrót na Kubie i początki autorytarnych rządów Castro i Che Guevary były prezentem dla Moskwy i Łubianki. Sowieci zyskali szansę zdobycia przyczółku na zachodniej półkuli, i to tuż pod nosem USA. Początkowo Moskwa jakby tego nie dostrzegała. Na zmianę stanowiska wpłynęło KGB i już zawsze to Łubianka, a nie MSZ, miała grać pierwsze skrzypce w polityce sowieckiej wobec Hawany, a potem innych prosowieckich ruchów i rządów latynoamerykańskich. To Leonow stał się pierwszym faktycznym przedstawicielem ZSRS na Kubie, to KGB później pierwsze nawiązywało kontakty z Salvadorem Allende czy małżeństwem Peronów. Choć pierwszy z formalną inicjatywą nawiązania współpracy wyszedł jednak Castro. W lipcu 1959 r. wysłał swego pierwszego szefa wywiadu Ramira Valdesa do Meksyku na tajne rozmowy z ambasadorem ZSRS i rezydentem KGB. Trzy miesiące później KGB założyło swoją rezydenturę w Hawanie. Jej szefem był Aleksandr Aleksiejew, wcześniej szef rezydentury w Buenos Aires. Z miejsca zdobył zaufanie Castro. Jeśli dodać do tego fatalne wrażenie, jakie zrobił na Kubańczykach pierwszy sowiecki ambasador w ich kraju, nie dziwi, że Castro wolał wykorzystywać KGB jako główny kanał łączności z Moskwą. W wywiadzie sowieckim powstała nowa sekcja, „latynoamerykańska" (dotychczas za ten odcinek odpowiadała sekcja północnoamerykańska), zaś szefem biura kubańskiego został Leonow. W lipcu 1960 r. Raul Castro w Moskwie poprosił o przysłanie kilku doradców KGB. W sierpniu Łubianka nadała Kubie kryptonim „Przyczółek".

Przed dojściem Castro do władzy Kuba nie miała profesjonalnego wywiadu. Pod koniec 1961 r. powstała Dyrekcja Generalna Wywiadu MSW (Dirección de Inteligencia, DGI) i była jednoznacznie ukierunkowana na „eksport rewolucji" w Ameryce Łacińskiej. Jej trzon stanowiły trzy Komitety Wyzwolenia: Karaibski, Środkowoamerykański i Południowoamerykański. Określało się je jako Dyrekcję Wyzwolenia. Jak wynika z raportu CIA, od pierwszych dni w siedzibie nowej służby kręciło się pięciu doradców z KGB. Szefem DGI został Manuel Piñeiro „Barba Roja" (Rudobrody), ale miał zwierzchnika w osobie ministra spraw wewnętrznych Ramira Valdesa (z czasem to jednak sam Castro zaczął ręcznie sterować wywiadem). Od końca lat 60., po wewnętrznej reformie związanej ze zmianą priorytetów wywiadowczych, struktura DGI opierała się na trzech operacyjnych zarządach: „legalnych ośrodków", „nielegałów", „narodowowyzwoleńczym". Ten pierwszy prowadził działania z pomocą agentów pod przykryciem pracowników misji dyplomatycznych. Drugi organizował działalność agentów w krajach, gdzie Kuba nie miała oficjalnych przedstawicielstw (warto pamiętać, że wtedy w Ameryce Łacińskiej takie funkcjonowały jedynie

eprasa.pl f666f89312

w Meksyku i na Jamajce). Największy był trzeci zarząd, który promował i wspierał „rewolucyjną" działalność na całym świecie. W czasach największej świetności DGI liczyła aż 20 tys. ludzi. Gdy w 1989 r. zmieniono nazwę agencji na Dyrekcję Wywiadu (DI, znaną też jako G-2), było już w niej tylko 3 tys. ludzi. Nie można też zapominać o drugiej służbie specjalnej, stale współpracującym z „cywilami" Departamencie Kontrwywiadu Wojskowego Ministerstwa Rewolucyjnych Sił Zbrojnych (Dirección de Contra-Inteligencia Militar, CIM). Podczas zimnej wojny był on równie duży jak DGI, co nie dziwi, skoro cała armia kubańska liczyła 200 tys. ludzi i ustępowała w Ameryce Łacińskiej jedynie Brazylii (biorąc pod uwagę liczbę mieszkańców kraju przypadającą na jednego żołnierza, Kuba była liderem światowym). Jednak w latach 90. zmniejszono siły zbrojne o połowę, a cięcia dotknęły także CIM.

Rewolucja na eksport

W sierpniu 1961 r. KC KPZS zaakceptował przygotowaną przez szefa KGB strategię ofensywy przeciwko wpływom USA na zachodniej półkuli. Ważną rolę miały w tym odgrywać służby specjalne kubańskiego sojusznika. O wielu szczegółach tego obszaru działalności DGI wiemy dzięki odtajnionym po latach raportom CIA. Kubański wywiad intensywnie wspierał i inspirował różne ruchy partyzanckie w niemal całej Ameryce Łacińskiej – apogeum tego „eksportu rewolucji" przypadło na pierwszą połowę lat 60. Tylko w latach 1961–1964 DGI wysłała ponad 1 mln dolarów wenezuelskim rebeliantom. W 1963 r. ponad 200 tys. dolarów powędrowało do Marco Antonio Yona Sosy, lidera lewicowej partyzantki w Gwatemali. W listopadzie 1963 r. na wenezuelskiej plaży przechwycono ogromny ładunek broni. Trzy tony broni automatycznej, granatników i amunicji. Część z niej zidentyfikowano: zakupiła ją Kuba w Belgii w latach 1959–1960. Ładunek był przeznaczony dla paramilitarnego skrzydła Wenezuelskiej Partii Komunistycznej, która planowała zerwać wybory prezydenckie w grudniu 1963 r. (Operacja Caracas). Szkoleni przez DGI partyzanci próbowali wszcząć rebelie także w południowym Peru i w Argentynie. Kubańscy agenci w La Paz z kolei usiłowali zmontować bunt przeciwko rządowi Boliwii. Pieniądze z Hawany wędrowały też do radykalnych opozycjonistów w Brazylii, żeby zakładali obozy szkoleniowe w stanie Goias, z którego gubernatorem Leonelem Brizolą Hawana wiązała spore nadzieje, oraz do lidera buntujących się chłopów Francisco Juliao. Między 1961 a 1964 r., a więc w okresie największego nasilenia wywrotowych działań Kuby w Ameryce Łacińskiej, szkolenie partyzanckie i ideologiczne przeszło w ośrodkach DGI co najmniej 1500–2000 obywateli różnych krajów południowoamerykańskich.

W pierwszych latach po zdobyciu władzy przez Castro KGB wierzyło, że za Kubą pójdą inne kraje, z Nikaraguą na czele. Łubianka zaangażowała się tam we wzmacnianie partyzantki sandinistów. Sowietom pasowała więc wówczas polityka szefa DGI Piñeiry, dla którego absolutnym priorytetem był „eksport rewolucji". Rozochocony Nikita Chruszczow postanowił zagrać jeszcze ostrzej. W maju 1962 r. wymienił ambasadora na Kubie. Został nim przyjaciel Castro, dotychczasowy szef rezydentury KGB w Hawanie Aleksiejew. Nie miał on problemów z przekonaniem Fidela do przyjęcia na wyspie sowieckich rakiet wymierzonych w USA. Czym to się skończyło, wiadomo. „Kryzys kubański" w październiku 1962 r. nadszarpnął też relacje Hawany z Moskwą. Castro był wściekły na Chruszczowa za wycofanie rakiet, i to bez jakiejkolwiek konsultacji. Świadkiem wybuchu furii Fidela był Che Guevara. Wspominał, że Castro miotał przekleństwa, kopał w ścianę i rozbił lustro. Moskwa szybko naprawiła relacje. KGB zaprosiło do swych ośrodków szkoleniowych 1500 agentów DGI, w tym Guevarę, a wizyta Fidela w ZSRS w 1963 r. zamieniła się w triumfalne tournée. W 1962 r. ZSRS otworzył bazę SIGINT w Lourdes koło Hawany. Ten ogromny

GŁÓWNYM OBIEKTEM DZIAŁAŃ WYWIADU KUBAŃSKIEGO BYŁO I JEST WCIĄŻ EMIGRACYJNE ŚRODOWISKO W USA. REŻIM WYKORZYSTYWAŁ FALĘ UCHODŹCÓW, UMIESZCZAJĄC WŚRÓD NICH WIELU SWYCH AGENTÓW. SKALĘ TEJ INWIGILACJI PO RAZ PIERWSZY UJAWNIŁ FLORENTINO ASPILLAGA LOMBARD, WYSOKI FUNKCJONARIUSZ BEZPIEKI CASTRO, KTÓRY ZBIEGŁ DO USA W 1987 R. JEGO ZEZNANIA POZWOLIŁY ZDEMASKOWAĆ DZIESIĄTKI PODWÓJNYCH KUBAŃSKICH AGENTÓW, KTÓRZY ZINFILTROWALI RÓŻNE SEGMENTY AMERYKAŃSKIEGO SPOŁECZEŃSTWA.

eprasa.pl f666f89312

ośrodek wywiadu radioelektronicznego (nawet 1500 sowieckich pracowników i funkcjonariuszy) przez kolejne trzy dekady inwigilował pobliskie Stany Zjednoczone. Na Kubie działał jednak nie tylko ośrodek SIGINT w Lourdes, należący do GRU. W Hawanie swoje centrum wywiadu radioelektronicznego miało KGB. Placówka pod kryptonimem Termit-5 miała trzeci co do wielkości budżet – tylko w Waszyngtonie i Nowym Jorku były większe. W 1976 r. także w Lourdes udało się KGB wywalczyć miejsce dla siebie (ośrodek Termit-P).

Kubański wywiad na dużą skalę zaczął eksportować nielegałów do innych krajów kontynentu. Głównym doradcą z KGB w tej dziedzinie był przez trzy lata Władimir Grinczenko, sam od lat nielegał w Argentynie. Tylko w latach 1962–1966 przez Czechosłowację, która od początku pełniła rolę głównego we wschodnim obozie zaplecza wywiadowczego i wojskowego dla Kuby, przeszło 650 nielegałów DGI. Jak zauważała w 1968 r. CIA, agencję DGI „przekształcono w wysoce profesjonalną organizację wywiadowczą zgodnie z klasyczną linią sowiecką". Moskwa postanowiła też nieco uporządkować zapędy Kubańczyków do podpalania innych latynoskich krajów. W listopadzie 1964 r. w Hawanie doszło do tajnego spotkania przedstawicieli KGB z DGI, na którym Sowieci pomogli uzgodnić kompromisowe porozumienie w sprawie wspierania ruchów wywrotowych w kilku państwach Ameryki Łacińskiej. Ustalono, że w każdym takim wypadku to lokalna partia komunistyczna ma decydować, czy chce o władzę walczyć metodami siłowymi.

Łubianka sparzyła się na próbach destabilizowania zachodniej półkuli, więc z rosnącym niepokojem patrzyła na poczynania Kuby. Podczas wizyty w 1967 r. w Hawanie premier Aleksiej Kosygin skarżył się, że działania DGI „są na rękę imperialistom oraz osłabiają i rozpraszają wysiłki świata socjalistycznego, by wyzwolić Amerykę Łacińską". Zaczęły się też psuć relacje KGB z Hawaną. Odwołano zaprzyjaźnionego z Castro ambasadora Aleksiejewa. Z kolei Kubańczycy oskarżyli głównego doradcę KGB przy DGI Rudolfa Szliapnikowa o spiskowanie z promoskiewską „frakcją" w Kubańskiej Partii Komunistycznej i wymusili jego odwołanie. Doszło nawet do procesu członków rzekomej prosowieckiej grupy w partii, oskarżanej też o kontakty z KGB (styczeń 1968 r.). Przejęcie rządów przez Leonida Breżniewa tylko zwiększyło niechęć ZSRS do ofensywnych planów Castro. Tym bardziej że niewiele z nich wychodziło. Wbrew opinii Moskwy i lokalnych partii komunistycznych, łamiąc ustalenia z 1964 r., DGI próbowała zakładać partyzantki w Peru, Argentynie, Wenezueli, Gwatemali i Kolumbii. Bez sukcesów. Największym ciosem było fiasko misji w Boliwii, którą Che Guevara umyślił sobie przekształcić w nowy Wietnam. Skończyło się jego schwytaniem i egzekucją w październiku 1967 r.

„Szakal" i nielegałowie

Kryzys w relacjach Castro z Sowietami nie trwał długo. Fidel, ku zaskoczeniu wielu lewicowców na świecie, poparł sowiecką interwencję w Czechosłowacji w 1968 r. Znalazło to odzwierciedlenie także w aparacie bezpieczeństwa. Zimą 1968/1969 Castro wezwał szefów wszystkich zagranicznych placówek DGI do Hawany, by przekazać im nowe instrukcje w sprawie współpracy z KGB. Teraz zamiast eksportować rewolucję, mieli skupić się na zdobywaniu danych naukowych i technicznych dla ZSRS. Cenę za umocnienie przyjaźni kubańsko-sowieckiej musiał zapłacić Piñeiro, który raptem rok wcześniej polował na zwolenników ZSRS w partii. Na czele DGI zastąpił go, zgodnie z sugestiami Łubianki, José Méndez Cominches. W 1970 r. do Hawany przybyła grupa doradców z gen. Wiktorem Siemjonowem na czele, żeby przeprowadzić czystkę w DGI. Pozbyto się wszystkich, którzy mogli wydawać się sceptyczni wobec współpracy z KGB. Główny doradca wywiadu sowieckiego dostał gabinet tuż obok gabinetu szefa DGI. Od tej pory wywiad kubański wykonywał już ściśle polecenia KGB. Chociażby pomagając szkolić terrorystów. W styczniu 1966 r. w Hawanie Sowieci zorganizowali konferencję, której uczestnicy zastanawiali się nad „globalną rewolucyjną strategią przeciwdziałania globalnej strategii amerykańskiego imperializmu". Oficjalnie efektem konferencji było utworzenie Afrykańskiej, Azjatyckiej i Latynoamerykańskiej Organizacji Solidarności z siedzibą w Hawanie. Najważniejsza jednak była jedna z przyjętych rezolucji, ta mówiąca o konieczności zewnętrznego wspomagania grup walczących o „wyzwolenie". Pod koniec tegoż 1966 r., na Kubie, pod nadzorem sowieckim, powstało kilka obozów szkoleniowych dla „partyzantów" z Trzeciego Świata. Wśród pierwszych byli Palestyńczycy. To oni mieli potem znaleźć się w kadrach dowódczych powstających jak grzyby po deszczu różnych terrorystycznych organizacji.

Do ośrodków w Europie przyjmowano elitę bliskowschodnich terrorystów. Cała reszta szkoliła się w obozach w innych krajach sprzymierzonych z Moskwą. Wspomniane otwarte pod koniec 1966 r. na Kubie „szkoły terroryzmu" były nadzorowane przez DGI. Szkolenia trwały 3–6 miesięcy. W programie nauczania było „szkolenie w posługiwaniu się bronią, konstruowanie bomb, nauka, jak wysadzać ropociągi, czytanie map, kryptografia, fotografia, fałszowanie dokumentów". W jednym z takich obozów, Camp Mantonzas, szkolenie przeszedł sam Ilicz Ramirez Sanchez, znany jako „Szakal". Castro wysyłał też swych instruktorów do

eprasa.pl f666f89312

nowo otwartych obozów w Angoli i Mozambiku. Kubańczycy pojawili się też na Bliskim Wschodzie po wojnie Jom Kippur. W grudniu 1973 r. około 40 instruktorów kubańskich dotarło też do Jemenu Południowego. Właśnie ośrodki szkoleniowe w tym kraju, pilnie strzeżone przez KGB i Stasi, stały się głównym punktem szkolenia terrorystów z różnych krajów – od Niemiec, Irlandii, Japonii i Turcji po Iran, Włochy, Francję, Belgię i Palestynę. W marcu 1978 r. pierwszy zespół kubańskich instruktorów przyjechał do libańskiego Tyru. Przez ośmiomiesięczny kurs przeszła tam duża grupa przyszłych arabskich terrorystów. Uczyli się m.in. walki w warunkach ulicznych i pustynnych, niszczenia instalacji naftowych. „Absolwenci", wyposażeni w fałszywe paszporty i pozwolenia na pracę, zostali wysłani do różnych krajów Zatoki Perskiej, na temat których szczegółową wiedzę zdobywali właśnie na kursie w Tyrze.

W 1973 r. Mendez Cominches wziął udział w konferencji szefów wywiadów państw bloku wschodniego. Oficerowie DGI szkolili się w szkołach KGB, zaś Łubianka dostarczała Kubańczykom drogi sprzęt szpiegowski. We wszystkich ważniejszych komórkach DGI „doradzali" towarzysze z KGB. Szczególnie ściśle DGI współpracowała z Sowietami w sferze działań nielegałów. Większość z nich przechodziła szkolenie w ZSRS. Moskwa wykorzystywała też ośrodki na Kubie w procesie przygotowywania do misji szpiegowskich swych latynoskich nielegałów. Sowiecki wywiad zaczął coraz szerzej wykorzystywać sojusznika z Kuby w swych działaniach przeciwko USA. DGI była uznawana za szczególnie przydatną w werbowaniu Amerykanów Latynosów i Afroamerykanów. DGI zgodziła się też, żeby KGB używało kubańskiego systemu komunikacji radiowej do przekazywania informacji nielegałom sowieckim w USA i Ameryce Łacińskiej. Moskwa korzystała też z Kubańczyków w Europie, zwłaszcza w Hiszpanii, gdzie agentura DGI była najsilniejsza (w latach 80. było tam co najmniej 150 oficerów wywiadu kubańskiego). Na początku lat 70. ponad dwie trzecie kubańskich dyplomatów w Londynie było agentami wywiadu. Przydali się, gdy Brytyjczycy w ramach słynnej Operacji Foot wyrzucili z kraju jednocześnie niemal wszystkich sowieckich dyplomatów, o których wiedziano, że pracują dla wywiadu KGB.

Złote lata

Klęska Sowietów w Chile, gdzie obalono reżim Allende, spowodowała, że głównym, właściwie jedynym, sojusznikiem ZSRS na półkuli zachodniej w latach 70. była Kuba. Jak można było przeczytać w protokole z posiedzenia Politbiura KPZS z początku tej dekady: „Kuba bierze na siebie ważną rolę jako rzecznik idei socjalistycznych. Reorientacja F. Castro w ważnych kwestiach politycznych (porzucenie polityki eksportu rewolucji, przyjęcie jednej formy socjalizmu opartej na doktrynie marksistowsko-leninowskiej) ma wielkie znaczenie". „Nawrócony rewizjonista" Castro dostał na XXIV Zjeździe KPZS w 1971 r. najgłośniejsze brawa ze wszystkich zagranicznych gości. Ale największe przysługi Związkowi Sowieckiemu kubański dyktator miał dopiero oddać – i to bynajmniej nie na półkuli zachodniej.

Już w latach 60. Hawana interesowała się wspieraniem ruchów antykolonialnych w Afryce – kubański wywiad odegrał pewną rolę m.in. w obaleniu legalnych władz niepodległego od kilku miesięcy Zanzibaru (styczeń 1964 r.) przez siły „postępowe". Wielkim osiągnięciem sowieckiego aparatu dezinformacji i propagandy było doprowadzenie do sytuacji, w której Kuba, jeden z najwierniejszych wasali Moskwy, występowała zarazem jako członek ruchu „państw niezaangażowanych", a Castro wyrósł na lidera tego obozu. Żołnierzy kubańskich, jako że nie byli biali, a na ogół czarnoskórzy, trudno było uznać za imperialistów. ZSRS wykorzystał to sprytnie na Czarnym Lądzie. W latach 70. w Angoli, Mozambiku i Etiopii doszły do władzy reżimy marksistowskie. W Angoli wybuchła wojna domowa. Decydujące okazało się przybycie kubańskich wojsk jesienią 1975 r. na pomoc MPLA, organizacji kierowanej przez Agostinha Neto. Jak wspominał pisarz Gabriel Garcia Marquez, jego przyjaciel Castro „sam objął dowództwo batalionu sił specjalnych, który odleciał pierwszym lotem, i osobiście odprowadził ich w swym radzieckim dżipie do rampy samolotu". Przez pół roku sowiecki Sztab Generalny zorganizował transport ponad 12 tys. kubańskich żołnierzy do Afryki drogą morską i powietrzną oraz zaopatrzył ich w nowoczesny sprzęt. Castro wysłał nawet Cominchesa do Angoli, by osobiście zajął się operacjami wywiadowczymi w tym kraju. Pod koniec 1977 r. Kuba zajęła się też Etiopią, wspomagając reżim pułkownika Mengistu Hajle Marjama w wojnie z Somalią. Zimą 1977–1978 sowieckie samoloty przewiozły do Etiopii 12 tys. żołnierzy z Kuby. Pomoc sowiecko-kubańska pomogła komunistom etiopskim pokonać Somalię. W szczytowym momencie w Afryce stacjonowało około 50 tys. żołnierzy Castro, jedna czwarta jego armii. Moskwa była zachwycona pomocą kubańską. Wydarzenia z 1979 r. wprawiły Castro i Sowietów w jeszcze lepszy nastrój.

Marksiści pod wodzą Maurice'a Bishopa przejęli kontrolę nad Grenadą. W kwietniu na tej małej karaibskiej wyspie pojawiło się 50 kubańskich doradców wojskowych z wielkimi dostawami broni i amunicji. We wrześniu dotarło jeszcze 400 żołnierzy. Kubańczycy zaczęli budować wielkie lotnisko zdolne przyjmować sowieckie transportowce, a ZSRS dostarczał pomoc wojskową. W marcu 1979 r. w Hawanie Kubańczycy zmusili trzy skłócone frakcje sandinistów

eprasa.pl f666f89312

z Nikaragui do zjednoczenia. DGI pomogła im założyć bazę w Kostaryce, skąd w maju oddziały sandinistów wkroczyły do swego kraju. Dzięki pomocy kubańskiej szybko pokonały reżim Somozy – sandiniści wkroczyli triumfalnie do Managui w lipcu. Kubańscy doradcy obsadzili kluczowe stanowiska w nowym reżimie. Przez rok Castro potajemnie latał do Nikaragui, a dopiero w lipcu 1980 r. złożył tam pierwszą oficjalną wizytę. Tą środkowoamerykańską republiką zaczął rządzić faktycznie sandinistyczno-sowiecko-kubański triumwirat. Po sukcesach w Angoli, Etiopii i Nikaragui Castro stał się niekwestionowanym liderem Ruchu Państw Niezaangażowanych. Tymczasem w sąsiednich Stanach Zjednoczonych wybory wygrał Ronald Reagan. Castro zareagował na to histerycznie, porównując sukces republikanina do początku rządów Hitlera w Niemczech. DGI dobrze wiedziała, czego spodziewać się po Reaganie. Jego pierwszy szef dyplomacji Alexander Haug ostrzegł Moskwę, że „czas nieograniczonego siania zamętu w Trzecim Świecie dobiegł końca". Sowieci zareagowali bardzo ostrożnie, chociażby unikając eksponowania swej roli w salwadorskiej wojnie domowej, ale jednocześnie potajemnie zwiększyli dostawy broni na Kubę. Jej część trafiła do innych krajów latynoskich.

Megalomania Fidela i przerost jego ambicji choćby w Afryce zaczęły martwić Moskwę. Reżimy w Angoli i Etiopii chciały pozbyć się kubańskich wojsk. Dotychczasowe sukcesy w Nikaragui, na Grenadzie, partyzantka w Salwadorze, Gwatemali i Hondurasie utwierdzały Castro w przekonaniu, że należy przyspieszyć „eksport rewolucji". W czasie, gdy Kuba była ekonomicznie uzależniona od pomocy ZSRS, a sami Sowieci męczyli się w Afganistanie i musieli stanąć do wyścigu zbrojeń z USA. Tymczasem Haug ostrzegł, że Amerykanie nie będą dalej tolerować wywrotowych działań Kuby na zachodniej półkuli, i dodał, że „rozwiążą tę sprawę u źródła". Castro zareagował zbrojeniami i poprosił Moskwę o rozmieszczenie rakiet na Kubie. Wiadomo, że dyktator bał się też, że ewentualna interwencja ZSRS w Polsce (to był czas „Solidarności") może sprowokować inwazję USA na Kubę. Dlatego zachęcał Jaruzelskiego, żeby wprowadził stan wojenny. Rozprawa Amerykanów z marksistowskim reżimem na Grenadzie wywołała w Hawanie wręcz panikę. Dla Reagana wyspa rządzona przez Bishopa była „sowiecko-kubańską kolonią, przygotowywaną jako główny bastion do eksportu terroru i podkopywania demokracji". 25 października 1983 r. na wyspie wylądowali Amerykanie i błyskawicznie obalili komunistyczne władze. Ale naprawdę brzemienne w skutkach wydarzenia miały miejsce w dalekiej Moskwie: po krótkich rządach Andropowa i Czernienki władzę objął Michaił Gorbaczow.

Zmiany? Nie na Kubie

Castro krytykował pierestrojkę, a DGI zaczęła coraz mocniej dystansować się od kolegów z KGB. W 35. rocznicę rozpoczęcia kubańskiej rewolucji Fidel po raz pierwszy publicznie skrytykował Gorbaczowa. Wizyta tego ostatniego w Hawanie w kwietniu 1989 r. nie poprawiła stosunków. Szybki rozpad bloku wschodniego upewnił Castro, że wszelkie reformy i liberalizacja mogą się dla niego zakończyć jedynie katastrofą. Pokazał to też rozwój sytuacji u najbliższego sojusznika Kuby: w 1990 r. w wyniku demokratycznych wyborów władzę w Nikaragui stracili sandiniści.

W maju 1991 r. Castro ogłosił, że Gorbaczow odpowiada za „zniszczenie autorytetu partii". Miesiąc później w Hawanie gościł – jak się miało okazać, po raz ostatni – szef KGB. Nie wiadomo, czy Władimir Kriuczkow wspomniał wtedy coś gospodarzowi, że twardogłowi w Moskwie szykują desperacki kontratak. Ale w lipcu zasugerował to wiceprezydent ZSRS Giennadij Janajew, zapewniając w potajemnym liście do Castro, że „wkrótce wszystko zmieni się na lepsze". Pucz sierpniowy w Moskwie Hawana przyjęła z entuzjazmem. Tym większe było rozczarowanie, gdy po kil-

Do końca lat 50. spośród państw latynoamerykańskich Sowieci utrzymywali ambasady i rezydentury wywiadu jedynie w stolicach Meksyku, Argentyny i Urugwaju. Główny ekspert KGB od Ameryki Łacińskiej Nikołaj Leonow pisał później: „Kuba zmusiła nas do świeżego spojrzenia na cały kontynent, który do tamtej pory zajmował ostatnie miejsce wśród priorytetów sowieckich przywódców".

eprasa.pl f666f89312

kudziesięciu godzinach buntownicy przegrali, czym ostatecznie podpisali wyrok na Związek Sowiecki. Wraz z jego upadkiem przestała płynąć jakakolwiek pomoc ekonomiczna dla Kuby, co pogrążyło wyspę w dramatycznym kryzysie. Jak powiedział w 1992 r. Fidel Castro, rozpad ZSRS był dla Kuby „gorszy niż kryzys rakietowy" w 1962 r. Dekadę później podobne słowa o katastrofie, jaką był upadek Związku Sowieckiego, wypowiedział Władimir Putin. Ale wcześniej były rządy Borysa Jelcyna. Polityczne i ekonomiczne relacje Moskwy z Hawaną uległy faktycznemu zamrożeniu. Ale dla wywiadu rosyjskiego Kuba wciąż pozostawała cennym sojusznikiem. 14 czerwca 1993 r. podpisana została tajna umowa o wojskowej współpracy obu państw. Co prawda, w 2001 r. Rosjanie wycofali się z Lourdes, ale już po kilku latach Putin odbudował przyjazne relacje z Castro.

Rosjanom zależało na utrzymaniu współpracy z DI (dawniej DGI) z jednego, ale jakże ważnego powodu: kubański wywiad z powodzeniem penetrował amerykańskie agencje bezpieczeństwa zarówno w czasie zimnej wojny, jak i później. Na pełną skalę zaczął współpracować z KGB przeciwko Pentagonowi, amerykańskiemu wywiadowi oraz amerykańskim wojskowym obiektom w Hiszpanii i Ameryce Łacińskiej od połowy lat 70. Kluczową rolę DGI odgrywała w przemycie narkotyków z Ameryki Południowej do USA. Szczegóły ujawnił przed sądem René Rodríguez-Cruz, wysoki oficer DGI, jeden z czterech zatrzymanych przez Amerykanów w 1982 r. pod zarzutem przemytu narkotyków. Kilka lat później jeszcze więcej światła na rolę Kuby w zalewaniu USA narkotykami rzuciły zeznania byłego doradcy Manuela Noriegi, prezydenta Panamy.

Głównym obiektem działań wywiadu kubańskiego było i jest wciąż emigracyjne środowisko w USA. Reżim wykorzystywał falę uchodźców, umieszczając wśród nich wielu swych agentów. Skalę tej inwigilacji po raz pierwszy ujawnił Florentino Aspillaga Lombard, wysoki funkcjonariusz bezpieki Castro, który zbiegł do USA w 1987 r. Jego zeznania pozwoliły zdemaskować dziesiątki podwójnych kubańskich agentów, którzy zinfiltrowali różne segmenty amerykańskiego społeczeństwa, od rządu po organizacje non-profit. Wielu z nich żyło w USA od lat. Zdrada Aspillagi była dla Castro ciężkim ciosem – później usiłował się zemścić, dwa razy doszło do próby zamachu na życie uciekiniera.

FBI wielokrotnie identyfikowało jako agentów DGI i odsyłało do kraju członków Sekcji Interesów Kubańskich w Waszyngtonie (nieformalne przedstawicielstwo reżimu Castro – oba kraje nie utrzymywały stosunków dyplomatycznych). Jednak największą od 1959 r. siatkę szpiegów kubańskich w USA Amerykanie zdemaskowali długo po zakończeniu zimnej wojny, pod koniec lat 90. Agenci działali w środowisku emigracyjnym na Florydzie i koncentrowali się na lokalnych obiektach wojskowych. Tak zwana siatka La Red Avispa inwigilowała aktywne emigranckie grupy, szpiegowała amerykańskich polityków kubańskiego pochodzenia i próbowała wprowadzać swych ludzi do pracy w Południowym Dowództwie armii USA w Doral. W 1999 r. wyszło też na jaw, że DGI zinfiltrowała hiszpański wywiad wojskowy. Ta zmiana priorytetów nie dziwi, jeśli pamiętać, że w 1989 r. w kubańskim wywiadzie doszło do trzęsienia ziemi i agencję obsadziło wielu wojskowych. W 2006 r. aresztowano w USA Carlosa i Elsę Alvarezów. Małżeństwo pracowało na Florida International University, gdzie zbierało informacje o urzędnikach z rejonu Miami. Cztery lata później wpadła inna para szpiegów. Kendall i Gwendolyn Myersowie pracowali dla DGI od trzydziestu lat! Kendall pracował w Departamencie Stanu, gdzie miał dostęp do najbardziej wrażliwych danych. Dostał dożywocie. Ale nikt nie wyrządził bezpieczeństwu narodowemu USA większych szkód, niż Ana Montes, wysoka rangą analityczka DIA (wywiad wojskowy) i czołowa ekspertka rządu amerykańskiego ds. Kuby. Przez 16 lat przekazywała swoim mocodawcom z Hawany ściśle tajne informacje, w tym dane agentów amerykańskich na Kubie. Wpadła w 2001 r. Odsiaduje 25-letni wyrok w więzieniu federalnym.

Wspólny amerykański wróg połączył reżim Castro z reżimem Hugo Chaveza. Kubańskie służby odegrały ważną rolę w umocnieniu władzy prezydenta Wenezueli po próbie jego obalenia w 2002 r. DI umieściła pełno doradców w wenezuelskiej bezpiece. Mieli bezpośredni dostęp do Chaveza i wywiadowczych informacji, jakie dostawał. Kubańczycy szkolili wenezuelskich oficerów bezpieki w metodach inwigilowania i zwalczania opozycji, przeorganizowali cały aparat bezpieczeństwa. Przybysze z Hawany mieli nawet wpływ na personalne decyzje dyktatora. Jedyną instytucją, która oparła się desantowi Kubańczyków, była armia. Po śmierci Chaveza, za rządów Nicolasa Maduro wpływy kubańskie jedynie wzrosły. To z powodu obecności oficerów DI w świcie prezydenckiej Maduro nie dotarł na Zgromadzenie Ogólne ONZ w Nowym Jorku. Samolot musiał zawrócić do Caracas, bo Amerykanie odmówili wiz Kubańczykom. Wątpliwe, by reset stosunków z Kubą, jaki w końcówce rządów zdołał przeforsować Barack Obama, miał ograniczyć działania wywiadowcze Hawany wobec wielkiego sąsiada. A nie jest to przeciwnik, którego można lekceważyć. Jak pisze w wydanej w 2012 r. książce o reżimie Castro były analityk amerykańskiego wywiadu Brian Latell, „wielu emerytowanych urzędników CIA wciąż nie pojmuje, jak mała wyspiarska Kuba mogła zbudować tak wyjątkowe zdolności wywiadowcze i przeprowadzić tak wiele udanych operacji przeciwko amerykańskim celom". ■

eprasa.pl f666f89312

Hanna Shen

Chińska gra papieża Franciszka

Przed ostatnim konklawe chińskie MSZ stwierdziło, że Watykan pod rządami nowego papieża Franciszka powinien wykazać się „elastycznością i szczerością w tworzeniu warunków dla poprawy chińsko-watykańskich stosunków". Czyżby wypowiedziane ponad trzy lata temu oczekiwanie Pekinu miało się ziścić?

eprasa.pl f666189312

fot. ANGELO CARCONI/PAP/EPA

Pojawiają się informacje, że Watykan prowadzi rozmowy z komunistycznymi władzami w Pekinie w sprawie normalizacji relacji pomiędzy obiema stronami. To możliwe porozumienie dające Pekinowi prawo do zabierania głosu w sprawie nominacji biskupich według wielu chińskich, ale nie tylko, katolików będzie porażką dla Kościoła.

Podzielony Kościół

Chiny zerwały stosunki dyplomatyczne ze Stolicą Apostolską w 1951 r., krótko po tym, jak do władzy doszli komuniści. Od tego czasu w Państwie Środka istnieją dwa Kościoły. Łączna liczba katolików w tej chwili w ChRL to ponad 12 mln wiernych. Większość z nich należy do Kościoła podziemnego (katakumbowego) – wiernego Stolicy Apostolskiej. Biskupi i księża święceni są tu potajemnie, a władze komunistyczne stosują wobec niego politykę represji, łącznie z zamykaniem duchownych i wiernych w więzieniach i obozach pracy. Obok tego jest również Kościół Patriotyczny, czyli Patriotyczne Stowarzyszenie Kościoła Katolickiego (PSKK), nieuznające władzy papieża i kontrolowane przez komunistyczny rząd w Pekinie. Nauczanie społeczne Stowarzyszenia nie może być sprzeczne z programem społecznym Komunistycznej Partii Chin Ludowych, stąd patrioci nie występują na przykład przeciw aborcji, a duchowni muszą publicznie wyrażać poparcie dla decyzji władz.

Stolica Apostolska gotowa na porozumienie

Watykan dokonywał ekskomuniki biskupów należących do PSKK i nowo wyświęconych bez jego zgody hierarchów. Ale w ostatnich latach Stolica Apostolska starała się iść na ustępstwa. W lipcu 2012 r. w katedrze św. Ignacego w Szanghaju święcenia biskupie otrzymał uznany jednocześnie przez Stolicę Apostolską i chińskie władze ks. Tadeusz Ma Daqin. Jeszcze w czasie ceremonii święceń, na której obecni byli m.in. przedstawiciele władz i policji, biskup Ma ogłosił, że występuje ze współpracującego z władzami Chin Kościoła Patriotycznego. Za tę deklarację komuniści od razu go aresztowali. Duchowny od czterech lat przebywa w areszcie domowym.

Następne święcenia biskupie za zgodą Watykanu odbyły się trzy lata później. W sierpniu 2015 r. na biskupa diecezji Anyang w prowincji Henan w środkowej części Chin konsekrowany został ks. Józef Zhang Yilin. Duchownego wybrały komunistyczne władze, ale sakrę zaaprobowała Stolica Apostolska.

Uważa się, że ta nominacja, a następnie wizyty delegacji watykańskiej w Pekinie w październiku zeszłego roku i rewizyta chińskich oficjeli w Watykanie w stycz-

epresa.pl 66f89312

niu tego roku to zapowiedź normalizacji relacji między oboma państwami i być może zgody Watykanu na to, by nominacji hierarchów w chińskim Kościele katolickim dokonywano w procesie negocjacji z komunistycznymi władzami w Pekinie. Wyglądałoby to tak, jak w przypadku nominacji bp. Józefa Zhang Yilin, którego wskazali komuniści, a Watykan to zaaprobował.

W kwietniu 2016 r. obydwie strony utworzyły wspólną grupę roboczą, o której mówi się, że ma wypracować ostateczne porozumienie.

Kwestia Tajwanu

Ale wielu ekspertów uważa, że mimo częstych kontaktów na linii Watykan–Pekin, droga do porozumienia może być jeszcze długa nie tylko w związku z kwestią nominacji hierarchów, lecz także z powodu Tajwanu, z którym Stolica Apostolska utrzymuje stosunki dyplomatyczne. Na wyspie mieszka około 300 tys. katolików. Chiny jako warunek do nawiązania stosunków ze Stolicą Apostolską stawiają zerwanie przez Watykan relacji z Tajwanem i uznaniem wyspy jako integralnej części ChRL.

Według Chen Chien-jena, wiceprezydenta Tajwanu, pierwszego w historii wyspy katolika na tym stanowisku, relacje Tajpej ze Stolicą Apostolską są trwałe. Chen był w Watykanie w sierpniu tego roku i spotkał się z sekretarzem stanu Pietro Parolinim, a także miał prywatną audiencję u Franciszka. Po podróży tajwański wiceprezydent uspokajał Tajwańczyków, że jego wizyta potwierdziła silne partnerstwo i wspólne wartości łączące Tajwan i Watykan.

Kompromis Watykanu osłabia Kościół

Przeciwko próbom zawarcia przez Franciszka ugody z komunistycznymi władzami w Pekinie występuje wielu katolików. Jedną z osób, która krytykuje obecną politykę Stolicy Apostolskiej i niektórych organizacji katolickich względem komunistycznych władz Chin, jest emerytowany biskup Hongkongu kardynał Joseph Zen. W rozmowie z niemiecką agencją katolicką KNA (listopad, 2016 r.) biskup senior Hongkongu stwierdził, że „wszelkie kompromisy osłabiają pozycję Kościoła". Urodzony w Szanghaju kardynał dodał, że Watykan powinien mocniej wspierać katolików z Kościoła podziemnego.

„Jaki szacunek dla Kościoła będą mieli jutro ludzie, jeśli dzisiaj nie będzie on bronił wolności i nie zakończy się prześladowanie wierzących?" – pyta duchowny.

84-letni purpurat ostrzega też przed dyplomatycznymi „umiejętnościami" Pekinu, który może „bawić się słowami. Istnieje wielkie niebezpieczeństwo, że Watykan da się oszukać". I zaznaczył, że komunistyczne władze Chin „chcą wszystkiego, chcą kapitulacji".

W wywiadzie dla „The Wall Street Journal" (listopad, 2016) kardynał Zen powiedział, że uznanie nieważnie wyświęconych biskupów może zniszczyć Kościół w Chinach. W wywiadzie duchowny stwierdził, iż chociaż biskupi z PSKK są z reguły wierni nauczaniu Kościoła, to jednak pozostają „kukiełkami" kontrolowanymi przez komunistyczne władze. A kompromis, do którego ma dążyć Watykan, w niczym nie pomoże „ciepiącym wspólnotom katakumbowym" w Chinach.

Możliwa schizma

Stolica Piotrowa wierzy, że zawierając ugodę z Pekinem, będzie miała większe pole do działania i zwiększy swoje zaangażowanie na rzecz ujednoliconego Kościoła w Państwie Środka. Jednak wielu chińskich wiernych wcale nie odbiera owych kroków Watykanu jako służących wzmocnieniu wspólnoty i podziela opinie kardynała Zena. Potencjalny kompromis Watykanu z władzami Chin wierni Stolicy Apostolskiej Chińczycy odbierają jako zdradę i istnieją obawy, że porozumienie może doprowadzić do schizmy w chińskim Kościele.

W wypowiedzi dla brytyjskiego dziennika „The Daily Telegraph" (kwiecień 2016 r.) ks. Dong Baolu z Kościoła katakumbowego w Shijiazhuang w prowincji Hebei określa ewentualny kompromis Watykanu z władzami komunistycznymi właśnie jako „zdradę ze strony Rzymu". – Jeśli tak się stanie, zrezygnuję. Nie zamierzam być częścią Kościoła, który jest kontrolowany przez partię komunistyczną – mówił duchowny.

O tym, że ugoda z Pekinem może nie przynieść pozytywnych rezultatów dla Kościoła w Chinach, pisze także w artykule pt. „Polska, Chiny i Kościół Katolicki w komunizmie" („National Catholic Register", kwiecień 2016 r.) ks. Raymond J. de Souza. Autor stwierdza, że Kościół w Chinach działający w podziemiu jest słaby i rozproszony. Brak mu przywódcy i autorytetu na miarę prymasa Wyszyńskiego.

Brak na miejscu silnego przywódcy duchowego takiego jak Prymas Tysiąclecia powoduje, że wszystkie negocjacje z Pekinem są prowadzone przez nie do końca rozumiejącą sytuację Stolicę Apostolską. Na dodatek Watykan prowadzi zaawansowane już negocjacje w momencie, gdy w Chinach ma miejsce nowa fala walki z chrześcijaństwem.

Represje największe od czasów Mao

Według międzynarodowej organizacji Pomoc Kościołowi w Potrzebie (Aid to the Church in Need), ChRL należy do 10 najbardziej niebezpiecznych dla chrześcijan krajów świata.

eprasa.pl f666f89312

Gdy w 2013 r. do pełni władzy doszedł Xi Jinping, ogłosił kampanię sinizacji religii, mającą polegać na tym, że kościoły m.in. za pomocą symboli muszą się dostosować do „kultury i społeczeństwa chińskiego, będącego pod władzą komunistyczną". Usuwane są krzyże z kościołów, burzone świątynie i domy modlitw, a wierni aresztowani. Nie ustają represje wobec duchownych. Na początku ubiegłego roku w chińskim więzieniu zmarł katolicki biskup Kosma Shi Enxiang z diecezji Yixian w prowincji Hebei. Hierarcha spędził w areszcie łącznie 54 lata, a skazany został za to, że odmówił zrzeczenia się lojalności wobec Stolicy Apostolskiej. Rodzina biskupa Shi twierdzi, że mógł umrzeć w więzieniu w wyniku zagłodzenia albo tortur. W połowie listopada ubiegłego roku w rzece Fen w prowincji Shanxi znaleziono ciało 41-letniego księdza Pedro Yu Heping. Oficjalna wersja brzmi, że duchowny popełnił samobójstwo, ale nikt w to nie wierzy. Rodzina i wierni uważają, że śmierć kapłana jest wynikiem konfliktu z władzami komunistycznymi. Chiński duchowny stworzył bowiem bardzo popularny wśród społeczności katolickiej w Chinach portal internetowy Tianzhujiao Zaixian (katolik online). Strona była kilka razy zamykana, a aktywność księdza w internecie oraz jego posługa w odległych regionach Chin irytowały partię.

O tym, że sytuacja chrześcijan w Państwie Środka jest najtrudniejsza od czasów rewolucji kulturalnej, mówi pastor Bob Fu, chiński dysydent i założyciel chrześcijańskiej organizacji China Aid Association (CAA). Jego zdaniem, jakiekolwiek ustępstwa ze strony Watykanu na rzecz władz komunistycznych w Pekinie to „zdrada wobec chińskiego Kościoła katolickiego, a przede wszystkim wobec tych, którzy cierpią, a nawet stali się męczennikami".

Franciszek nie rozumie komunizmu

W Watykanie mówi się o słabości Franciszka do Chin. To czasem manifestuje się w dość trudnej do zrozumienia formie. Na początku tego roku, tuż przed Chińskim Nowym Rokiem, Ojciec Święty udzielił wywiadu portalowi Asia Times, w którym ani słowem nie wspomniał o prześladowaniach chrześcijan w Chinach. Za to Franciszek chwalił ChRL jako „skarbnicę mądrości" i „kraj błogosławiony z wielu względów", a pytany na przykład o politykę kontroli populacji, unikał odpowiedzi krytycznych wobec komunistycznych władz w Pekinie. Prowadzący wywiad Francesco Sisci zastrzegł, że celowo nie pytał papieża o skomplikowane kwestie polityczne i stosunki między Chinami a Watykanem. I nic dziwnego. Pytanie na przykład o sytuację katakumbowych katolików w Państwie Środka pewnie było niewygodne dla włoskiego dziennikarza, który jest częstym gościem państwowej stacji CCTV w Chinach, a swego czasu postulował współpracę Włoch z chińską Centralną Szkołą Partyjną, instytucją, której celem jest kształcenie komunistycznych kadr przywódczych.

Wielu uważa, że Ojciec Święty nie ma prawdziwej wiedzy o komunizmie, stąd poparcie dla ugody z Pekinem. Jak twierdzi kardynał Zen, wynika to z doświadczenia Franciszka w Argentynie, gdzie „dyktatorzy wojskowi i bogate elity zrobiły wiele złego [...] Ojciec Święty widział prześladowanych komunistów, a nie komunistycznych prześladowców. Widział komunistów zabitych przez rząd, a nie rząd komunistyczny, który zabił tysiące, setki tysięcy ludzi (w przypadku Chin miliony)".

Kardynał Joseph Zen twierdzi w wywiadzie dla „Corriere della Sera" (marzec 2016 r.), że obecnie nad Watykanem ciąży cień Ostpolitik i naiwności wynikającej z niewiedzy, czym jest komunizm w praktyce. „Włosi w Kurii Rzymskiej nie wiedzą, czym tak naprawdę jest chińska dyktatura, ponieważ nigdy nie doświadczyli życia w komunistycznym reżimie" – mówi duchowny.

Podobnie uważa chiński opozycjonista i komentator polityczny Meng Xuan. Wskazuje on na inną postawę Franciszka wobec komunizmu niż „polskiego papieża, Jana Pawła II, który nie miał złudzeń, czym jest ideologia komunistyczna. Jego twarde stanowisko zmieniło świat i nie potrzebował do tego czołgów". ■

Stolica Piotrowa wierzy, że zawierając ugodę z Pekinem, będzie miała większe pole do działania i zwiększy swoje zaangażowanie na rzecz ujednoliconego Kościoła w Państwie Środka. Jednak wielu chińskich wiernych wcale nie odbiera owych kroków Watykanu jako służących wzmocnieniu wspólnoty.

eprasa.pl f666f89312

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Z dziejów zwiastowania

eprasa.pl f666f89312

Czarna toyota znika. Znak restauracji McDonald's zastępuje pustynny krzak. Rośnie dokładnie w tym samym miejscu, co wielki gmach fast fooda. Między półpustynnymi wzgórzami i suchymi mchami. Gdzieniegdzie z piachu wystają usychające badyle. Wąską, rozwrzeszczaną klaksonami, pnącą się stromo w górę ulicę zastępuje jeszcze węższa udeptana ścieżka. Prowadzi do Nazaretu.

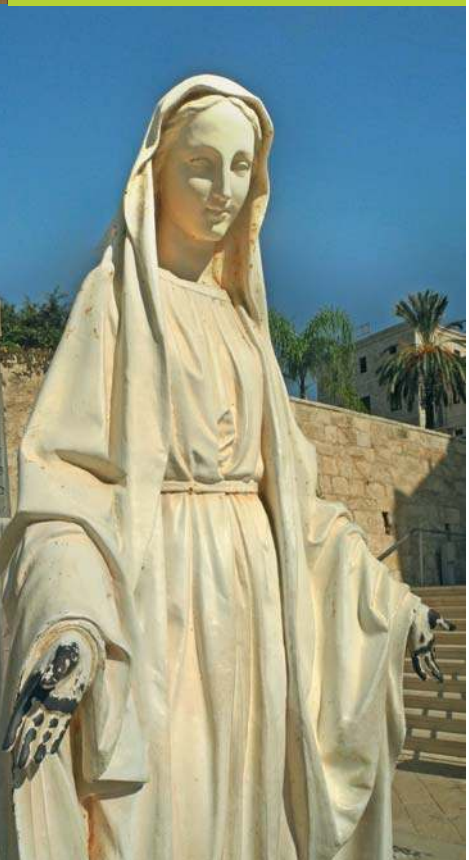

Możecie tutaj stać. Będę pilnował. – Sympatyczny Arab chyba widzi nasze zakłopotanie. Zresztą, po obrazku, który w tej chwili obserwuję, naprawdę nietrudno o taką konstatację. Oto bowiem przed nim biały przybysz od kilku już chwil uważnie obchodzący swoje auto i rozglądający się, czy na pewno stoi w dozwolonym miejscu. To fakt. Obchodzę krawężnik, sprawdzając, czy nie najechałem na niego kołem. Pomny otrzymanego kilka dni temu mandatu z Tel Awiwu, sprawdzam też jego kolor (w stolicy Izraela kolor krawężnika oznacza możliwość bądź zakaz parkowania w danym miejscu). Wreszcie udaję się na koniec chodnika, aby dokładnie prześledzić arabskie umieszczone znaczki pod znakiem drogowym. Słowem: robię wszystko, co w mojej mocy, aby tym razem papierowy świstek z niezrozumiałymi arabskimi i hebrajskimi krzaczkami i jedną jasną adnotacją, napisaną w znanym mi języku – o 250 szeklach kary – tym razem nie pojawił się za wycieraczką zaparkowanego nieprawidłowo samochodu.

Z drugiej strony, nie bardzo mam wyjście. To był jedyny wolny fragment wypełnionej szczelnie ulicy porannego Nazaretu. Samochody wyjeżdżają z każdego zakamarka. Z dołu ulicy, z góry. Z bocznej bramy. Nagle znikąd pojawia się arabska śmieciarka blokująca okoliczne niewielkie rondo. Słychać odgłosy klaksonów. Przyznam, że czuję się troszeczkę zagubiony.

– Nic tu się nie płaci. Możecie iść na miasto. Spokojnie... Dobrze stoicie – dobroduszny sprzedawca kramiku z warzywami raz jeszcze daje znać, aby spokojnie iść na zwiedzanie. Odmachuję przyjaźnie.

– Uwaaaażaj! – głos idącego za mną Kuby rozrywa rozgrzane nazaretańskie powietrze. Z prawej strony na kilka centymetrów mija mnie boczne lusterko pędzącej furgonetki dostawczej.

Nazaret. Godzina jedenasta. Uliczny ruch narasta. Przed McDonald'sem przystaje na moment czarna toyota. Zza otwartych okien dochodzą odgłosy arabskiego disco. Przesterowane głośniki ledwo wytrzymują poziom głośności. Stojącym w pobliżu ludziom oczekującym na miejski autobus chyba nie bardzo to przeszkadza. Pewnie przywykli. Zarówno ta pani z trójką dzieci uczepioną jej mankietów, jak i ten arabski dziadek w jasnych przechodzonych szatach. Trzymający zgrabiałymi dłońmi torebkę wypełnioną po brzegi pomarańczami. Czarna toyota wciąż stoi. Kierowca najwidoczniej na kogoś czeka. Problem w tym, że stoi w dość newralgicznym miejscu. Na ulicy momentalnie tworzy się korek. Kolejne

Opisane w Protoewangelii Jakuba miejsce spotkania Maryi ze św. Gabrielem

eprasa.pl f666f89312

klaksony. Szofer może ich nie słyszeć. Muzyka w samochodzie skutecznie zagłusza jakiekolwiek odgłosy z zewnątrz.

Stanie w korku na wąskiej uliczce, z delikatnym zakrętem pośrodku, dodatkowo pnącej się w górę... Komunikacyjny koszmar. A przecież Nazaret to miasteczko na wzgórzu. Tego wcześniej nie wiedziałem. Inaczej je sobie wyobrażałem. A jednak. Miasteczko na wzgórzu, na którego samym wierzchołku...

Narodziny „najpiękniejszej z wszystkich dam"

„W szóstym miesiącu posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja. Anioł wszedł do Niej i rzekł: Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą, błogosławiona jesteś między niewiastami. Ona zmieszała się na te słowa i rozważała, co miałoby znaczyć to pozdrowienie. Lecz anioł rzekł do Niej: Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca. Na to Maryja rzekła do anioła: Jakże się to stanie, skoro nie znam męża? Anioł Jej odpowiedział: Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym. A oto również krewna Twoja, Elżbieta, poczęła w swej starości syna i jest już w szóstym miesiącu ta, która uchodzi za niepłodną. Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego. Na to rzekła Maryja: Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według twego słowa! Wtedy odszedł od Niej anioł" (Łk 1, 2639).

Czarna toyota znika. Znak restauracji McDonald's zastępuje pustynny krzak. Rośnie dokładnie w tym samym miejscu, co wielki gmach fast fooda. Między półpustynnymi wzgórzami i suchymi mchami. Gdzieniegdzie z piachu wystają usychające badyle. Wąską, rozszalałą odgłosami klaksonów, pnącą się stromo w górę ulicę zastępuje jeszcze węższa udeptana ścieżka. Prowadzi do zabudowań miasta. A właściwie bardziej do „zabudowań miasteczka". Rolniczej osady. Nazaretu. Odsuniętego na ubocze od Via Maris. Niezwykle ważnej drogi łączącej Egipt z Syrią. Osady żyjącej w cieniu wielkiego świata. Z dala od siedziby Heroda Wielkiego w Cezarei Filipowej. Z dala od wszystkiego. Jest około 15. roku przed Chrystusem.

Nasza wąska dróżka prowadząca do zabudowań z czasem się rozszerza. Gdy dociera do osady, jest już wyraźna i szeroka. To Galilea. Cudowna kraina północ-

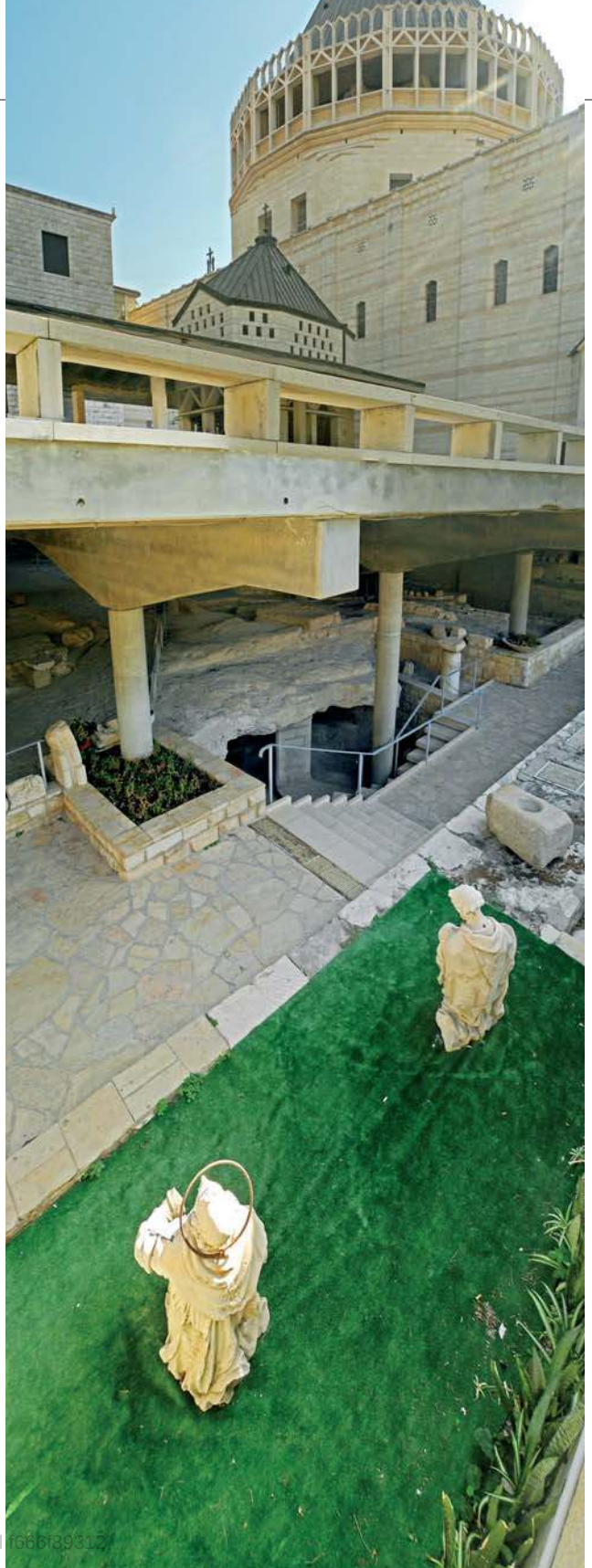

Zrujnowane pozostałości po biblijnym Nazarecie

eprasa.pl/666139312

W kolejce słychać subtelny szmer głosów w różnych językach

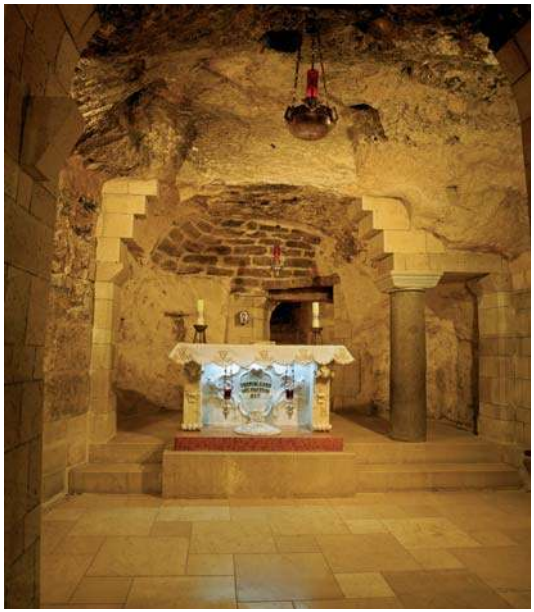

„Verbum Caro Hic Factum Est". Tutaj Słowo stało się ciałem

nego Izraela. Starożytnego Nazaretu. Spieczona słońcem ziemia rozlokowana między pięcioma wzgórzami. Wielkie puste półpustynne połacie. Potężne ostańce skalne leżące bezładnie po całej krainie. Jedna z tak rozrzuconych skał posługuje pewnemu sprytnemu Żydowi o imieniu Joachim. Postanawia on wznieść rodzinny dom, czyniąc z owej skały jedną z jego ścian.

Tak powstaje skromna, niewielka chata. Z trzema ścianami sięgającymi około dwóch i pół metra wysokości i jedną naturalną, ze skały. Sama izba ma niewiele więcej jak 30 metrów kwadratowych powierzchni. Zamiast fundamentów podłogi – ubita ziemia. I dwoje bohaterów: bogobojnych domowników: wspominany już Joachim i jego żona, Anna. Żyją skromnie, bo i mają niewiele. Są za to prawdziwie szczęśliwi. Dziękują dobremu Bogu za każdy kolejny dzień. Choć w głębi serca wiedzą, że do pełni szczęścia brakuje im jeszcze jednego. Od lat marzą o rodzicielstwie. Nadal jednak bez skutku.

eprasa.pl f666f89312

Każde oczekiwanie musi mieć jednak swój koniec. Nie inaczej jest w przypadku Joachima i Anny. W greckich apokryfach czytamy, jak któregoś dnia świątobliwej Annie ukazuje się z nieba anioł. Z wiadomością, że prośby małżonków zostały wysłuchane, a dziecko, które niebawem urodzi, będzie wielbione przez cały świat. Niebawem obietnica zostaje wypełniona. Dokładnie dziewięć miesięcy po tym wydarzeniu na świat przychodzi dziewczynka. Przyszłe pokolenia będą ją nazywać „najpiękniejszą z wszystkich dam" (świadectwo mających objawienie dzieci z Salette). Rodzice zaś zgodnie z wolą Anioła nazwą ją Marjam. Tłumacząc z aramejskiego na polski: Maria. Maria z Nazaretu. Tego samego zakorkowanego miasta, na którego ulicach za jakiś czas warczeć będzie arabskie disco unoszące się z wnętrza czarnej toyoty. Gdzie pewien biały szukać będzie wolnego miejsca do zaparkowania. Gdzie wąską ścieżynkę zastąpi sieć stromych uliczek. Ale to dopiero za dwa tysiące lat.

Wędrujący Domek

Skromna chata Joachima i Anny staje się miejscem, w którym dziewczynka rośnie, nabiera ducha i obserwuje miłujących się rodziców. Już w wieku trzech lat zostaje oddana kapłanom na wychowanie, aby „służyć Panu". Do domu wróci, gdy skończy czternaście lat. Jako piękna i dojrzała dziewczyna. I wówczas się stanie...

Wreszcie historia świata wstrzymuje oddech. Koncentruje się na tym jednym dniu. Na tej jednej chwili. Nie mamy wiarygodnych źródeł na temat tego, czy wydarzenie, o którym zaraz będzie mowa, miało miejsce w dzień, czy w nocy. Czy trwało krótszą, czy dłuższą chwilę. Tutaj musimy ratować się własną wyobraźnią. Wierzymy, że się zadziało. To na pewno.

Do krzątającej się po izbie Marjam przybywa nieznany gość. Niebiański posłaniec, dziś znany nam pod imieniem Gabriel. Anioł przekazuje wiadomość. Tę, która raz na zawsze odmieni losy człowieka. Przerażonej dziewczynce oznajmia spokojnym głosem: „Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca". Jedynym świadkiem całej tej rozmowy jest ten właśnie domek. Święty Domek z Nazaretu.

Dziś Domku w Nazarecie już nie ma. Został przetransportowany do Europy. Do dalekiej Italii. A konkretnie do miasteczka Loreto. Jakim sposobem przeniesiono domek na takim dystansie? Tego do końca nie wiadomo. Mówi się o krzyżowcach, którzy w latach 90. XII wieku mieliby go przetransportować przez Morze Śródziemne. Jeszcze inne podania mówią o nadprzyrodzonej interwencji anielskiej, która pomogła w przenosinach owych trzech ścian Świętego Domku. Inni widzą w tym rolę rodziny De Angelis zlecającej transport trzech ścian do Włoch. W 1440 r. święta Katarzyna Bolońska otrzymała widzenie o cudownym przeniesieniu Domku. Tezę cudownej relokacji Domku potwierdza w swoich pracach prof. Giorgio Nicolini. Pisze on o autentyczności pięciu cudownych translokacji, które miały miejsce w latach 1291–1296. Twierdzi, że Święty Domek został cudownie zabrany z Palestyny, by nie wpaść w ręce najeżdżających Nazaret mahometan. Podaje nawet konkretne daty niektórych etapów. Pierwsze przeniesienie do Trsatu miało mieć miejsce w nocy z 9 na 10 maja 1291 r. Drugie dotyczyło mieściny Posatora (prowincja Ancona we Włoszech). Trzecie do lasu Pani Loretańskiej na równinie w obrębie murów Loreto i miało do niego dojść 10 grudnia 1294 r. Czwarta faza cudownej relokacji dotyczyła przenosin na Mount Prodo w Loreto. I wreszcie piąta – na obecne miejsce, gdzie dziś znajduje się bazylika wzniesiona wokół Domku.

Tak się składa, że właśnie 10 grudnia 1294 r. włoscy pasterze zobaczyli w nocy cudowne światło szybko przemieszczające się nad morzem. Słyszeli ponoć także cudowną muzykę. Następnie na niebie ujrzeli Domek niesiony przez aniołów. Pasterze zdumieni tak niezwykłym widokiem upadli na kolana i zaczęli się modlić, oczekując z niecierpliwością na to, co się jeszcze wydarzy. Gdy aniołowie położyli Sanktuarium Świętego Domku w środku dużego gaju, drzewa pochyliły się przed świętym obiektem, jakby oddawały cichy hołd Królowej Niebios.

Domek został przeniesiony.

Gigantyzm ciszy

W Nazarecie nie ma już zatem Domku Świętej Rodziny. Pozostały inne zabudowania. Są sąsiednie domy, są groty. Są ściany gospód, studni, ogrodzeń, miejsc kultu. Wszystko zgromadzone na szczycie. Na nazaretańskim wzgórzu.

– Ale my pani nie wpuścimy... – dwóch panów stojących przed wejściem na dziedziniec Bazyliki Zwiastowania Pańskiego zatrzymuje chcącą wejść białą turystkę.

– Co się stało? – pyta bezradnie dziewczyna.

– Ramiona i nogi... Musi pani zakryć – jeden z pilnujących pyta szybko kolegów dziewczyny o pożyczenie jej kurtki, bluzy czy koszuli. Zaczyna się zbiorowe szukanie. W plecakach, torbach.

Po chwili opatulona w koszule zakrywające ramiona i kolana dziewczyna wchodzi na dziedziniec. Ten otoczony jest obrazami Matek Bożych. Każda z innego zakątka globu.

eprasa.pl f666f89312

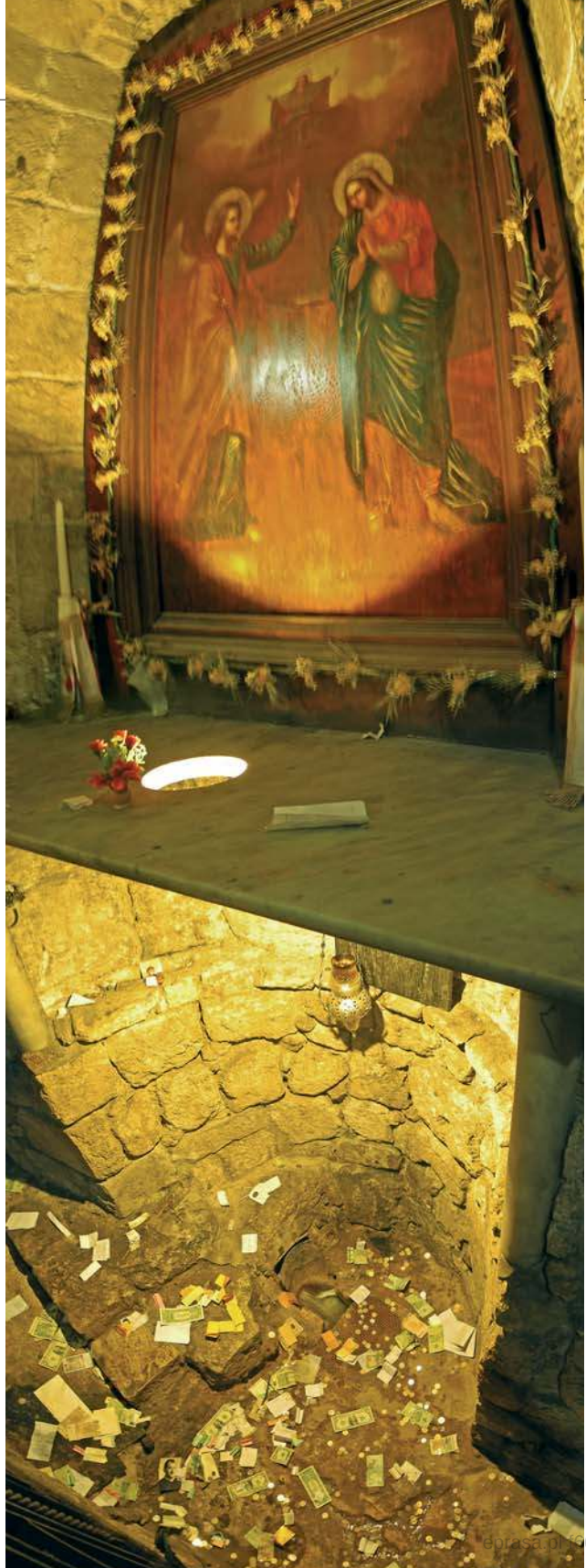

– Szukamy naszej! Z Polski! – słyszę znajomy język. – Musi tu gdzieś być!

– Eee. Chodźcie do środka. Do bazyliki. W końcu po co tu przyjechaliśmy? Jak chcecie, szukajcie. Ja będę w środku. Już nie mogę się doczekać – od grupki odłącza się jedna pani. Za nią cicho podążają kolejne osoby. Czują, że już dłużej nie wytrzymają. Idę za nimi.

W bazylice pusto. W bocznych ławkach siedzi może pięć osób. Od ścian obija się czyjś głos. Dość wyraźny. To echo nauk głoszonych w górnym kościele. Bazylika ma dwa poziomy. Tutaj, w dolnej części, znajduje się ogrodzone miejsce Zwiastowania. To właśnie stąd w obawie przed mahometanami został zabrany do Europy Święty Domek. Dziś między wyrwą pośród kamiennych ścian stoi tutaj ołtarz. Skromny, samotny. Z pewnym napisem. Jedynym takim napisem na całym świecie. Bo i tylko tutaj może on w pełni wybrzmieć. A oznajmia on jasno: „Verbum Caro Hic Factum Est".

– Tutaj Słowo stało się ciałem – klęcząc przed miejscem Zwiastowania, słyszę męski głos za plecami. Ktoś tłumaczy niewielkiej grupie zebranych. – Rozumiecie? Tak wyświechtane przez wiernych sformułowanie, powtarzane często automatycznie jako wyuczona formułka... Tutaj nabiera znaczenia. Bo to Słowo tutaj stało się ciałem. Nie gdzie indziej. Ale właśnie tutaj. Tutaj nastąpiła obietnica. Tutaj Anioł zdradził Boski plan ocalenia dla całej ludzkości.

Niski głos po chwili cichnie. Przewodnik powiedział niezbędne minimum. Dobrze wie, gdzie stoi. Dobrze wie, co tutaj zaszło. Nie potrzeba mówić więcej. Uśmiecham się w duchu, że to moi krajanie. Że to polska grupa. Że oni rozumieją. Że im nie trzeba nic tłumaczyć. A może to po prostu atmosfera tego miejsca?

Po dochodzącym z tyłu odgłosie delikatnego szumu i szelestu wnioskuję, że słuchacze klękają. Następuje kompletna cisza. Gigantyzm chwili. Ogrom bazyliki, echo ścian, warunki akustyczne – wszystko to sprawia, że najmniejszy nawet szept wymykający się komukolwiek w jej wnętrzu urasta i staje się słyszalny ze zdwojoną siłą. A mimo to w tej jednej chwili nastaje cisza. Niewysłowiony pokój. To jest ten moment.

Splatam dłonie w geście modlitwy. Opieram głowę o żelazne kraty odgradzające mnie od miejsca, gdzie na kilka chwil losy ludzkości zawisły na włosku. Zostały uzależnione od decyzji czternastoletniej dziewczynki.

Inaczej

Pojedyncze kamienie. Jasne głazy. Skalne kolumny. Poprzewracane. Leżące same sobie. Od lat. Pokryte wielką platformą bazyliki. Aby uchronić od deszczu i słońca. Które na tej szerokości geograficznej operuje

W błocie widać leżące dolary, euro

eprasa.pl 66f89312

„Polska Matka Boża" przed Bazyliką Zwiastowania

naprawdę mocno. Tak wyglądają dziś ruiny po starożytnym Nazarecie. Oglądane zza ogrodzenia. Z delikatnej perspektywy. Wejść niżej nie wolno. Pozostaje niewielki dystans. Tak jest chyba zresztą lepiej.

– Zostawiłam chyba okulary w środku... – zwraca uwagę jedna z pań opuszczających kościół.

– Spokojnie, mamuś, pójdę poszukać – odpowiada jakiś młody mężczyzna.

– Poczekamy tu na was, nie spieszcie się. Spokojnie.

Słowa na pielgrzymkach raczej niepadające nazbyt często. Faktycznie coś tu się dzieje. Coś tu się dokonuje. Pokój Nazaretu trwa w najlepsze.

Tuż obok wyjścia z dziedzińca bazyliki zaczyna się arabski bazar. Pod dachem. Z feerią kolorów i zapachów. Z wiszącymi słynnymi lampkami. Z owocami i ziołami. Ze słodyczami. Z zabawkami. Ale i tutaj jest jakby inaczej. Nikt nie zaczepia. Może mają przerwę? Nie wiem.

Słyszę stukot laski. To starszy mężczyzna. Idzie niespiesznie między straganami. Zatrzymuje się, przygląda. Chyba miejscowy. Jego też nie zaczepiają. Snuje się pośród bazarowego labiryntu alejek. W pewnym momencie przystaje tuż przy mnie i przypatruje się mojej twarzy. Nic nie mówi. Nie rozumiem. To nie jest atmosfera bazaru arabskiego. Tu nie powinno być ciszy. Tu nie powinno być miejsca, aby móc się zatrzymać i przyglądać się sobie. Tutaj taki pan o lasce nie powinien tak swobodnie paradować między stoiskami. To nie tak...

Kolejka po wodę

Kolejka ludzi. Stoją na schodach. Trzeba uważać. Jedna z pań trzyma zapaloną świecę. Żeby tylko nie przypaliła sąsiadki. A przecież jest dość tłocznie. W tle słychać śpiew batiuszki. Obok niego zgromadziła się grupa wiernych. Jedna z pań obchodzi dookoła cerkiew. Co kilka chwil przystaje. Modli się przed kolejnymi ikonami. Młody chłopak przykłada czoło do szklanej obudowy wizerunku Najświętszej Maryi Panny. Porusza ustami. Nie widzi w tej chwili nikogo. W powietrzu woń kadzideł. Ktoś przepycha się z trzymadełkiem do telefonu komórkowego. Chce być gotowy. Tam na dole nie będzie miał zbyt wiele czasu na zrobienie zdjęcia. Kolejka porusza się powoli. Pomiędzy zatopionymi w modlitwie, w czuwaniu. Ktoś głośno rozmawia.

Z czasem zagłuszy go głośny szelest wody. Dochodzi z dołu. Obok brodaty ksiądz. Stoi cierpliwie przy kilku krzątających się i robiących spory rumor kobietach. Nabierają do buteleczek tryskającą wodę. Jestem 800 metrów na północ od Bazyliki Zwiastowania. Idąc przez arabski bazar, to około 12 minut spacerem. Tutaj wznosi się znacznie mniejsza świątynia. Cerkiew Archanioła Gabriela.

Apokryficzna Protoewangelia Jakuba opisuje, jakoby samo Zwiastowanie miało odbyć się w dwóch miejscach. Maryja miała najpierw ujrzeć posłańca przy źródle...

Dwa Zwiastowania?

„I wzięła dzban, i wyszła, by zaczerpnąć wody. I usłyszała głos mówiący do niej: »Witaj, pełna łaski, Pan z tobą. Błogosławionaś ty pośród niewiast«. I spojrzała Maryja na prawo i na lewo, skąd by pochodził ten głos. I cała drżąca weszła do swego domu, i postawiwszy dzban wzięła purpurę, i siadła na tronie, i przędła purpurę. I oto stanął przed nią anioł, mówiąc: »Nie lękaj się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę wobec wszechwładnego Pana wszechrzeczy. Poczniesz za sprawą Jego Słowa«. Ona zaś, Maryja, usłyszawszy [te słowa] rozważała je w sobie mówiąc: »Czyż ja pocznę z Boga żywego [i porodzę] jak każda kobieta rodzi?«. I oto stanął anioł i rzekł do niej: »Nie tak, Maryjo. Moc bowiem Pana cię ocieni, dlatego święty, którego porodzisz, będzie nazwany

eprasa.pl f666f89312

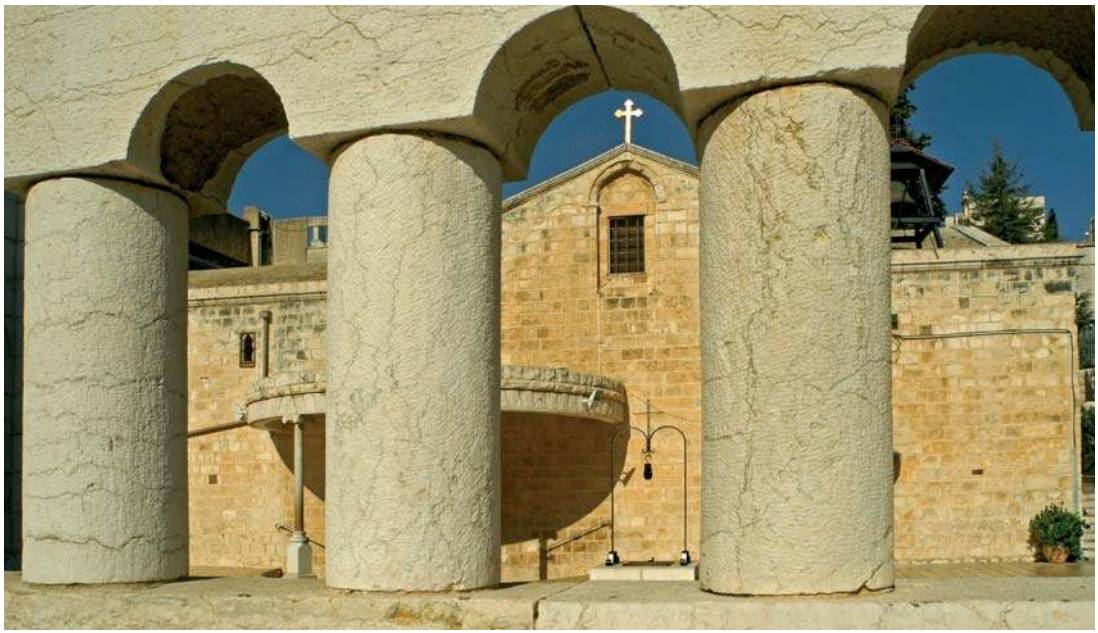

Nazaretańska Cerkiew Archanioła Gabriela

Synem Najwyższego. I nadasz Mu imię Jezus, On bowiem wybawi lud swój z grzechów jego«. I rzekła Maryja: »Oto ja służebnica Pana przed Jego obliczem. Niech mi się stanie według słowa twego«. Gdy wyrobiła szkarłat i purpurę, zaniosła je kapłanowi. I przyjąwszy je, pobłogosławił ją i rzekł: »Maryjo, Pan Bóg wywyższył twe, i będziesz błogosławiona pośród wszystkich narodów ziemi«".

Czy zatem rzeczywiście Anioł objawił się Maryi dwa razy? Pewności nie mamy dziś żadnej. Choć prawosławni wątpliwości raczej nie mają. Twierdzą, że studnia znajdowała się właśnie tutaj. Wspomniane 800 metrów od domu Joachima i Anny. Stąd właśnie ta cerkiew. Upamiętniająca pierwsze ze spotkań. Gdy przyszła Matka Boga udała się do źródła zaczerpnąć wody w dzban. Pamiątką zaś po drugim objawieniu miałaby być wówczas Bazylika Nawiedzenia. W miejscu rodzinnego domu rodziców Maryi.

– Przepraszam... – gdy jestem już blisko źródła, jakaś pani próbuje przepchnąć się bliżej niewielkiej barierki, o którą się w tej chwil opieram. W ręku trzyma banknot. Po chwili wrzuca go na dół. Wystarczy rzut oka w tym kierunku, aby spostrzec, że takich jak ona przybywa w to miejsce znacznie więcej. Pośród małej ziemnej brei i rozlanego błota na dole widać leżące pojedynczo dolary, euro. Są też szekle.

Kolejka powoli się rozrzedza. Większość pielgrzymów nabrała już wody w swe plastikowe buteleczki. Stojący na uboczu brodaty ksiądz podchodzi więc do kranika dopiero teraz. Wie, że prócz mnie nie ma w pobliżu już nikogo. Jestem ostatni. A mnie się wcale nie spieszy. Postoję nieco dalej. Niech ma troszkę swobody. Ksiądz chce zresztą tylko przetrzeć twarz. Wodą, do której podążała Maryja, gdy została Jej objawiona jedna z największych tajemnic wszechświata.

Mistrzowie życia duchowego często zwykli mówić, że największe cuda dzieją się właśnie w takich sytuacjach. Zwyczajnych. Podczas prania, zmywania. Czy wreszcie podczas czerpania wody ze studni. Gdy nie spodziewamy się zupełnie niczego. Kto wie? Może właśnie spotkałem takiego mistrza? A może spotkałem go tam wcześniej? Gdy wspierał się na lasce? Wędrującego między bazarowymi alejkami?

***

PS. Dziś wiemy, że z rad mistrzów życia duchowego dobrze korzystała sama Maryja z Nazaretu. Kiedy trzeba było, powiedziała „tak". W konsekwencji czego za dziewięć miesięcy urodzi Syna. Ale to już nie tu. Nie w Nazarecie. Nieco dalej. Dokładnie 110 kilometrów na południe stąd. Chyba pora wybrać się także tam. Wpierw jednak trzeba będzie przekonać pograniczników Autonomii Palestyńskiej...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ, CZĘŚĆ DRUGA JUŻ ZA MIESIĄC

eprasa.pl f666f89312

Olga Doleśniak-Harczuk

Pedofilskie eldorado profesora Kentlera

Były lata 70., a oni mieli po 13–17 lat, na koncie młodzieńcze wybryki, alkohol spożywany w parku, wagary. Wielu z nich urzędnicy Jugendamtów odebrali rodzicom i umieścili w rodzinach zastępczych. Uciekali, wałęsali się bez celu po okolicy, z czasem stali się bezdomni i nikt nie kwapił się, by ich z tej sytuacji wyrwać...

Pracownicy socjalni nazywali ich „trudnymi chłopcami". A jak dziecko jest trudne, wymaga specjalnych metod wychowawczych. Prominentny w tamtym czasie psycholog Helmut Kentler wysnuł teorię, że „towarzystwo tak niesfornych dzieci mógłby znieść wyłącznie osobnik w nich zadurzony". Za sugestią poszedł konkret. Chłopców umieszczano od tej chwili pod jednym dachem z wielokrotnie notowanymi pedofilami, którzy stali się ich prawnymi opiekunami. Kentler nazwał ten proceder „eksperymentem".

Sprawa po raz pierwszy wyszła na jaw w 2013 r. za sprawą artykułu w tygodniku „Der Spiegel". Dziennikarze domagali się od senatu Berlina wyjaśnień i zlecenia audytu, który miał przybliżyć kulisy tzw. wychowawczego eksperymentu. Tak się bowiem złożyło, że pedofilskie schroniska dla nieletnich zakładane w Berlinie w latach 70. działały nie poza systemem kontroli Jugendamtów i senatu, lecz za ich wiedzą i przyzwoleniem. A ponieważ działały legalnie w ramach obowiązującego systemu opieki nad nieletnimi, były finansowane ze środków publicznych analogicznie do zwykłych rodzin zastępczych. Debata na temat procederu sprzed czterech dekad, w który była zamieszana rzesza urzędników, psychologów, seksuologów, a zapewne i polityków lokalnego szczebla, rozgorzała na dobre dopiero w ubiegłym roku. Przyparty przez dziennikarzy do muru senat Berlina zlecił socjologom z Uniwersytetu w Getyndze wszczęcie naukowego śledztwa w sprawie. Od tego czasu minął w grudniu rok i komisja naukowców pod kierownictwem dr Teresy Nentwing zaprezentowała niedawno wstępny raport dotyczący pedofilskiego procederu z lat 70. Jak to ujęła Nentwing: „sprawa jest porażająca", ale nie mniej porażający jest z punktu widzenia dziennikarza czy historyka brak dokumentów, z których można by się dowiedzieć, kto personalnie stał za decyzją powierzania nastolatków w ręce pedofilów. Tymczasem najważniejsze dowody wyparowały, a archiwa berlińskich instytucji, których zasoby mogłyby znacznie przybliżyć tło wydarzeń sprzed prawie pół wieku, niechętnie dzielą się z naukowcami swoją zawartością. Pod różnymi pretekstami.

eprasa.pl f666f89312

Pan profesor ma pomysł

Nie wiadomo więc do końca, ilu chłopców poddano eksperymentowi i jakie były ich koleje, na pewno wiemy o trzech przypadkach, ale to zdaniem badaczy kropla w morzu. Jedyny w zasadzie namacalny ślad personalny w tej konkretnej aferze prowadzi do Helmuta Kentlera, pomysłodawcy „eksperymentu" i jego najgorętszego orędownika. Kentler nawet po latach nie zdystansował się od teorii, iż „tylko pedofil może trzymać w ryzach niesfornych chłopców", i zostawił po sobie raport podsumowujący rezultaty swojego projektu. Dlatego też zespół Teresy Nentwig z braku lepszego śladu postanowił skoncentrować się w swojej pracy właśnie na osobie Kentlera i opierając się na jego aktywności i publikacjach, spróbować odpowiedzieć na pytanie, do jakiego stopnia był on zaangażowany w lobbowanie na rzecz środowisk pedofilskich w Niemczech i jak gęsta i prominentna była to sieć. A mowa o wysoko postawionych uczestnikach zachodnioniemieckiego życia naukowego i publicznego, której ostatecznym celem było zalegalizowanie stosunków płciowych z dziećmi najpierw w latach 70., a następnie w połowie lat 80. Kentler w latach 70. występował nawet jako ekspert w tej sprawie przed Bundestagiem. Przy czym legalizacji pedofilii domagano się pod pretekstem „wyzwolenia dzieci z jarzma antyseksualnej demagogii" i położenia kresu „zakłamaniu i zahamowaniom kapitalizmu, który zaszczepił w społeczeństwie obrzydzenie do seksualności najmłodszych tylko po to, by zwiększyć ich wydajność produkcyjną (!)". Tak też o źródłach ochrony dzieci przed dewiacjami niektórych dorosłych zwykł wypowiadać się właśnie (w duchu Wilhelma Reicha, austriackiego komunisty i prekursora tzw. proletariackiej polityki seksualnej) Helmut Kentler i jego zwolennicy, środowisko zafascynowane freudo-marksistowską pedagogiką i jej realnym przełożeniem na sowieckie i niemieckie eksperymenty na żywym, dziecięcym organizmie w sierocińcach, przedszkolach, a w czasie rewolucji seksualnej praktykowane na gruncie antyautorytarnych komun.

Leczyli z zahamowań

Komun, w których – tak jak np. w słynnej Dwójce w Berlinie – kilkuletnie dzieci zachęcano do seksualnych kontaktów z dorosłymi w ramach „pozbawiania ich zahamowań". Relacje, bardzo obrazowe i – co tu ukrywać – pornograficzne można do dziś znaleźć w wydawnictwach książkowych, internecie, sam Kentler często przywoływał je w obszernych cytatach w swoich publikacjach. Jest to wszystko niewątpliwie fakt wstydliwy dla dzisiejszych obrońców zdobyczy rewolucji seksualnej, który (jak zresztą potwierdza głośny przypadek pedofilskich fascynacji Daniela Cohn-Bendita) środowiska lewackie zwykły w przypadku konfrontacji sprowadzać do zjawiska marginalnego. Otóż pedofilia nie była na przełomie lat 60. i 70. jedynie egzotycznym dodatkiem do pigułki antykoncepcyjnej i wyzwolenia seksualnego, ale jednym z głównych postulatów programowych generacji '68, przemycanym pod hasłem wychowania antyautorytarnego. Pedagogiki czerpiącej z marksizmu, zakorzenionej w Niemczech od lat 20., rozbudowanej pod koniec 60. i wyznawanej do dziś przez bardzo wielu wychowawców, profesorów i rodziców w Niemczech.

Poruszą lawinę?

Dlatego też wzięcie pod lupę w XXI wieku sprawy kentlerowskiego eksperymentu sprzed kilku dekad nie jest odgrzewaniem brzydkiej historii senatu Berlina, Jugendamtów i środowisk pedofilskich, które korzystały na ich kontrowersyjnych decyzjach, ale symboliczną, nawet bardzo symboliczną próbą rozliczenia się z marksistowskim dziedzictwem, które wcale nie odeszło z upadkiem muru, śmiercią Helmuta Kentlera i jemu podobnych etc., ale do dziś rzuca cień na metody wychowawcze w niemieckich szkołach, przedszkolach, na uniwersytetach. To jest marksizm utajony, dobrze zamaskowany, a fakt, że nie mówi się już o nim z taką zapalczywością jak na salonach kawiorowych rewolucjonistów czy kolegiach magazynu „Konkret", nie świadczy o jego zaniku. Jest to raczej kwestia zmiany stanu skupienia ze stałego w latach 20. w ciekły na przełomie lat 60. i 70. i finalnie lotny, czyli zajmujący całą dostępną przestrzeń w wieku XXI. Od niemal 100 lat oddychamy zainfekowanym powietrzem, walcząc z jego skutkami. Czy zespół naukowców z Getyngi jest w stanie poruszyć lawinę i na kanwie jednej sceny z życia lokalnych władz i Jugendamtów pokusić się o wstęp do rzetelnej historii demoralizacji niemieckich dzieci i młodzieży, rozciągającej się na kilka pokoleń wstecz, czy też prace tej niezależnej komisji zwieńczy wniosek, że „w Berlinie lat 70. Miały miejsca błędy i wypaczenia"? Z ciekawością czekam na raport pełny, a nie wstępny i mało konkretny. To się należy tej „trudnej młodzieży", która za wikt i opierunek z łaski państwa i pedofila-recydywisty płaciła własnym ciałem. „Zaletą 13-letniego Ullricha był świetny wygląd i radość czerpana z seksu. Dzięki temu mógł się przynajmniej odwdzięczyć mężczyznom, którzy się nim opiekowali" – napisał prof. Kentler w raporcie końcowym eksperymentu (1988 r.), który ogłosił zresztą „pełnym sukcesem". On sam był zdeklarowanym homoseksualistą wychowującym samotnie trzech adoptowanych chłopców. Kto i jakim prawem powierzył mu te dzieci? Jeżeli autorzy raportu na serio zajmą się tematem, powinniśmy uzyskać odpowiedź i na to pytanie. ■

eprasa.pl f666f89312

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.

eprasa.pl f666f89312

Kambodża

Pod koniec listopada Nadzwyczajna Izba Sądu Kambodży pod egidą ONZ utrzymała wyrok dożywocia dla przywódców Czerwonych Khmerów – Khieu Samphana (l. 85) i Nuona Chea (l.90). W 2014 r. zostali uznani winnymi popełnienia zbrodni przeciwko ludzkości, eksterminacji całych grup ludności, porwań i prześladowań na tle politycznym. Obrońcy zbrodniarzy domagali się ich uwolnienia, powołując się na błędy proceduralne, stronniczość niektórych sędziów oraz słabe dowody rzeczowe.

„Czekałam na tę chwilę od 40 lat i nadeszła"– powiedziała agencji AP 64-letnia Seak Ny. Jej mąż zmarł z głodu za rządów Pol Pota. Czerwoni Khmerzy zabili jej starszego brata i piątkę jego dzieci za to, że mężczyzna służył w armii rządowej.

Khieu Samphan w okresie reżimu Czerwonych Khmerów był prezydentem Demokratycznej Kampuczy, a Nuon Chea głównym ideologiem komunistycznego reżimu. Chea był jednym z nielicznych przywódców Czerwonych Khmerów, który nie studiował w Paryżu. Samphana uzyskał doktorat na Uniwersytecie Paryskim.

Reżim Czerwonych Khmerów (1975–1979) to jedna z najkrwawszych tyranii komunistycznych w historii. Pochłonęła prawie 2 mln ofiar, głównie inteligentów, mnichów, „wrogów rewolucji" – oskarżanych na podstawie fałszywych lub wymuszonych zeznań. Często już sam fakt noszenia okularów czy posiadania zbyt gładkich dłoni utożsamiany był z przynależnością do „zgniłej, burżuazyjnej inteligencji", co oznaczało wyrok śmierci. Na miejscu kaźni, polach śmierci w Choeung Ek, oddalonych o około 17 kilometrów od Phnom Penh, do dziś w dołach i stawie można odnaleźć szczątki ofiar i fragmenty ich ubrań.

Główny sprawca tych komunistycznych zbrodni Pol Pot, uczeń Jean-Paula Sartre'a, umarł nieosądzony. Na łożu śmierci Pol Pot twierdził, że ma czyste sumienie, a o rządach Czerwonych Khmerów mówił: „Byliśmy jak dzieci uczące się chodzić".

Chiny

Podczas odbywającej się w dniach od 6 do 8 grudnia konferencji dotyczącej „pracy ideologicznej i politycznej" z udziałem partyjnych działaczy wyższego szczebla i rektorów uczelni, prezydent Chin Xi Jinping wezwał uczelnie i wykładowców, by gorliwiej szerzyli ideologię Komunistycznej Partii Chin Ludowych (KPChL).

Xi powiedział, że priorytetem komitetów partyjnych na wszystkich szczeblach w całym kraju powinna być promocja ideologii na uczelniach. Szefowie i członkowie KPChL powinni często wizytować instytucje edukacyjne i komunikować się z nauczycielami i uczniami.

Według prezydenta Xi, uniwersytety muszą służyć partii komunistycznej i pomagać jej w rządzeniu krajem. Dodał też, że uczelnie mają obowiązek kierować się marksizmem i stać się „twierdzami, które trzymają się wiernie przy partyjnym kierownictwie", a wykładowcy powinni szerzyć „zaawansowaną ideologię i kulturę", będąc gorliwymi zwolennikami obecnych rządów i przekazując studentom odpowiednią wiedzę na temat Chin i świata.

W wypowiedzi dla dziennika „The Gurdian" Carl Minzner, ekspert chińskiego prawa i polityki z Fordham University w Nowym Jorku, stwierdził, że zwiększenie nacisku na propagowanie ideologii marksistowskiej to zapowiedź ostrzejszej walki z dysydentami na uczelniach.

Zaraz po dojściu do władzy w 2013 r. prezydent Xi przeprowadził podobno kampanię wśród dziennikarzy. Wtedy to departament propagandy KPChL nakazał udział w przymusowych zajęciach z marksizmu około 370 tys. dziennikarzom, producentom i wydawcom. Byli to głównie ludzie młodzi, u których partia „wykryła zdecydowany brak odpowiedniej postawy ideologicznej". Chińska agencja państwowa Xinhua, powołując się na jednego z organizatorów marksistowskich kursów dla dziennikarzy, pisała, że „internet stał się głównym polem bitwy o opinię publiczną", a „partia potrzebuje odpowiedniego wsparcia od mediów". Po ogłoszeniu nakazu marksistowskiej indoktrynacji, choć środowisko dziennikarzy w większości milczało, pojawiły się pojedyncze głosy dezaprobaty. Jeden z pekińskich dziennikarzy napisał na portalu Sino Weibo, odpowiedniku Twittera w ChRL, że im więcej każe mu się zgłębiać marksizm, tym mniej go rozumie.

Hongkong

Szef administracji Hongkongu CY Leung zapowiedział, że nie będzie ubiegał się o reelekcję w marcu 2017 r.

Administrator Hongkongu, czyli specjalnego regionu Chińskiej Republiki Ludowej, nie jest wybierany przez większość mieszkańców, lecz wskazany przez tzw. Komitet Elekcyjny – około 1200 osób związanych z takimi sferami, jak biznes, przemysł, związki zawodowe, organizacje pozarządowe czy organizacje religijne. W rzeczywistości najsilniejsi w tej grupie są magnaci biznesowi. Wskazany lider ma chronić ich interesy, ale przede wszystkim musi być zaakceptowany przez Pekin.

eprasa.pl f666f89312

Władze Chin sugerowały, że do powszechnych i wolnych wyborów przywódcy Hongkongu mogłyby dojść w 2017 r. Gdy więc we wrześniu 2014 r. Pekin ogłosił, że wybory będą, ale tylko spośród dwóch–trzech kandydatów zaakceptowanych przez komunistyczne władze ChRL, młodzi Hongkończycy rozpoczęli „rewolucję parasoli" – trwający ponad 80 dni zryw obywatelskiego nieposłuszeństwa.

W połowie ubiegłego roku Rada Legislacyjna (parlament Hongkongu) odrzuciła propozycję Pekinu – wybór szefa regionu spośród dwóch lub trzech kandydatów zaakceptowanych przez komunistyczne władze Chin. Większość deputowanych uznała, że taka forma zaprzecza zasadzie powszechnych i wolnych wyborów i niewiele różni się od pierwotnego sposobu typowania przez Komitet Elekcyjny. Pozostano przy starej metodzie wskazania szefa regionu przez Komitet.

Decyzja obecnego szefa region CY Leunga o wycofaniu się z ponownego kandydowania była zaskoczeniem. Leung stwierdził, że rezygnuje z powodów rodzinnych.

CY Leung jest ogromnie niepopularny wśród mieszkańców Hongkongu, zwłaszcza wśród młodych ludzi, którzy uważają, że polityk w czasie swojego urzędowania stał na straży interesów Pekinu, a nie Hongkongu i jego obywateli.

Gdy w 2012 r. CY Leung po raz pierwszy został wybrany na szefa administracji (w głosowaniu 1200 elektorów zdobył 689 głosów), w hongkońskich mediach pojawiły się informacje, że Leung nie tylko cieszy się zaufaniem władz ChRL, lecz jest także wręcz członkiem chińskiej partii komunistycznej. Informację tę potwierdza mieszkający na Tajwanie, a wcześniej przez 20 lat w Hongkongu, chiński dysydent, historyk Lin Baohua.

Do tej pory chęć ubiegania się o stanowisko szefa administracji Hongkongu wyraził emerytowany sędzia, 70-letni Woo Kwok-hing. Pod koniec października w wypowiedzi dla jednej ze stacji radiowych Woo powiedział, że gdyby był młody, to dołączyłby do studentów protestujących w Hongkongu w 2014 r. („rewolucja parasoli"). Skrytykował także komunistyczne władze w Pekinie za to, że strzelały do chińskich studentów protestujących na placu Tiananmen w 1989 r. Z reguły kandydaci ubiegający się o stanowisko szefa administracji Hongkongu unikają wypowiedzi na temat masakry na placu Niebiańskiego Spokoju, by nie narazić się na gniew chińskich władz.

Poza sędzią Woo Kwok-hingiem o stanowisko administratora Hongkongu ma ubiegać się John Tsang, do 12 grudnia sekretarz ds. finansów w administracji CY Leunga, i Regina Ip, propekińska deputowana, która w czasie „rewolucji parasoli" postulowała, by policja ostro rozprawiła się z protestującą młodzieżą.

▶ Singapur–Chiny

Od kilku miesięcy dochodzi do spięć na linii Singapur–Chiny. Najpierw w kwietniu 2016 r. doszło do ostrej wymiany zdań pomiędzy dyplomacjami obu krajów, gdy dwóch singapurskich dyplomatów oskarżyło Pekin o wtrącanie się w wewnętrzne sprawy państw ASEAN (Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej). Singapur twierdził, że ChRL próbuje podzielić ugrupowanie, ponieważ szef chińskiego MSZ Wang Yi ogłosił, że jego kraj osiągnął konsensus z Brunei, Kambodżą i Laosem dotyczący sporów na Morzu Południowochińskim. W odpowiedzi chiński wiceminister spraw zagranicznych stwierdził, że intencje Chin zostały źle zrozumiane i że Pekin oczekuje wycofania oskarżeń ze strony Singapuru.

W czerwcu tego roku na wspólnej konferencji ministrów spraw zagranicznych Chin i Singapuru nie pojawił się szef singapurskiego MSZ Vivian Balakrishnan.

We wrześniu doszło do ostrej wymiany stanowisk pomiędzy ambasadorem Singapuru w Pekinie a gazetą KPChL „Global Times" i znów dotyczyło to kwestii chińskich działań na Morzu Południowochińskim (Pekin buduje tu sztuczne wyspy pod bazy wojskowe).

Władze ChRL nie kryły też niezadowolenia, gdy w czerwcu tego roku siły zbrojne Singapuru zgodziły się przyjąć w swoich bazach okręty US Navy. Wreszcie w zeszłym miesiącu Służba Celna w porcie w Hongkongu przejęła kilka pojazdów opancerzonych. Kontenery z uzbrojeniem miały płynąć z Kaohsiungu, położonego w południowo-zachodnim Tajwanie, do Singapuru i zawierały dziewięć pojazdów opancerzonych, które zidentyfikowano jako kołowe transportery opancerzone Terrex AV-81. Okazało się, że transportery należą do singapurskich wojsk lądowych i brały udział w corocznych ćwiczeniach wojskowych Exercise Starlight. Z Tajwanu miały dotrzeć do Singapuru poprzez port w Hongkongu. Strona chińska stwierdziła, że miała prawo je zatrzymać, bo Pekin sprzeciwia się kontaktom militarnym i dyplomatycznym innych państw z Tajwanem. Pekin uważa, że Singapur, prowadząc ćwiczenia wojskowe na Tajwanie, łamie zasadę jednych Chin, według których istnieje tylko Chińska Republika Ludowa, a Tajwan jest jej prowincją.

Chiny coraz bardziej widzą Singapur przede wszystkim jako sojusznika Stanów Zjednoczonych. Na początku grudnia premier Singapuru Lee Hsien Loong przeprowadził rozmowę telefoniczną z amerykańskim prezydentem elektem Donaldem Trumpem. Wcześniej Lee wystosował też list do Trumpa, stwierdzając, że Singapur i Stany Zjednoczone „łączą strategiczne interesy i doskonałe partnerstwo od dawna". Premier Singapuru dodał, że jego kraj wspiera obecność Ameryki w regionie, bo służyła pokojowi i stabilności przez dziesięciolecia i sprawia, że Azja i Pacyfik się rozwijają. ■

eprasa.pl f666f89312

Ryszard Czarnecki

Wzgórza Golan, czyli patriotyzm po izraelsku

Izrael. Wzgórza Golan. Liban jak na dłoni. Sklepik dla turystów. Stoisko z T-shirtami. Patriotyzm po izraelsku, na poważnie i żartobliwie, na koszulkach z krótkim rękawem. Napis na jednej z nich głosi: „If You will it, it is no dream" (jeśli zechcecie, nie będzie to snem – przyp. red.), a poniżej podobizna ojca syjonizmu Theodora Herzla w czterech różnych kolorach (w ten sposób przekonywał, iż powstanie po tysiącach lat państwa Izrael jest możliwe). Druga to po prostu napis „Golani" z drzewem i tym samym napisem po hebrajsku. Kolejna, autoironiczna: „Israel Defence Forces – Intelligence. My job is so secret, I don't know, what I'm doing" (Siły Obronne Izraela. Moja praca jest tak tajna, że nawet nie wiem, czym się zajmuję – przyp. red.). Następna z napisem po angielsku u góry: „Cywilizacje, narody i imperia, które próbowały zniszczyć Żydów", pod spodem po lewej wymienione w słupku pod napisem „nation": Starożytny Egipt, Filistyni, Asyryjczycy, Babilon, Persja, starożytna Grecja, Cesarstwo Rzymskie, Bizancjum, krzyżowcy, Imperium Hiszpańskie, „Nazi Germany" i Sowiety – po prawej zaś, przy każdej nazwie „x" oraz wyraz „gone" (przeminęły – przyp. red.). Ale na końcu kolumny po lewej stronie jest jeszcze jeden kraj – Iran, a po prawej już nie „gone" tylko trzy znaki zapytania...

I kolejny T-shirt z napisami po hebrajsku i angielsku: „Israel Defence Forces", symbolizowana Gwiazda Dawida oraz pociskiem (sztyletem?) z gałązką. Albo i taki: „D.F.Paratroops". I jeszcze jeden z tłumaczeniem najpotrzebniejszych zwrotów hebrajskich na angielski, poczynając od przywitania „Shalom". Jest też przypominający izraelską sztukę walki, skądinąd coraz bardziej popularną w Polsce: „Krav Maga. Israel Defence Forces" (jest to sztuka walki w tzw. bliskim kontakcie stosowana w służbach specjalnych i armii Izraela).Wreszcie dowcipna: „Guns&Moses" (pistolety i Mojżesz; nawiązanie do nazwy i logo – pistolety i róże – zespołu Guns N' Roses – przyp. red.) z Gwiazdą Dawida, menorą, dwoma karabinami i tablicą z dziesięcioma przykazaniami....

Żegnam Wzgórza Golan. A może raczej mówię: „do widzenia". Także temu miejscu, którego nazwę zapamiętam: „Misgav Am", nie tylko i nie głównie dlatego, iż taką samą nazwę nosi pobliski kibuc. Zjazd krętymi serpentynami, samochód trzęsie jak cholera, nie można robić notatek, bo wychodzą z tego jakieś dzikie kulfony. A potem znów w górę i znów w dół i znów w górę. Zieleń jest soczysta, choć to przecież zima.

Teraz pora na wizytę w szczególnym szpitalu. Kieruje nim Arab-chrześcijanin. Zdecydowały o tym izraelskie władze. A w szpitalu leczeni są w dużej mierze ranni... muzułmanie. Nazywa się on „Western Galilee Hospital".

Odwiedzam kilka sal szpitalnych. Pacjenci w różnym stanie. W większości obrażenia ewidentnie w wyniku walk wojennych. Arabski dyrektor rozmawia z nimi właśnie po arabsku i tłumaczy potem na angielski. Szpital położony jest bardzo blisko granicy z Libanem – pewnie dlatego dosłownie przez linię demarkacyjną przerzucani są ranni, także cywile i dzieci, z drugiej strony, z całą świadomością, że trafią do kliniki, która być może uratuje im życie albo zdrowie. Są też ranni z Syrii. Jest to jedyny szpital w Izraelu kierowany przez Araba. Oczywiście zapewne władzom w Jerozolimie zależy na ewidentnym wydźwięku propagandowym, ale nawet jeżeli to jest główną motywacją, to faktem jest, że w klinice ratuje się ludzi niezależnie od wyznania i narodowości. Dyrektor oględnie narzeka na brak pieniędzy, ale to chyba norma wśród dyrektorów placówek zdrowia, obojętnie od szerokości geograficznej. Twierdzi, że do polityki się nie wtrąca, a polityków nie lubi. Trochę to pachnie hipokryzją, bo dzięki decyzji polityków właśnie taki szpital może funkcjonować, nie tylko przecież po to, by pokazywać go gościom z zagranicy. Oczywiście w poczekalniach szpitala i na salach dostrzegam głównie „cywili" i ich rodziny, w olbrzymiej większości muzułmanów.

A swoją drogą, Arabowie (Palestyńczycy) chrześcijanie cierpią podobnie jak Palestyńczycy muzułmanie, gdy dochodzi do odwetowych akcji armii izraelskiej i gdy dotykają one ludności cywilnej w Strefie Gazy czy na Zachodnim Brzegu. Tyle, że w dużo mniejszym stopniu angażują się w kolejne „intifady" czyli antyizraelskie powstania czy działalność wymierzoną w Tel-Awiw. Wiedzą, że łatwiej jest być chrześcijaninem w państwie żydowskim niż w państwie, w którym rządzi szariat. ■

eprasa.pl f666f89312

Marcin Wolski

Prawda nie leży pośrodku

To, co uważam za największy sukces Polski po 1989 r., to żmudne, lecz konsekwentne dochodzenie do prawdy historycznej. Powrót do świadomości Polaków Żołnierzy Wyklętych i zeskrobywanie politury z wielu mitów i łże-autorytetów, które funkcjonowały przez lata, to największe zwycięstwo wnuków akowców nad wnukami ubowców.

Ludziom młodym wydaje się to nieprawdopodobne, ale PRL-owscy tubylcy w znakomitej większości nie mieli pojęcia, w jakiej rzeczywistości żyją. Owszem, wypływała ona na jaw podczas społecznych paroksyzmów, takich jak zamknięcie „Po prostu" w 1957 r., podczas wydarzeń marcowych 1968 r. czy w trakcie protestów w Radomiu i Ursusie, ale poza tym wydawało się, że żyjemy w normalnym kraju, owszem – pod sowieckim protektoratem, ale jednak rządzonym przez Polaków i dla Polaków.

Czy idąc na pierwsze prywatki w latach 60. miałem pojęcie, że jeszcze poluje się na ostatnich Wyklętych? Z cenzurą miała kontakt ledwie garstka, reszta w niewielkim stopniu domyślała się jej skutków, o agenturze mieliśmy jeszcze mniejsze pojęcie. Owszem, wiedziało się, że są donosiciele wśród kelnerów i taksówkarzy, ale wśród ludzi z towarzystwa? Tymczasem okazuje się, że z reżimem tajnie współpracowały najświetniejsze nazwiska – Kuśniewicz, Drawicz, Szczypiorski, Koźniewski, Piwowski... Wracają twarze z biesiad w SPATiF-ie, z festiwali – kolegów, przyjaciół. I przychodzi konfrontować je z donosami.

To boli, ale jest niezbędne. Prawda bowiem nie leży pośrodku, tylko tam, gdzie leży. Nie ma równych racji kata i ofiary, zdradzanego i zdrajcy.

Dla najmłodszych pokoleń zło jest po prostu złem, decydują, czy chcą być w KOD-zie czy w klubie „Gazety Polskiej". Ich wybór, nie muszą. W PRL-u poza garstką cyników i kanalii większość kombinowała, jak przetrwać, otorbić się w prywatności, pójść na możliwie niewielki kompromis. Nic nie wskazywało, że kiedykolwiek system się zmieni, raczej liczono, że się ucywilizuje, oswoi... We wczesnym okresie Gierka naprawdę wierzyliśmy w stopniową konwergencję systemów. Przecież dostawaliśmy paszporty i pojawiła się Coca-Cola... Buntowały się jednostki – „taternicy", „Ruch", traktowani byli z podziwem pomieszanym z politowaniem. System niezależnie od tego, jak nas wkurzał, miał trwać wiecznie – broniły go przecież Armia Sowiecka i megatony głowic nuklearnych. A Zachód, o czym upewniały nas kolejne kryzysy – węgierski ('56 r.) czechosłowacki ('68 r.), spisał nas na straty. I co można było zrobić? Urządzić się, zapaść w prywatność czy zaprotestować ze świadomością, że nikt nas nie usłyszy? W końcu nawet o samospaleniu Ryszarda Siwca na Stadionie Dziesięciolecia wieści rozchodziły się bardzo powoli... Gdyby nie Wolna Europa, zagłuszana, ile wlezie, ileż informacji, często niepełnych, a bywa, że zmanipulowanych, nigdy by do społeczeństwa nie dotarło. Dopiero archiwa bezpieki pozwalają dostrzec, że nie było wcale tak spokojnie – ileż mieliśmy konspiracji uczniowskich, jednoosobowych aktów sprzeciwu, strajków, o których nawet plotki się nie rozchodziły, walk o kościoły i krzyże... Tylko kto miał szansę o tym się dowiedzieć w zatomizowanym społeczeństwie? Nieprzypadkowo dysydentem najłatwiej było zostać, mając ochronę towarzyską lub rodzinną.

Czasami do nocnego autobusu wsiadał pijak. Alkohol rozwiązywał mu gębę, toteż z jego ust lał się ściek przekleństw i najszczersza prawda o systemie, o Ruskich, o bezpiece. Ludzie słuchali ze spuszczonymi głowami i udawali, że ich nie ma. „Może to prowokator?".

Oczywiście można było znaleźć rozwiązanie pomiędzy biernością a kolaboracją. Na maleńkich odcinkach w jakichś stowarzyszeniach, studenckich kabaretach, przyzwoitszych gazetach, poszerzać wysepki wolności, licząc na jakąś finlandyzację.

I o tym też należy pamiętać. Zło w komunizmie miało wiele twarzy i odcieni. Dobro też! ■

eprasa.pl f666f89312

Tomasz Sakiewicz

Sukces społeczeństwa obywatelskiego

O sile dwóch organizacji, gdzie po jednej stronie samodzielnie musiał pojawić się KOD, a po drugiej kluby „GP", świadczyły ostatnie wydarzenia. Przygotowywany przez wiele dni kryzys wokół parlamentu po stronie KOD-u zgromadził maksymalnie półtora tysiąca osób. Kluby „GP" w ciągu jednej doby przyprowadziły od kilku do kilkunastu tysięcy ludzi.

Wiara polityków w to, że do realnego wpływu na kraj wystarczy posiadać silne struktury partyjne i znaczne środki finansowe, została w ciągu ostatnich dwóch lat mocno zachwiana. Zaczęło się właściwie dużo wcześniej, po tragedii smoleńskiej. Istniejący już wtedy ruch klubów „Gazety Polskiej" zorganizował setki tysięcy ludzi na mszach świętych, manifestacjach i koncertach upamiętniających każdą miesięcznicę tego wydarzenia. Plan polityczny władzy, polegający na umniejszeniu tego wydarzenia i wytarciu zbiorowej pamięci, kompletnie się nie powiódł. Musiała więc ona zmienić taktykę i dążyć do wyrzucenia poza nawias życia publicznego tych, którzy o Smoleńsku nie chcieli zapomnieć. To wymagało jednak już bardzo dużych starań i ostatecznie się nie udało.

Miesięcznice smoleńskie były wielkim przebudzeniem obywatelskiej aktywności. Wbrew propagandzie PO, to nie PiS je zainicjował. Oczywiście politycy PiS-u, tak jak wielu innych obywateli, włączyli się w te uroczystości, a często potem mocno je wspierali, ale był to ruch oddolny.

Ogromnym sprawdzianem obywatelskiej aktywności był Ruch Kontroli Wyborów, w znacznej mierze wsparty przez kluby „GP". Tysiące ludzi nie tylko pilnowały prawidłowości przebiegu całego procesu wyborczego, lecz także dodatkowo odegrały mobilizacyjną rolę dla prawicowego elektoratu. Po raz pierwszy od wyborów kontraktowych, gdzie też podjęto podobne działania, była duża pewność, że głosowanie nie zostanie sfałszowane.

Kluby „GP" bardzo intensywnie uczestniczyły w kampanii Andrzeja Dudy, pomagając mu zaistnieć w miejscach, do których struktury partyjne często nie docierały. Już wtedy część polityków PO zaczęła publicznie ostrzegać, że społeczeństwo zaczyna się im wymykać spod kontroli. Pamiętała wizerunkową porażkę władzy, jaką były marsze w obronie telewizji Trwam. Narracja PO w tej sprawie okazała się kompletną klapą, bo cały świat zobaczył, że setki tysięcy ludzi na ulicach chcą telewizji, na którą władza nie daje koncesji. Rodziny Radia Maryja też były formą organizowania się społeczeństwa obywatelskiego. Mają wprawdzie nieco inny charakter niż kluby „GP", ale spontanicznie potrafią zgromadzić rzesze ludzi.

Tuż po przegranych wyborach parlamentarnych Grzegorz Schetyna oświadczył, że jedną z głównych przyczyn porażki PO były kluby „Gazety Polskiej". Podobne wypowiedzi publikowały media związane z poprzednim obozem władzy. W listopadzie zeszłego roku przystąpili do działania. Kopiując w znacznej mierze przynajmniej zewnętrzne cechy klubów „GP", stworzono KOD. Paliwem napędzającym aktywność społeczną stała się sprawa Trybunału Konstytucyjnego. Paliwo było bardzo energetyczne, bo dolewały go ośrodki zagraniczne, pozwalając działaczom KOD-u wejść na europejskie salony. Jednak stworzony przez „Gazetę Wyborczą" i struktury PO ruch miał pewną istotną słabość. Samodzielnie nie był w stanie zmobilizować wielkich rzesz ludzi. Demonstracje udawały się tylko wtedy, kiedy uczestniczyły w nich struktury partii opozycyjnych. Dwie duże partie, PO i Nowoczesna, czasem też przy poparciu SLD i PSL, potrafiły samodzielnie przyprowadzić po kilka tysięcy osób. To razem dawało wrażenie siły. Kiedy jednak KOD organizował protesty bez nich, liczba uczestników demonstracji nie przekraczała kilkuset osób. To pokazuje ograniczenia ruchu, który został założony przez politycznych sztabowców.

O sile dwóch organizacji, gdzie po jednej stronie samodzielnie musiał pojawić się KOD, a po drugiej kluby „GP", świadczyły ostatnie wydarzenia. Przygotowywany przez wiele dni kryzys wokół parlamentu po stronie KOD-u zgromadził maksymalnie półtora tysiąca osób. Kluby „GP" w ciągu jednej doby przyprowadziły od kilku do kilkunastu tysięcy ludzi. Chęć przyjazdu wyraziło jednak o wiele więcej osób.

Kluby pokazały siłę, bo istnieją realnie. KOD jest ciągle jedynie podróbką, która być może przekształci się w ruch obywatelski, ale na razie jest maską do przykrywania działań polityków. ■

eprasa.pl f666f89312

niezależna

eprasa.pl f666f89312